

Grey Scale #13



DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

SZKICE
Z POWSTANIA
1863 ROKU.

—♦—
NAKREŚLONE

przez

Pułkownika Strusia.

Jan Sawicki

410



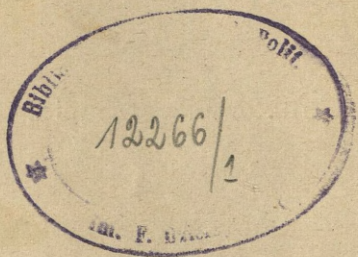
KRAKÓW.

Nakładem Wydawnictwa „Nowej Reformy“.

1889.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
WE LWOWIE.

92



CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE,
pod zarządem A. Szyjewskiego.

WSPOMNIENIA
Z LAT NADZIEI i BOLEŚCI

poświęcam

MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Autor.

Ostatnie powstanie Polski od początku do końca było dziełem młodzieży. Młodzież przygotowała je, wywołała i cały ciężar wzięła na swe barki.

Było to szalonem a jednak pięknem, okropnem a wspaniałem, nieroztropnem a szcзыtnem.

Największą tragiczność tego dziejowego wypadku stanowi stosunek rodziców do dzieci: wszyscy ludzie starsi i dojrzałi, doświadczeni życiem, wszyscy co z zapałów młodości już ostygli i umieli obliczać następstwa tego kroku, pojmowali dobrze jakim jest szaleństwem targnąć się na olbrzyma, — a przecież nikt się nie mógł oprzeć młodzieży, dzieciom, nikt wystąpić przeciwko nim, zaprzeczyć prawowitości, potrzebie i nieuchronnej konieczności powstania. Rodzice i starsi bracia, przejęci obawą następstw ruchu, musieli jednak mimowoli wziąć w niem udział, jeżeli nie czynem, to milczeniem, współczuciem i życzliwością. Dzieci te bowiem oświadczyły stanowczo, imieniem Ojczyzny przema-

VIII

wiając, że dosyć już kraj przecierpiał, dość przeniósł wstydu i hańby, że nie może i nie chce dłużej znosić ucisku, upokorzenia, sztyderstwa i nędzy, chce dowieść, że żyje, że powstał z mogiły. Młodzież czuła potrzebę protestacyi krwią i męczeństwem, bała się bowiem, aby rycerski duch narodu nie zamarł w piersiach, żeby kraj nie zasnął na wieki; — spieszyła więc rzucić rękawicę wrogowi, aby krwią swą podpisać nowy pozew przed trybunał dziejów, trybunał wiekuistej Sprawiedliwości.

W chwili tego obudzenia się kraju należałem do starszych, nie wierzyłem w możliwość powodzenia, nie miałem nadziei i dopóki mogłem, wstrzymywałem zapędy, chłodziłem gorączkę młodszej braci, — lecz gdy wybuchło powstanie, gdy okrzyk wojny przeleciał od granicy do granicy, a ziemia zaczerwieniła się krwią ofiar, nie mogłem pozostać beczynnym widzem i z założonemi rękami oczekiwać przewidzianej katastrofy. Chwyciłem także za broń z innymi i poszedłem dzielić z braćmi dobre i złe losy, wiedząc, że już nic nie powstrzyma biegu wypadków: bo wszędzie na polskiej ziemi zagórowała nad wszelkiemi względami potężna żądza nowego życia, rozbudziła się dawna śmiałość, wybujały nadzieje i zapanowało w umysłach szczytne rozgorączkowanie, zaślaniające przed oczyma okropną przyszłość jaka się gotowała...

IX

Niesłychany entuzjazm ogarnął kraj cały; wstrząsające do głębi serc tysiączne czyny poświęcenia, ofiarności, niezrównanego męstwa mnożyły się z dniem każdym na całej szerokiej przestrzeni, gdzie walka zawrzała; ogień buchał wielkim płomieniem...

Siły były za słabe... Z pożaru tego zostały tylko popioły i zgliszcza. Po dniach nadziei, dni smutku. Nastały chwile straszne, pełne bezgranicznej boleści i zwątpienia. Świeże mogiły zasłały całą polską ziemię... najpiękniejsze jej kwiaty, jej nadzieje i chluba pod temi mogiłami. Ci co pozostali żywi... jedni przeklinali sprawców strasznej katastrofy, drudzy płakali łzami rozpacz. Lecz ani bezduszne przekleństwa, ani łzy poszanowania godne, nie cofną czasu wstecz, przeszłości nie wróca. Stało się...

Gdy namiętności przygasną i boleść się ukoi, gdy ludzie ostygną w zapamiętałych, stronniczych sądach, wtedy i wtedy dopiero nastąpi sąd sprawiedliwszy, chłodniejszy, przyjdzie chwila oddania czci temu, co czci warte, a zrzucenia z piedestału tego, co niesłusznie na ołtarz narodowy wzniesionem zostało.

Niezapreczenie! Ostatnie powstanie ciężki cios zadało nieszczęśliwej naszej ojczyźnie, lecz również nie godzi się przeczyć, że pozostawiło przepiękną kartę w historii narodu. — To co widziałem w tych pamiętnych latach i jak odczułem, opowiedzieć Wam pragnę. Osoby, o których w tych szkicach mó-

X

wię, znałem osobiście, czyny ich opisuję z własnych wspomnień, lub wedle świadectwa najwiarogodniejszych ludzi. Nie wątpię, że wkrótce dopełnią inni szczupłą galerię obrazów, jaką Wam podaję, że odtworzą pominięte przezemnie postacie wielu młodych bohaterów tej nierównej walki, która w zdumienie wprawiała Europę i cały świat cywilizowany.

Młodzieży polska! do Ciebie przyszłość należy. Poznaj błędy ojców Twoich i starszych braci, abyś się sama uchronić tych błędów umiała, czcisz co było czci godnem w owych pamiętnych latach, co tchnęło miłością Ojczyzny i poświęceniem. A nie uwłaczaj pamięci poległych i nie potępiaj czynnych w owym czasie ludzi, za to, że zamiast ruch niewczesny powstrzymać sami udział w nim wzięli. Kto żył tem życiem gorączkowym, w chwilach tego podniesienia ducha, szalonych czynów odwagi i olbrzymich ofiar, ten powie Wam, że wypadki następowały po sobie z taką nieprzepartą siłą, że nic jej powstrzymać nie mogło. Były to chwile tak wzniosłe, że chyba je porównać z przededniem krzyżowych wojen, kiedy każdy powtarzał: „tak Bóg chce, tak Bóg chce“ i szedł naprzód, bez wahania, bez namysłu, nie pytając, nie obliczając, dokąd zawiedzie go droga i jaka przyszłość czeka...

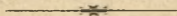
Mimo straszliwego pogromu, mimo ciosów najdotkliwszych, które na kraj spadły sku-

XI

tkiem rozpaczego powstania i złudnych nadziei, powstanie styczniowe pozostawi w martyrologii narodowej wspomnienia, opromienione świętością legendy.

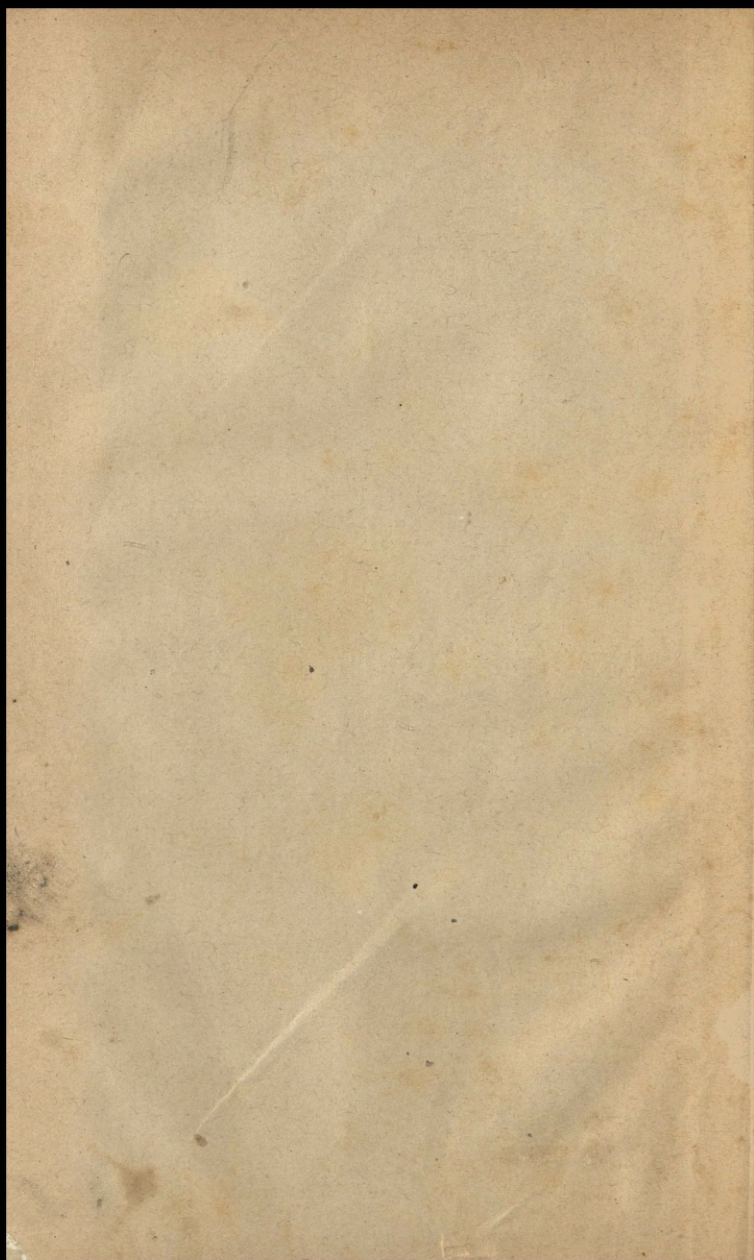
Dla narodów są legendy przeszłości nie tylko przestrożą i nauką ale i źródłem życia.

Niechże je młodzież przechowuje w swem sercu.



I.

MOSKALE I MY.



Dwadzieścia pięć lat ubiega od chwili, gdy kraj nasz, wstrząśnięty aż do podwalin, wystąpił do krwawej walki o istnienie swoje. Nie nastał jeszcze czas dla historyi, aby wypowiedziała zdanie swoje o tym ruchu narodowym, bo namiętności jeszcze się nie uspokoiły, a ciężkie następstwa niepowodzenia nie pozwalają bezstronnie spojrzeć na krwawy obraz tych chwil. Lecz bardzo jest na czasie gromadzenie wszelkich materiałów, dotyczących tej niezmiernie ciekawej epoki, oczyszczanie ich staranną i sumienną krytyką od błędnie podanych faktów i przedstawienie charakteru owczesnego nastroju społeczności. Ci, co żyli w owych chwilach wiary, nadziei i miłości, a potem przeszli przez to morze łez, krwi i boleści, ci, co patrzyli na rozwój wypadków, które doprowadziły do strasznych następstw, połączonych zawsze z pogromem, — winni są zdać sprawę z tego, co widzieli, co odczuli i co przeżyli — na pamiątkę tych, którzy padli w walce i dla nauki tych, co wstępują na arenę życia....

Zacznę przeto od opisu tego, na co patrzyłem i czego się dotykałem, żyjąc w owym czasie

wśród społeczności moskiewskiej, — a potem przejdę do opisu szczytnych chwil moralnego dźwignięcia się społeczności polskiej i jej walki duchowej z brutalną siłą nieprzyjaciół.

Ostatnie lata panowania cara Mikołaja były okropne w całym słowa znaczeniu. Bezprawia nieustanne, pogarda ludzkich cierpień i ludzkiego życia, niepewność jutra i straszna samowola rządzących, wytworzyły w całej ludności jakiś chorobliwy stan negacyi, mizantropii i lekceważenia stałych podstaw moralności. Każdy z mieszkańców Rosyi, kto choć trochę rozglądnął się po świecie i porównał istnienie swoje z istnieniem ludów swobodnych, przeklął życie, zniechęcił przeszłość, która go doprowadziła do tego stanu, albo — pił, pił do zapomnienia, mrużąc piosnkę:

Dzięki ci, dzięki, mój ty siny dzbanie,
Żeś usunął smutek, przerwał me dumanie....

A kto pić nie mógł, ten się śmiał z wściekłości, która mu pierś rozsadzała. Jedyne też piśmiennictwo moskiewskie na świecie odważało się iść tak daleko w śmiechu swoim, — bo dla niego nie było nic świętego, ani w przeszłości, ani w terażniejszości.

W pierwszych latach piątego dziesiątka bieżącego stulecia, wszystkich w Rosyi, co żyć chcieli, napadł niepokój rozpaczy i ciężki stan utraty wszelkiej nadziei. Każdy, dla kogo nie wystarczyło samo tylko zwierzęce istnienie, czuł swą

nieużyteczność, widział, iż jest skazany na bezczynność, że jest zbity z drogi, obcy w rodzinie, obcy w kraju.

Jeden z ludzi serca, Czaadajew, nie powstrzymał się i odważył się wydrukować: że Rosya nigdy nie istniała po ludzku, że przedstawia negacyę rozumu i straszny przykład dla wszystkich ludów, że przeszłość jej była bezużyteczna, a przyszłość dla niej nie istnieje. — Usłyszawszy ten głos starca nad grobem, przeklinającego swoją ojczyznę, Mikołaj posłał na Sybir Dostojewskiego, wydawcę dziennika, który pomieścił ten artykuł, a Czaadajewa kazał uznać za obłąkanego i co tydzień posyłał do niego doktora, który miał obowiązek badać stan umysłowy tego mniemanego chorego i składać o tem raport carowi. Ta nieludzka komedia ciągnęła się aż do śmierci Czaadajewa.

Zaledwie kamień grobowy przycisnął wieko trumny tego Jeremiasza, odzywa się lutnia młodego poety Lermontowa, który taką odą zwraca się do młodego pokolenia: „Ze smutkiem patrzę na nasze pokolenie, bo jego przyszłość czczy i posępna; zestarzeje się ono w bezczynności i zwątpieniu. Życie nas męczy jak długa podróż bez celu, jesteśmy jak przedwczesny owoc, który opada wcześniej nim dojrzeje; zbliżamy się do mogiły bez szczęścia i sławy, przed zgonem rzucając wzrok gorzkiej pogardy na przeszłość naszą, bo nie zostawimy potomkom naszym ani myśli płodnej, ani pracy genialnej. I przeklinają oni nasze prochy, jak przeklina syn rodzica, co

zmarnował cały majątek“. — Ten poeta żył w ciągłej rozpacz, śmiejąc się z życia i zginął w pojedynku za bagatelę.

Przy Mikołaju też, w tem ciemnem państwie, żył wielki malarz Brulow. W jakich sferach szukał on natchnienia? Oto w ostatnim dniu Pompei, gdzie ludzie giną wśród trzęsienia ziemi, wśród wyziewów wulkanicznych i straszego kataklizmu, padają pod ciosami siły dzikiej, ślepej i niesprawiedliwej. Tylko takie w Rosyi można było zaczerpnąć natchnienie w panowaniu straszego kaprała.

Pewna część społeczności moskiewskiej, widząc do jakich rezultatów Piotr Wielki doprowadził kraj, zaszczipiając mu zachodnią cywilizację — rzekła: „Ojczyzna nasza drogę utraciła, należy wrócić do czasów przedpiotrowych, a rozwijając się na mongolskich tradycjach ojców, utworzyć własną, więcej odpowiednią potrzebom ducha cywilizację“. Byli to słowianofile, którychby stosowniej było nazwać *tatarofilami*, słowiańskie bowiem tradycje bardzo łatwo pogodzić z cywilizacją europejską, ale cywilizacja wchodnia, mongolska, nigdy się z nią nie pogodzi. Na czele tej partji był Aksakow. Stał on przeciwko tym, którzy wdychali do cywilizacji Zachodu. Obok tych partji krańcowych wystąpiła jeszcze trzecia: *niezależnych*. Z tej grupy wyszli najlepsi pisarze moskiewscy: Granowski, Bieliński, Czernyszewski, Niekrasów, Herceń i Ogarów. — Trzy te partje, mocno się różniąc w poglądach, schodziły się w jednym:

w potępianiu carskiego rządu i w opozycji, która objawiła się w dziennikarstwie, w wykładach naukowych, gdzie tylko można było, — nareszcie w samem milczeniu....

W chwili wybuchu lutowej rewolucyi we Francyi, Mikołaj postanowił zdusić wszelki ruch umysłowy, który objawił się w państwie jego, i zaczął jawną, nielitościwą wojnę przeciwko wszelkiej myśli, wszelkiemu swobodnemu słowu i wszelkiej nauce. Kilku z młodzieży zebrało się, aby pomówić o politycznej ekonomii, o socyalizmie.... skazano ich na rozstrzelanie, przeczytano wyrok na placu publicznym, zawiązano oczy i dawszy uczuć całą okropność konania, ułaskawiono ich na całe życie do katorżnych robót!... Nazwano to *spiski*em Pietraszewskiego.

Po tej egzekucyi nastąpiła w kraju cisza zupełna. Rząd zaprowadziwszy porządek, zamknąwszy usta wszystkim, nie spotykał już w niczem oporu. A jednak z dnia na dzień stawał się coraz podejrzliwszym i nawet lękliwszym; życie milczące i ponure, które go otaczało wszędzie, zaczęło straszyć rezygnacją bez przekonania i ślepem posłuszeństwem. — Mikołaj nie unikał krymskiej wojny, bo był przekonany, że wojna ta nie obudzi pragnień swobody... a był pewnym zwycięstwa, bo czyż to dawno jeszcze, jak austriacki generał Cabora pełzał u nóg jego generała? czy dawno Paskiewicz donosił: „Węgry u nóg waszej cesarskiej mości?“

Przegrawszy kilka walnych bitew, Mikołaj poczuł całą słabość organizacyi, dla której wszyst-

ko poświęcał. Przerwał więc dni swoje truci-
zną. Kato despotyzmu nie chciał przeżyć tego
porządku rzeczy, nad którym pracował lat trzy-
dzieści i który upadł przy pierwszym strzale ar-
matnim. Następca jego pospieszył za wrzeć pokój
ze sprzymierzonymi i za poradą umierającego
ojca dać nieco swobody i zmniejszyć prześlado-
wanie.

Wtedy to wszystko, co tylko było zagrzebane-
na dnie duszy, wystąpiło z protestacją. Litera-
tura patologicznych opisów, literatura denuncia-
torska była pierwszym płodem gwałtownego o-
swobodzenia słowa. Rząd wszystko pozwalał pi-
sać, co się tyczyło niższych klas biurokracyi, nie-
dopuszczając tylko krytyki tego, co się działo na
wyższych szczeblach hierarchii. Chociaż niewiele
korzyści z oczyszczania z dołu, gdy wierzch był
brudny, przecież wszyscy byli uszczęśliwieni, mo-
gąc odkryć nieporządki, ucisk i straszne naduży-
cia, które są tak zwykłe w ciężkim zarządzie
nieuczciwego biurokratyzmu azyatyckiego i nie-
mieckiego, patryarchalnego i wojskowego.

Ponieważ sam rząd mówił o konieczności re-
form, o duchu czasu i potrzebach nowej epoki,
liberalizm zaczął się szerzyć gwałtownie, stawał
się modą. Generałowie, dyrektorowie departamen-
tów, prezydenci izb różnych, zaczęli postrzegać,
że są oni w gruncie bardzo liberalni. Na obia-
dach, bankietach i recepcjach zaczęto popis-
wać się mówkami, w których jeden drugiego
starał się prześcignąć w wolnomysłności i dąże-
niu do „niezawisłości urzędników“.

Te pierwsze promienie swobody rzuciły ziarna nadziei w młode dusze, zaczęto wierzyć, że wiosna już nastaje. Okrzyki radości dalekiem echem ze stolic odbiły się na prowincyi, budząc ludzi z uśpienia i wlewając balsam nadziei w skrzeplę od dawnego zimna ciało społeczne Rosyi. Nadzieje te doleciały nad Niemen, Dniepr i Wisłę a serca mocniej zabiły.

Lecz o ile szerzył się liberalizm, o tyle tracił na doniosłości, głębokości i powadze. Mniejszość, która milczała za Mikołaja, zwróciła na to uwagę i wymagać zaczęła nie słów, ale czynu. Słabi natychmiast odstrychnęli się od niej, bo gra nie była bezpieczna, a ci, co zostali, zniechęcili żądających czynu, bo im tego zupełnie nie było potrzeba.

Lud w tym czasie ciągle stał na uboczu. Nie-szczęśliwe ukończenie wojny wschodniej podało mu myśl wyswobodzenia się od poddaństwa, powstając masami dla obrony kraju. Na Ukrainie chłopci powstali, — rząd ich uspokoił kulami i Sybirem. Było jasnym, że jedyną popularną kwestyą, mogącą lud rozbudzić, jest jego emancypacya. Otóż szlachta gubernii kowieńskiej podała pierwsza swój projekt uwłaszczenia włościan.

Szlachta moskiewska, zamiast, żeby przystąpieniem jak najprędzem pozyskać lud i nabrać siły i znaczenia, stanęła w upartej, a nieudolnej opozycji. Widząc to lud, oswobodzenia swego zaczął spodziewać się jedynie od cara, z naiwną wiarą powstając przeciwko szlachecie. Bunty wy-

buchły w różnych miejscach. Car znowu nakazał uspokoić kulami i bagnetami; chłop padał, lecz zachowywał wiarę w cara i przeklinał szlachtę. Ta ślepa wiara ludu sprawiła, że rząd, który dotychczas patrzył na lud z pogardą, zaczął powoli oceniać tęsiłę, którą lud mu dawał i opierając się na niej postanowił wzmocnić swe samowładztwo, nadwerężone nieco po śmierci Mikołaja przez własną nieożyłość.

Dopóki trwała walka rządu ze szlachtą, dzienniki wszystkich odcieni, redagowane przez popowiczów, profesorów i urzędników, podtrzymywały rząd w zamiarach jego oswobodzenia włościan. Był to szczególny peryod.

Powietrze północnej stolicy i całej Rosyi, — pisze Berg w swoich zapiskach o polskich powstaniach (str. 495) — było napełnione kolącą elektrycznością tak samo jak w Polsce. Takiego powietrza jeszcze nigdy może w Rosyi nie było. Dnia 19 lutego (3 marca) 1861 podpisał car manifest o oswobodzeniu włościan. Wszyscy tylko o tem mówili i oczekiwali nowych reform niemniej pięknych i wielkich. Wyobraźnia Bóg wie gdzie unosiła; wszystko kipiało, mali i wielcy, — a młody i niedoświadczony car, od dzieciństwa wychowany w despotycznej szkole, lękał się wszystkiego. Wtedy gdy zacofańcy starali się powstrzymać jego postępowe i wielkoduszne uniesienia, strasząc widmami babskich bajek, — postępowcom się przyśniło, że chwila ta jest powtórzeniem owego nadzwyczajnego czasu, gdy car Aleksander I, dając Polsce prawa, nawpół

obiecował to samo i dla Rosyi. Przypomniały się słowa z manifestu do sejmu r. 1818, że „połączenie dwóch koron na jednej głowie: absolutnej monarchicznej i konstytucyjnej królewskiej jest jednym z tych dziwnych objawów w polityce, który istnieć długo nie może, a jeżeli istnieje, to sprowadza burzę.“ Ci to ludzie zaczęli wierzyć, że można tak, bez puszczenia krwi, wypłynąć na suszę z grzęskiego, śmierdzącego błota... i ten ognek błędny, niknący za zbliżeniem się doń człowieka, ludzie gorącej wyobraźni poczytali za słoneczne promienie, pojawiające się na horyzoncie Europy....

Pamiętamy te czasy bardzo dobrze. Postępowi popierali Polaków szczerze i gorąco, nie ukrywając się z tem, że dają poparcie nie dla tego tylko, aby okazać sprawiedliwość pobratymcom, ale, że w tem widzą korzyść dla kraju własnego, gdyż spodziewają się, że słońce swobody, świecące w Polsce, oświeci następnie i Moskwę. Dla tego też projekty reform, które przywiózł do północnej stolicy — najpierw Karnicki, a następnie Wielopolski, doznały tak mocnego poparcia ze strony wolnomyślnych Moskali w Petersburgu i tak prędko otrzymały sankcyę cesarską. Postępowi, którzy byli wówczas u steru, spieszyli, — obawiając się radykalnego zwrotu myśli cara w inną stronę, jak to się tak często zdarza w państwach absolutnych i jak się to rzeczywiście wkrótce przytrafiło.

Nim jednak przystąpimy do opisu tej zmiany w zapatrywaniach rządu i w postępowaniu tegoż,

musimy powiedzieć, że w pogadankach i w porozumiewaniach, które Polacy nawiązali z postępowcami moskiewskimi, nieustannie ukazywał się jeden szkopuł, o który rozbijało się porozumienie stron obu, — a tym była kwestya granic przyszłych, na wypadek, gdyby Polska wywalczyła zupełną autonomię. Polacy mówili, iż historyczna konieczność wymaga, aby razem z Polską uzyskała autonomię Litwa, która z nią się złąła dobrowolnie, — Moskale zaś odpowiadali, że to jest niemożliwem, bo lud na Rusi jest bardziej zbliżony do nich wyznaniem i zwyczajami, aniżeli do Polski i że w Unii przyjmował udział nie lud, a tylko nieliczna inteligencya. — Jeden z najzdolniejszych i najuczciwszych pisarzy ówczesnych, Mikołaj Czernyszewski, mówił do mnie: — „Nie wiercie nam panowie Polacy, bo gdy przyjdzie sprawa granic na stół, pogryziemy się jak psy o kość, a nie oddamy wam Litwy nigdy!...”

Gdy pierwsze ofiary padły w Warszawie, objawiła się w stolicy rzecz niesłychana. Studenci polscy dnia 1 (13) marca zamówili w kościele św. Katarzyny mszę żałobną za pomordowanych i zaprosili na to nabożeństwo kolegów swych Moskali i profesorów. Studenci przybyli, a z nimi profesorowie Czajkowski, Kostomarów, Łaguna, i Spasowicz. W Petersburgu, w kościele na Newskim prospekcie zaśpiewano „Boże coś Polskę“ a Moskale wtórowali Polakom. Gdy w mieście zaczęto mówić o tem, Delanów zgromił profesorów, wy-

toczył śledztwo studentom Polakom, którzy zamówili nabożeństwo i chciał ich wydalic z uniwersytetu. Studenci moskiewscy objawili natychmiast, że jest to niesprawiedliwie, i że jeżeli chcą wydalac, to niech wydalą wszystkich, gdyż wszyscy byli na tem nabożeństwie. Delanów otrzymał rozkaz zostawic tę sprawę bez dalszych następstw.

Wkrótce jednak to samo powtórzyło się w Moskwie, Kijowie i w pułkach konsystujących w Polsce. Rząd nieprzywykły do tego rodzaju demonstracyi, był przerażony, — lecz co jeszcze więcej przerażyło cesarza, to pojawienie się proklamacyi młodzieży moskiewskiej, proklamacyi tajemnie drukowanych i wiadomość, że studenci kazańskiego uniwersytetu zebrałi się na nabożeństwo żałobne za duszę włościanina Antonowa, rozstrzelanego na rozkaz Apraksina, wskutek bezbronnego oporu ludu, uśmierzonego z dziką srogością. Profesor Szczapów miał mowę nad grobem męczennika. Tego już rząd ścierpieć nie mógł. Zaczęły się prześladowania. Oficerowie obecni na nabożeństwie po pomordowanych w Warszawie, oddani zostali pod sąd wojenny. Szczapów został aresztowany i wtrącony do więzienia tajnej cesarskiej kancelaryi.

Zaczęły się polityczne procesa. Michajłow, poeta, za odezwę do młodego pokolenia, odezwę, która nie miała żadnych skutków i zaszkodziła raczej niewielkiej liberalnej partyi. anizeli rządowi, — został zesłany do kopalń na lat siedm i wkrótce umarł w ciężkich robotach. Po nim

aresztowano wojskowych: sztabs-kapitana Obruczewa i porucznika Grigorjewa. W roku 1862 rząd kazał sądzić oficerów: Arnolda, Sliwińskiego, Kaplickiego i podoficera Rostkowskiego za szerzenie między oficerami i żołnierzami niezadowolenia i za sprzyjanie sprawie polskiej. Wszyscy ci młodzi ludzie zostali rozstrzelani, a żołnierz Szczur, za to, że nie denuncyował swoich oficerów, przepędzony został przez pałki i zesłany na Sybir.

Aleksander II nie lubił podpisywać wyroków śmierci i jak Piłat umywał ręce, zostawiając ten okropny obowiązek generałom swoim. Wyrok na biednych oficerów podpisał generał Lüders, pomimo najsolenniejszego przyrzeczenia, że nie ukarze ich śmiercią. W kilka dni potem, jeden z oficerów pułku, w którym służyli zabici, w ogrodzie Saskim w Warszawie z zemsty kulą roztrzaskał mu szczękę.

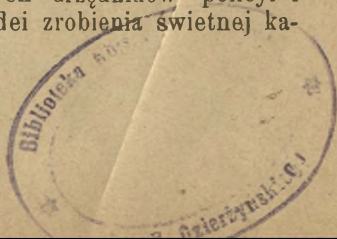
W październiku tegoż roku, pułkownika Krasowskiego, rannego pod Sebastopolem, udekorowanego i zasłużonego, przyprowadzono na plac publiczny w Kijowie; tam zerwano z niego epolety i dekoracje, włożono nań ubiór aresztancki i zakutego w kajdany powleczono na Sybir do ciężkich robót na lat dwanaście. Występkiem jego była prośba do żołnierzy, aby nie strzelali do włościan.

W tym samym czasie zaczęły się rozruchy między studentami w Petersburgu i w Moskwie. Prześladowanie studentów, jako następstwo tych rozruchów, odbywało się z taką gwałtownością

i z takim niepotrzebnym skandalem, że car, słysząc o ogólnem oburzeniu, uwolnił od obowiązku Putiatina, ministra oświaty, i Ignatjewa, petersburskiego generał-gubernatora.

Nowy minister oświaty Gołownin i minister spraw wewnętrznych Wałujew, bardzo zręcznie się wzięli do uspokojenia młodzieży i hałasów opozycyjnego dziennikarstwa. Gołownin, prawiąc ciągle o swobodzie dziennikarskiej w przyszłości, obostrzył cenzurę do nadzwyczajnego stopnia. Niby idąc za wskazówkami dziennikarzy, dawał im wzajemnie takie rady, że ton dzienników zaczął się zmieniać widocznie. Taż sama metoda była użyta i w sprawach ministerstwa oświaty. Po wypowiedzeniu w organach publicznych konieczności reform w uniwersytecie w liberalnym kierunku, napisano ustawę taką, która studentom odbierała wszelką niezależność. Ale największą zasługą ministra przed rządem było to, że ustawę wypracowało nie ministerstwo, ale grono profesorów, którym Gołownin porучył tę sprawę.

To, co Gołownin robił w ministerstwie oświaty, Wałujew, dworzanin, elegancik, wiecznie wyperfumowany, obwieszony brelokami, pierścieniami i bransoletami, robił w ministerstwie spraw wewnętrznych z większą nawet otwartością i nie używając tyle ostrożności. Prawda, że administracja ministerstwa była zwinniejsza, bo nie składała się ze starych profesorów i młodych uczonych, lecz z wysłużonych urzędników policyi i młodych entuzjastów idei zrobienia świetnej ka-



ryery. Wałujew pełnił swój obowiązek kierowania opinią publiczną nawet z pewnym humorem.

Wiedzano naprzykład, że Krajewski był zadłużony po uszy, że grał w karty, że miał dobre pióro i był liberałem. Obowiązek nakazywał ministrowi wesprzeć utalentowanego człowieka— dał mu więc zapomogę. Z wdzięczności napisał dziennikarz słów kilka na pochwałę cnót rządu— i stracił na tem w dwójnasób: wsparcie ustało i reputacya jakoś się popsowała, gdyż nie wiadomo z kąd, wszyscy się dowiedzieli, iż Krajewski otrzymuje wsparcie od rządu dla swego dziennika. Rok się kończy, a tu abonentów nie ma (bo dopiero od roku 1863 publiczność moskiewska z sympatją zaczęła czytać dzienniki przez rząd wspierane), Krajewski przestraszony, udaje się do ministra z prośbą o ratunek. Minister odpowiada, że to bardzo trudno, że możnaby wprowadzić dać dziennikowi ogłoszenia ministerstwa wojny, ale tu inna bieda, — minister wojny nie jest bowiem tak liberalny, jak Wałujew. Dziwnym jednakże wypadkiem i redaktor także czuł się codziennie mniej liberalnym; otrzymał więc prawo anonsów i stanął w rządzie dziennikarzy rządowych.

Ponieważ ilość dzienników w Rosyi nie w elka, dzięki więc metodzie wsparć i doktrynom ministra oświaty, sprawy szły dobrze. Prawiono dysertacye u Gołownina, śmiano się z Wałujewa, a dziennikarstwo z dnia na dzień stawało się konserwatywniejszem i narzędziem powolniejszem w rękach rządu.

Pożar Petersburga dodał nowych sił rządowi. Nie było wątpliwości, że stolica była podpalana. Otóż każdy, kto wyrażał opinie niezawisłe i kto na swe nieszczęście nie mówił tak, jak rząd wymagał, był natychmiast posądzany, — jeżeli nie o podpalanie Petersburga, to o sympatyę dla podpalaczy. Generał Potapow, szef policyi tajnej, zacierał ręce z radości, bo połowę pracy policyi tajnej wzięło na siebie dziennikarstwo. Gorliwość dzienników przechodziła wszelką miarę. Wymagano od rządu wyjątkowej, nadzwyczajnej srogości. Organ Krajewskiego *Gołos* tak pisał w tym czasie: „Wszyscy oczekujemy, że policya odkryje tych zbrodniarzy, że imiona ich będą publikowane, że dowiemy się, kogo mamy się obawiać. Wszyscy domagają się ich ukarania. Lud chciałby tym niegodziwcom wyznaczyć karę tak wielką, jakiej prawo nie zna, lud sądzi, że rozstrzelanie, lub powieszenie, to zbyt łagodna kara, zbyt szlachetna dla tych barbarzyńców. Jeżeli popadną w ręce ludu, on ich spali na stosach, on ich żywcem zakopie w tej ziemi, w tych murach, które się przedstawiają oczom naszym jak pomniki zbrodni i obłąkania tych ludzi. W każdym razie lud liczy na to, że będą szubienice, że będą rozstrzeliwania, — lud łaknie zemsty!”

Mosk. Wiedomosti Katkowa pisały w tym czasie: „Najwięcej winni nie podpalacze, nie ci, co podkładają żagiew, lecz ludzie, co głoszą podżegające doktryny.“ Jeden z klerykalnych dzienników, redagowanych w duchu prawosła-

wnego jezuityzmu, poszedł jeszcze dalej: „gdy szukają złodzieja, publikują rysopis jego. Dziś szukają podpalaczy: jakże ich poznać? Podpalacz jest to człowiek, który w Boga nie wierzy, który nie ma religii, nie szanuje władz ustanowionych, który nareszcie rozszerza rewolucyjne zasady Zachodu... i t. d.“

Rezultat takiego pięknego nastroju literatury był bardzo korzystny dla rządu. Gdy się zaczęły nieporządki w uniwersytecie moskiewskim, rząd mógł je stłumić z bezwzględną surowością, bo lud zaczął już być nważać studentów za podpalaczy. Jeden tylko dziennik (*Sowremiennik*) ośmielił się podnieść głos w obronie studentów i dziennik ten został natychmiast zawieszony. Nie zadowolniając się tem, rząd aresztował redaktora tegoż dziennika Czernyszewskiego, który pomimo zabiegów Wałujewa nie dał się przekupić — i wrzucił go do zgniłego więzienia w petersburskiej cytadeli. Wkrótce wtrącono do fortecy Sierno-Sołowjecz a i jeszcze kilku ludzi podejrzanych o konspiracyę przeciwko rządowi. Zwykle komisye, prowadzące śledztwo tego rodzaju, przedstawiają sprawę całą senatowi, a ten, pragnąc okazać gorące swe przywiązanie do tronu, nigdy nie pobłąza nieprzyjaciołom rządu. Czernyszewski i Sierno-Sołowjecz zostali skazani na siedm lat katorżnych robót i na wieczne osiedlenie w Syberyi. Czernyszewski po dwuletniem więzieniu w kazamacie zmienił się okropnie: blada twarz jego opuchła i dostał skorbutu. Kazano mu uklęknąć przy słupie pod prę-

gierzem, złamano szablę nad głową i trzymano go na klęczkach przez pół godziny. Jedna panna rzuciła bukiet do wozu, w którym go wieziono, — natychmiast ją aresztowano. Stary przyjaciel krzyknął zdaleka: *adieu!* — i tego aresztowali.

Po pozbyciu się największych przeciwników, nastraszywszy ludzi słabego serca, rząd śmiało mógł iść, gdzie mu się podobało. Syn Mikołaja stanął znowu na ojcowskiej okrwawionej drodze z której zeszedł był w początku panowania swego.

Powstanie polskie nastęrczyło wyborną sposobność ministrowi spraw wewnętrznych do rozpoczęcia sławnej patriotycznej agitacji, wywołując adresy do cara, wobec możliwej europejskiej wojny. Urzędnicy ministerstwa przebiegali prowincye, wskazując gubernatorom potrzebę adresów i rozdając nawet formularz adresu. Formularz ten był drukowany i oznaczał wymagane *minimum* przywiązania do cara; wszelką nadwyżkę hołdu przyjmowano z wdzięcznością. Lud został także pociągnięty do tych wiernopoddańczych manifestacyj. Chociaż niezadowolony ze sposobu usamowolnienia, lud był wdzięczny carowi i oczekiwał od niego swobody *złotej*, to jest swobody z nadaniem ziemi. Wezwania gubernatorów tem więcej podziały na lud, gdy mu powiedziano, iż Polacy są przyczyną zamierzonej przez Europę napaści na Moskwę, tak jak to było w 1812 roku i że powstanie z tego powodu wybuchło, iż Polacy, to jest panowie i katolicy księża, oburzeni są przeciw carowi za oswobodzenie włościan. Je-

dnem słowem Wałujew prześcignął w kłamstwie Meternicha z r. 1846.

Szlachta moskiewska dostrzegła, że ten wier-nopoddańczy patryotyzm jest wcale niekosztownym środkiem zbliżenia się do rządu i odzyskania jego względów. Rada była z tego odkrycia, bała się bowiem, że pozostając w opozycji, może zmusić rząd do zbliżenia się do ludu i do rewizyi dekretu usamowolnienia w duchu bardziej przychylnym dla włościan. Adres tymczasem był takim tanim środkiem odzyskania dawnego stanowiska... Szlachta więc we wszystkich guberniach i powiatach raptownie poczuła w sobie ogień patryotyzmu, którego świadectwo pospieszyła złożyć u stóp tronu.

Pozostawało jeszcze przychylić do widoków rządu cywilizowaną społeczność obu stolic, towarzystwa literackie i młodzież — a te wiedziały jak się piszą podobne adresy. Ale tu Europa dopomogła.

Moskale nawykli są do szanowania opinii Zachodu, chociaż udają, iż im ona nie imponuje. Lecz Europa, jak gdyby nią kierował drugi jaki Wałujew, tak beztaktownie, tak głupio straszyla swemi notami, swemi bezbronnemi demonstracyami i swemi pokojowemi krzykami o wojnie, że nietylko urok jej zbladł zupełnie, ale rozdrażnieni Moskale zaczęli szydzić z niej, robiąc namyślnie wszystko to, co ją oburzało. Na tę właśnie epokę przypada największe pastwienie się nad powstańcami i wszystkimi co przyjęli udział w powstaniu.

Rząd postanowił zgnieść Polskę i zniszczyć, nie robiąc żadnego dla niej ustępstwa i wciągnąć cały naród moskiewski do tej nieludzkiej polityki. Rząd umiał skorzystać ze swego położenia, bo cały naród rzekł: „niech krew jej padnie na nas i na dzieci nasze!...“

Reakcyja zaczęła się w Moskwie i rosła tak szybko, że jeden profesor prawa, uczeń Granowskiego, który niegdyś był bożyszczem uniwersytatu, zaczął swój wykład lekcją „filozofii biernego posłuszeństwa“. Mowca starał się przekonać słuchaczy, że nie ma w tem zasługi, gdy się szanuje prawa sprawiedliwe, lecz, że wielkim obowiązkiem człowieka jest bez względu na posłuszeństwo wszelkiemu prawu, chociażby było głupie i niesprawiedliwe, jedynie dla tego tylko, że jest prawem. Taka była teoria, — wkrótce przeszła i praktyka.

Ustawa uchwalona dla uniwersytetu petersburskiego została zastosowana i do studentów Moskwy. Oburzeni studenci udali się do profesorów, aby poparli ich protest, ale profesorowie opuścili studentów, a ci, nie widząc innego wyjścia, zebrali się przed domem generał-gubernatora, prosząc o pozwolenie posłania do niego deputacyi. Prośbę tę uznano za bunt i posłano po wojsko. Ściśnięci przez żandarmeryę konną i pieszą, napadnięci przez tłum, który policya podburzyła, mówiąc, że to są Polacy i szlachta, domagająca się powrotu do dawnego stanu poddaństwa chłopów, — studenci zostali zbici, poranieni, poaresztowani i osadzeni w więzieniu.

Krew tych studentów była pierwszą krwią, wylaną w starej stolicy od r. 1812.

Senat uniwersytecki, pragnąc usunąć wszelkie podejrzenia, iż przyjmował udział w demonstracyi, pośpieszył z przedstawieniem ministrowi memoryału, w którym denuncyował piśmiennictwo, społeczność, nawet generał-gubernatora moskiewskiego — i całą odpowiedzialność za smutne wypadki zrzucił na studentów. A działo się to w chwili, gdy prawie połowa uniwersytetu była w więzieniu. Memoryał ten chowano w wielkiej tajemnicy i wydrukowano tylko w pięciu egzemplarzach, tak, że w samej Moskwie nie wielu wiedziało o nim.

Minister był bardzo zadowolony z Moskwy i podziękował profesorom za ich gorliwość, a cenzurze wydał rozkaz, aby nie pozwalała krytykować nowego katechizmu o „biernem posłuszeństwie“. Mając takie poparcie panów profesorów, postanowiono wybudować w Moskwie wielką fortecę wstecznego patriotyzmu i reakcyę rozciągnąć na całej linii.

W uniwersytecie znajdował się człowiek, który zyskał był reputacyę liberała jako redaktor pisma *Rus. Wiestnik*, w epoce pierwszego obudzenia się swobody słowa po śmierci Mikołaja. Syn więziennego dozorca, wychowany za pieniądze skradzione na wikcie i odzieży aresztantów, przywykły od dzieciństwa patrzeć spokojnem okiem na cierpienia ludzkie, posiadając przytem straszną dozę ambicji i kierując się jedynie osobistymi widokami, K a t k o w zaczął głosić wyz-

szość angielskich instytucyj i szacunek dla prawa, wolności i równości. Były to artykuły z *Westminster-Review*, które podając za swoje, uchodził za umiarkowanego liberała, admiratora angielskiego prawodawstwa i lubownika wszystkiego, co niemieckie.

Z redaktora przeglądu miesięcznego, Katkow stał się wkrótce redaktorem *Mosk. Wiedom.*, pół-urzędowego organu, wydawanego pod opieką uniwersytetu. W dzienniku odgrywał Katkow dalej tę samą rolę, mówiąc ciągle z głęboką pogardą o społeczności moskiewskiej, ucząc według książki Gneista szacunku dla Anglii i ciągle napadając na młodzież petersburską. Ta rola wujaszka z prowincyi, wydawała się śmieszną w literaturze i stała się powodem polemiki, w której Katkow po raz pierwszy pokazał, do czego był zdolnym. Na sarkazmy odpowiadał obwinieniami, na żarty donosami i wprost, bez ceremonii powiedział: że młodzież siedząca w więzieniu za proklamacye, była moralnie zespolona z podpalaczami Petersburga. Katkow zwrócił przez to uwagę na siebie, bo podtrzymywał rząd z najsłabszej strony jego, — ze strony walki z młodzieżą, która miała za sobą większość opinii publicznej.

Od tej chwili anglomania Katkowa zbladła. Przystawszy kochać się w równości i szanować prawa osobiste człowieka, Katkow rozpoczął zająć wojnę przeciwko Polsce. Człowiek ten wziął na siebie obowiązek uniewinniania najokropniejszych środków, których wtedy używała admini-

stracya moskiewska. Głośno objawił zdanie, że ci wszyscy są zdrajcami ojczyzny i cara, [którzy nie zapatrują się na te rzeczy z tegoż co on punktu widzenia — i palcem wskazywał na niedość gorliwych, jako [na podejrzanych. Każdy krzyk niezadowolenia, który podnosił się od czasu do czasu przeciwko takiemu postępowaniu, stawał się nowym bodźcem dla redakcyi, a niczem nie zachwiana zuchwałość odpowiedzi wskazywała, że dziennik ma pewne zabezpieczenie, pewne oparcie.

W Katkowie nie przemawiało silne przekonanie, wielka namiętność, lub fanatyczna miłość ojczyzny. Uczucia te mogłyby usprawiedliwić do pewnego stopnia postępowanie jego. Znałem go osobiście i wiem, że ludzkie uczucia nigdy nie ogrzewały tego skrzepłego serca, tego zimnego umysłu, ze spokojnością prosektora przewracającego wnętrze każdego człowieka, którego nie nawidził za to jedynie, że tamten był wyższy od niego. Dla lepszej charakterystyki wartości moralnej Katkowa opowiem, co słyszałem o nim z ust Hercena. Katkow był niegdyś związany przyjaźnią z poetą moskiewskim p. O. i korzystając z tego uwiódł mu żonę. Po jakimś czasie przyjazne stosunki oziębiły się, polityczne i naukowe spory doprowadziły do nieporozumień, do niechęci; raz, po ostrem przemówieniu się, Katkow od O. otrzymał policzek. Postanowiwszy zemścić się, Katkow zebrał listy żony O. do niego pisane jako do kochanka i przesłał je dawnemu przyjacielowi, aby zniszczyć szczęście jego

domowe, — a równocześnie denuncyował go tajnej cesarskiej kancelaryi jako wroga rządu.

Do okropności, jakie działały się w Polsce, Litwie i Rusi, najwięcej się przyczyniły *Moskow. Wied.* i rząd zaczął próbować dzikich egzekucyj i konfiskat, rozkazał prześladować tych, co śpiewali hymny i aresztować kobiety za noszenie żałoby po zabitych mężach i ojcach. Następnie powstrzymał się czas jakiś, szpiegując i słuchając, jakie to sprawiło wrażenie. W społeczności moskiewskiej były dzikie instynkty i tygrysie za chcianki, lecz nikt nie miał odwagi ich wypowiedzieć... W braku moralności i ten wstyd był dobrym.

W tej chwili wahania dziennik mający za sobą reputację oddawna zyskaną, a za nią urok uniwersytetu i opinij konstytucyjnych, podjął się bronienia najokropniejszych zbrodni, spełnianych na Polsce, najohydniejszych i najbezużyteczniejszych egzekucyj. Zwierżące namiętności społeczności moskiewskiej natychmiast podniosły głowę przez organ Katkowa, przez *Północną Pszczolę* i *Gołos*, którym powodzenie Katkowa spać nie dawało i które się starały prześcignąć się w nienawiści ku krwią oblanej Polsce. Wszelka opozycya przeciwko Katkowowi była niemożliwą, bo straszną siłą *Mosk. Wied.*, siłą, która wstrzymywała nie tylko pisarzy, ale i cenzorów, była — denuncyacja.

Dziennik *Wremia*, redagowany przez Dostojewskiego, umieścił artykuł o Polsce, w którym kilka po ludzku wypowiedzianych myśli prze-

szłoby niepostrzeżenie. Katkow zadenuncyował na tychmiast i dziennik został zawieszony.

„Ależ to nie nazywa się piśmiennictwem, — zawołał dziennik na zarzuty organu Katkowa, który go denuncyował, — to nie dyskusya, ale proces kryminalny, który wy nam wytaczacie!“ — „Pśmiennictwo! — odpowiedział Katkow, — dyskusye literackie?... My nie zajmujemy się takimi bagatelami! My wyświecamy sprawy, które nas interesują, my nie mamy czasu zajmować się waszą literaturą. Lecz niemniej zajmujemy się nią; sądzimy, że przypatrzenie się bliżej temu, co się dzieje w petersburskiem dziennikarstwie, nie będzie zbytecznem. My zajmujemy się słuzeniem dobrej sprawie i zdemaskujemy nieprzyjaciół przeszkadzających wypełnieniu planów rządu!“

Wieść o nominacyi okropnego Murawiowa, znanego w całej Rosyi ze złodziejstwa, zdzierstwa i bezduszności, wiadomość o pierwszych jego czynach na Litwie, krwawe saturnalia, które sam rozpoczął, obudziły resztki sumienia w niektórych, wstrząsnęły serca wielu ludzi. Żeby uspokoić sumienia, żeby zgnieść to ludzkie uczucie, Katkow natychmiast napisał: „Rosya nigdy nie zapomni wielkich usług, które jej oddaje ten wielki człowiek. Rosya słać będzie ludzi, którzy pracują bez wykretów wśród przestępców i potwarców. Ci ludzie powinni wiedzieć, że cała Rosya poprze ich sympatyą swoją — jest to bowiem jej obowiązek. Tak, cała Rosya powinna stanąć obok tych ludzi, którzy nie wzdrygają się

„przed najokropniejszymi środkami dla zbawienia ojczyzny. Ponieważ jest powstanie — musimy je zdusić. Bylibyśmy zdrajcami podłymi, „gdybyśmy odmówili spełnienia naszego obowiązku. Nikt nie ośmieli się zrobić wyrzutu zwycięzcy, pokrytemu laurami, za to, że był krwiuchciwym. Dygnitarz, który odbiera energiczne „środki, nie może być obwiniony o okrucieństwo“.

Artykuł podobał się wszystkim, bo uspakajał sumienia. Arcykapłan moskiewskiego dziennikarstwa rozgrzeszał całą społeczność. Literaci, członkowie Dżokej-klubu, złota młodzież z siwemi włosami, ofiarowali bankiet dla Katkowa, na którym po raz pierwszy wniesiono toast za zdrowie Murawjowa i Katkowa razem! W najstraszniejszych dniach francuskiej rewolucyi nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Nie znajdujemy tam bowiem bankietów na cześć Carrier'a, Fouquier-Tinville'a i Fouché'go!

Przykład dany przez Moskwę znalazł naśladowców w Petersburgu i na prowincyi. „Było to coś okropnego, zastraszającego, patrzeć, jak szlachta, arystokracja, kupiectwo, cała cywilizowana społeczność stumilionowego państwa, bez wyjątku narodowości, mężczyźni i kobiety, w chwili, gdy w Polsce poświęcenie się dla ojczyzny dochodziło do zenitu, ślali telegramy dziękczynne, adresy pozdrawiające i obrazy świętych dla znanych złodziei i katów, którzy nie zakasowując rękawów broczyli ręce we krwi i śmiejąc się, patrzali na konwulsyjne drgania powieszonych, — dla ludzi, co nie narażając się na polu bitwy,

uśmierzali kraj szubienicą, bagnetem, konfiskatą i najstraszniejszymi moralnymi torturami!..“ (Hercen: *Kołokoł*).

Mosk Wied., była to rana cuchnąca, — lecz wojna polska pokazała, że w całym organizmie moskiewskim krew jest zepsuta, sposoczona długą niewolą mongolską, a potem carską. Agitacye, zarządzane na prowincyi przez ministra spraw wewnętrznych, odkryły, jak jest jeszcze dzikiem plemię moskiewskie i jak głęboko tam sięgnęła demoralizacya. Lud moskiewski szydził i pastwił się nad partyami polskich jeńców w kajdanach, dążących w śnieżne stepy Azji, a mały tyran wsi każdej admirował siebie samego w osobie Murawjowa i wdzięczny był Katkowowi, że mógł się tem pochwalić. Katkow dał inicjatywę pierwszemu słowu, pociągnął za sobą słabych, uspokoił wahania się niepewnych siebie, którzy bez zachęty jego nigdyby nie zdobyli się na odwagę należenia do tej uczty kannibalskiej. Wielu ludzi przyjęło udział w tej demonstracyi silnego przeciw słabemu, w głębokiem nawet przekonaniu, że wypełniają patryotyczny obowiązek, bo ich pociągał za sobą jedyny dziennik, który czytano wówczas na prowincyi.

Część rządu spostrzegła nareszcie, że za daleko zaszła, lecz już było za późno. Namiętności były spuszczone z łańcucha i ta umiarkowana część już nie zrobić nie mogła: wszystko, co powstrzymywało strumień, było złamane, powalone przez partyę czynu, mającą na czele Katkova i Murawjowa. Car zatykał sobie uszy, gdy

mu mówiono o Polsce i pozwalał satrapom swoim robić, co im się żywnie podobało. Wielki ks. Konstanty z oburzeniem odezwał się o tem, co się dzieje na Litwie, — profesor Katkow rzucił na niego słowem „zdrada“ i brat cesarski musiał pojechać do gorzkich wód niemieckich, aby się pozbyć choroby, która mu nie pozwalała patrzeć na sprawy polskie tak, jak Katkow patrzył na nie.

Kijowski generał - gubernator Anienkow, człowiek nie słynący ze słodyczy i ludzkości, nie okazywał jednak tyle artystycznej żarliwości i ostentacyi w prześladowaniach, co Murawjow. Gazeta Katkowska ogłosiła go podejrzanym i od tej chwili każdy krok jego zaczął być śledzony. Student kijowskiego uniwersytetu Romuald Olszański, utrzymujący szkołę konnej jazdy, wstąpił do szeregów powstańczych. Wziętego w niewolę kazał Anienkow sądzić sądowi wojennemu, a ten go skazał na całe życie do katorżnych robót. Na wyrok ten, marszałek szlachty, nazwiskiem Butowicz i profes. Józefowicz, do których nie to nie należało, zaprotestowali, domagając się od generał-gubernatora wyroku śmierci na tego człowieka. Anienkow, którego nastraszyli, że *Mosk. Wied.* pozbawią go zaufania w Petersburgu, zawiesił sprawę, kazał ją rozpatrzyć na nowo i skazał Olszańskiego na rozstrzelanie w kijowskiej fortecy.

Wyjazd W. księcia Konstantego za granicę otworzył oczy nie tylko Gołowninowi, z którym Konstanty był w przyjacielskich stosunkach,

lecz także Wałujewowi i innym. Im się zachciało wepchnąć furię patryotyczną w ramki, które były przygotowane w ich kancelaryach, lecz jak powiedzieliśmy wyżej, maszyna puszczona przez nich w ruch, nie poddawała się już ich kierownictwu. Zaczęła się walka (*risum teneatis!*) między światem ministeryalnym z jednej strony, a piśmiennictwem rządowym z drugiej. *Mosk. Wied.* przyjęły walkę i podwoiły pioruny swoje. Nie mogąc wprost napadać na ministrów, Katkow napadł na ich organa: *Siewiernaja Poczta* i *Gołos*.

Bardzo komiczny wypadek oznaczył kulminacyjny punkt znaczenia *Mosk. Wied.* — Minister oświaty chciał publikować w *Gołosie* usprawiedliwiający sprawozdanie z administracji W. ks. Konstantego w Polsce. Cenzor nie chciał przepuścić artykułu. Kazano mu powiedzieć, że artykuł pochodzi od ministra, a zatem od jego bezpośredniego przełożonego. Na to cenzor odpowiedział, że gotów jest dać pozwolenie na wydrukowanie, jeżeli pan minister weźmie na siebie odpowiedzialność, gdyż, dodał, „w artykule są wzmianki i alluzye skierowane przeciw *Mosk. Wied.*, one za to zadenuncyują mnie i ja stracę posadę“.

Katkow tymczasem karcił na prawo i na lewo niekarnych i ciągle odszukiwał zdrajców. Jednego dnia napomknął, że liberalna partya rządu zdradza tajemnice stanu korespondentowi *Times'a* i nazwał nieprzyjaciołmi kraju i podejrzanymi Suworowa i jeszcze kilka osób, które nie

chciały należeć do składki urządzonej dla ofiarowania katowi Litwy obrazu archanioła Michała. Myśl tego podarunku podały samice moskiewskiej szlachty...

Upadek moralny całego narodu był tak wielki, że zachwycono się wiadomościami o śmierci tyłu a tyłu Polaków powieszonych. *Mosk. Wied.* piszą naprzykład dnia jednego: „Warszawa jest „teraz pełną życia, ma teatr francuski, trupę „doskonałą akrobatów w dolinie Szwajcarskiej, „muzykę w ogrodzie Saskim i w parku Łazienkowski. Publiczność wszędzie napływa, ale najliczniej i najtłumniej zjawia się raz na tydzień „na dworcu kolei żelaznej. Na tej modnej „promenadzie zbiera się cztery do pięciu tysięcy osób. Tam także jest muzyka, ale szczególnego rodzaju: płacz, narzekania, krzyki. Ta „promenada, ta rozrywka, ta uciecha, nazwijcie ją jak chcecie, jest niczem innym, jak tylko „sceną pożegnania ze skazańcami politycznymi, „których wysyłają na Sybir... Innym razem „miejsca publiczne są puste, bo promenada „skierowała się ku stokom cytadeli warszawskiej, „gdzie także odbywają się szczególnego rodzaju „rozrywki: wieszają tam skazanych na śmierć...

Takie to rzeczy, w tonie lekkiej, swobodnej, na wpół uśmiechniętej pogawędki, drukowała najpopularniejsza i najwięcej w Rosji czytana gazeta. Nikt się nie oburzał i w nikim nie odezwało się obrażone uczucie ludzkiego serca i sumienia!...

Po tych wszystkich świetnych zwycięstwach, zrobił Katkow jeszcze kilka kroków naprzód.

Lecz dalej iść nie mógł, — temu Mazaniellowi dziennikarstwa głowa się zawróciła, — on był w gorączce, nie mogąc podjąć takiej wielkości i znaczeniu. Rzucił się na wszystko, co chociaż zdawało nosiło ślad niezawisłości, — z tą samą zjadłością, z tą samą nienawiścią, która charakteryzowała go, gdy wyrzucał rządowi, że nie karał śmiercią dzieci czternasto i piętnastoletnich, wziętych w niewolę w czasie polskiego powstania, — lub jak wtedy, gdy chłopom nadano prawo być sądzonymi przez chłopów. Katkow trząsał się jak w febrze przy najlżejszym wietrzyku swobody, wiejącym z Australii, lub z argentyńskiej rzeczypospolitej.

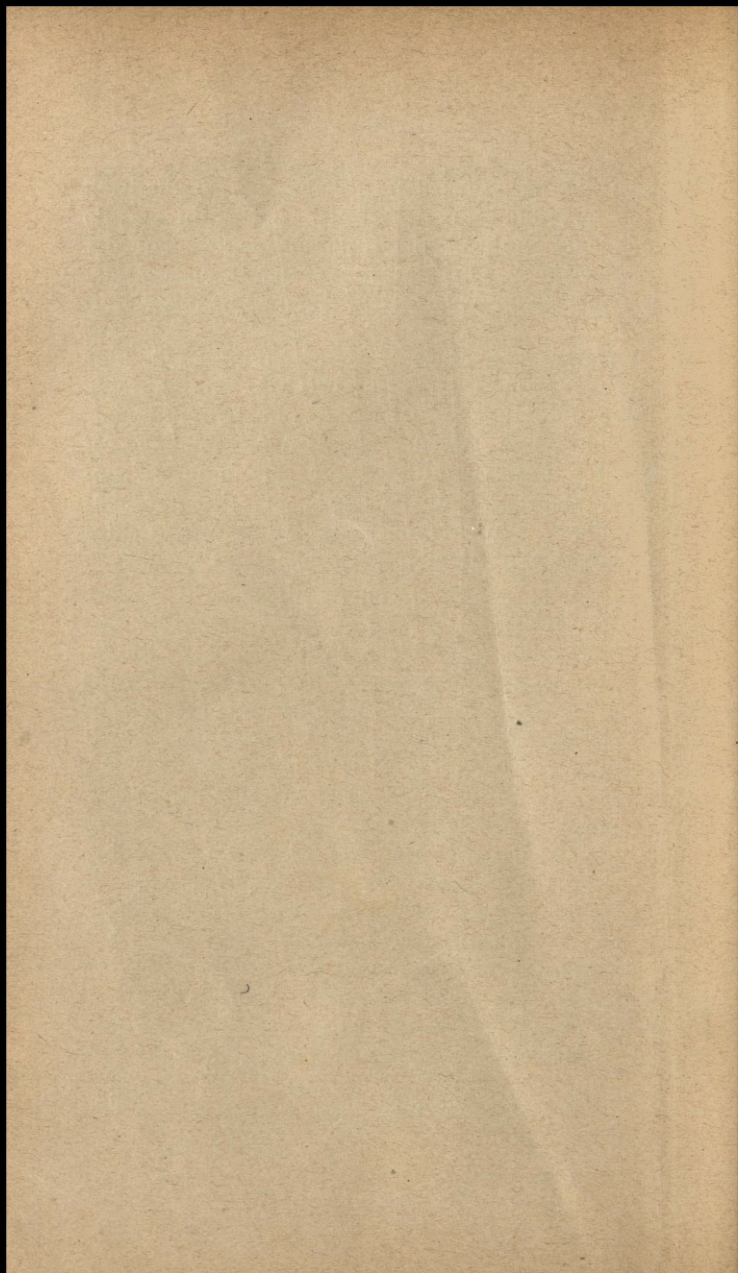
Zebrał się skromny sejm w Finlandyi. Tam mówią o potrzebie swobody druku, o zniesieniu kary śmierci, o interesach i potrzebach miejscowych. *Mosk. Wied.* śledzą każdą propozycję kościem oczyma, mówią o sejmie z pianą wściekłości na ustach i straszą rząd, starając się przedstawić wszystko w jak najokropniejszym świetle.

Niektórzy pisarze ruscy w Kijowie chcieli wydrukować kilka książek po rusku. — „Jest to intryga polska“ — wrzasnęły *Wiedomości*, — „oni chcą się odłączyć!“ Mówią na to Katkowowi ze wszystkich stron: „czy wiesz pan, że w terazniejszym czasie donosem swym prowadzisz pan tych ludzi wprost do kazamat?“ — To mi wszystko jedno! — odpowiada cerber moskiewski...

Słowianofilski dziennik *Moskwa*, w kwestyi polskiej niczem się nie różnił od organu Katkowa. Na chorągwi dziennika tego napisano: „sza-

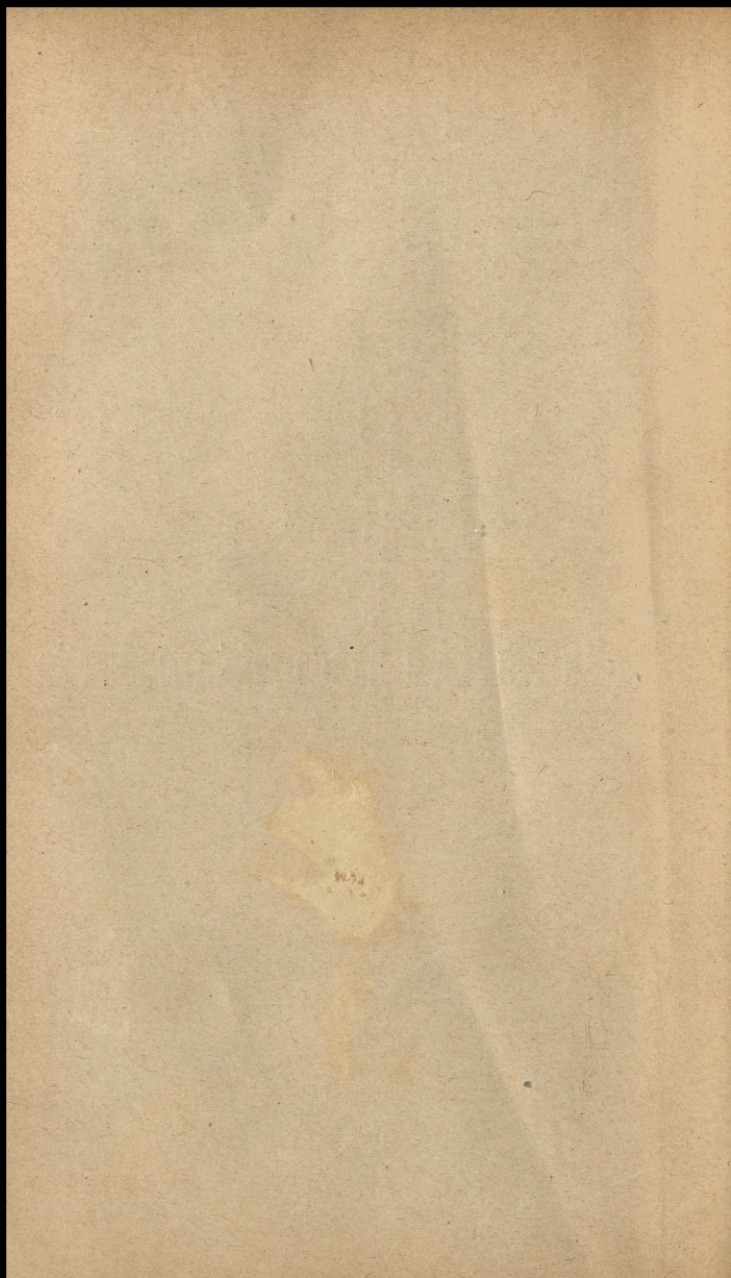
cunek dla narodowości i posłuszeństwo dla woli ludu“, a jednak przy pierwszym porwaniu się do broni ludu słowiańskiego, pragnącego swobody, dziennik ten z przykładną niekonsekwencją stanął obok petersburskich Niemców i obok Katakowa.

Wspomnimy jeszcze o Hercenie. Dla tego że zapatrywania redaktora *Kołokoła* na sprawy polskie były ludzkie, Hercen, to bóstwo dawniejsze całej Rosyi, stracił popularność między rodakami i musiał umilknąć, czekając, dopóki światło nie zwycięży „ducha ćmy“, — ale doczekał się śmierci, a nie tego, aby ziomkowie jego uderzywszy się w piersi powiedzieli: *mea culpa!*



II.

PIEŚN POLSKA I NAROD W ŻAŁOBIE.



W roku 1861 życie na całej przestrzeni dawnej Polski zabiło mocniejszym tętnem. Powiał wiatr łagodniejszy z północy i zaczęły wykwitać nadzieje lepszej przyszłości. Wierzyli wszyscy i w Rosyi i u nas, że już nie wrócą czasy straszego panowania Mikołaja. Literatura wyswobodziła się z więzów cenzury, ministrowie zaczęli mówić takim językiem, za który zwykły śmiertelnik za poprzedniego panowania mógł zgnić w więzieniu: najsympatyczniejszy w Europie kraj — Włochy, zrzucił z siebie jarzmo niewoli, a wszędzie pragnienie życia, swobody i lepszej doli rozpierało piersi; ludzie zaczęli weselej patrzeć na świat.

W Polsce uczucia te wylały się na zewnątrz w pieśniach religijnych, które zaśpiewano w kościołach prawie jednocześnie we wszystkich jej dawnych prowincjach.

Wiosna była w pełnej sile. Lud widząc, iż życie staje się lepszym, pełniejszą nadziei, dążył do świątyni, aby podziękować Bogu za tę radość, którą uczuwał, za tę wiarę, która napełniała jego duszę i obudzała chęć do czynu, do życia. W jednym z takich dni wiosennych kilkanaście-

ro dzieci, studentów, uknęło przed wielkim ołtarzem i zaśpiewało pieśń dawną: *Boże coś Polskę...*

Przestrach i trwoga o los tych dzieci odmalowały się na twarzach obecnych, lecz nikt nie ruszył się z miejsca, a gdy pierwszy czterowiersz skończył się i chór zaśpiewał: *Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie*, wszyscy upadli na kolana, kobiety zaczęły szlochać, u starców łzy ciekły z oczu, kapłan przed ołtarzem zapomniał, co dalej czynić należy. Za chwilę do głosów dzieci dołączyły się głosy mężczyzn i kobiet, hymn coraz większej nabierał siły, aż wreszcie wszyscy w nim udział wzięli.

Przez lat tyle zgnieceni strasznym despotyzmem, przekonani, że się nic ostać nie może w obec ogromu siły północnego kolosu, ludzie przestali wierzyć w co innego, jak w siłę materialną. Śpiew ten, tętniący gorącym uczuciem, wiarą, cierpieniem i miłością ojczyzny, rozbił to dawne przekonanie, wzruszył całą istotność wszystkich obecnych... bo też nigdy błaganie nie natchnęło modulacyj miłszych, więcej przenikających i namiętnych zarazem. W kim tylko pozostała iskierka polskości i religijności, które z błogosławieństwem matczynem wyniósł z domu rodziców, ten w pieśni tej uczuł głos całego narodu, drżący najświętszą boleścią, pałający najgorętszą wiarą, — krzyk rozpaczy, przebijający niebios sklepienia, aby ztamtąd sprowadzić sprawiedliwość i zlitowanie.

Jedna ta chwila zmieniła wszystkich. Gdy śpiew ustał, spojrzano po sobie. Przed chwilą byli to zaledwo znajomi; teraz wszystkie się stany zrównały, wspólna boleść bowiem połączyła wszystkich: każdy zrozumiał, żeśmy z jednej ulepieni gliny, każdy uczuł łzę rozczulenia w oku, uśmiech bratni na ustach, a w sercu przebaczenie i miłość; dłoń wyciągnęła się ku dłoni, przekształcenie moralne nastąpiło; Duch Boży z pieśnią wszedł w serca, a jedność połączyła dusze wszystkich.

Taki był początek tej *rewolucyi*, jedynej na kartach historii. Śpiew dzieci ogrzał, rozbudził nasionko żądzы odzyskania ojczyzny i wolności, a odtąd zaczęło ono kiełkować i rósć, przepelniając całe jestestwo. Wszysey poczuli potrzebę wyszlachetnienia, poprawienia się i skupienia. Od tej chwili, od tej modlitwy, wszystko spoważniało, nikt nie myślał o zabawie. Wszysey włożyli strój polski z żałobą po ojczyźnie i wolności. Żałoba była protestem i oznaką łączności i zgody. Teatry i ogrody publiczne opuszczono, kobiety wyrzekły się strojów, tańców, niesnaski zostały zapomniane. Zaden zakaz, żaden gwałt, żadne okrucieństwo (a dopuszczano się ich wiele na osobach ubranych w żałobę), nie mogły wstrzymać od tego smętnego i milczącego wypowiedzenia wojny wrogowi. Zbliżeni, związani jednogodną boleścią i żądzą, Polacy wszystkich warstw napełniali kościoły, modlili się i śpiewali pieśni nabożne, które stały się hasłem bojowem i godłem rewolucyi, jakiej nie widziano jeszcze nigdzie.

Nastrój ten oddziałał niezmiernie korzystnie na moralność społeczną. Ludzie znani z niegodziwego i rozpustnego życia, z chciwości, bezbożności i podłości, odmienili się do niepoznania i szukali możliwości zmanifestowania swej poprawy ofiarnością, pobożnością, poświęceniem i narażeniem się na prześladowanie wrogów więcej od innych. Wielka i szczytna myśl podnosi ludzi, oczyszcza ich i wzmacnia. Taki sam musiał być nastrój społeczności chrześcijańskiej w czasie pierwszych wojen krzyżowych.

Pieśń *Boże coś Polskę* oznaczyła granice, w których dawna Polska istniała i gdzie polskość nie została starta; ona wypowiedziała światu, że Polska istnieć nie przestała, że jest pełną życia i do rzędu narodów należy. Manifestowanie się to nakazywała nieprzeparta żądza życia i niewidoma jakaś siła, która ogarnęła całe społeczeństwo.

Nawet żydzi, ten lud tak zmateryalizowany,— przyłączyli się do ruchu polskiego duszą i ciałem; rabini, w czasie tych duchownych manifestacyj szli obok księży, a młodzież ich, zarówno z młodzieżą katolicką, dzielić zaczęła wszystkie niebezpieczeństwa i ofiary.

Arcybiskup warszawski, ks. Fiałkowski, umierając, błagał duchowieństwo, otaczające łożo konającego: „trzymajcie zawsze z narodem, bróńcie sprawę Ojczyzny, nie zapominajcie, żeście Polakami!...“ Sędziwy Adam Czartoryski pisał: „Nie schodź mój narodzi z wysokiej strefy, na „której cię ludy i mocarze szanować muszą. Na

„niej się stale utrzymując, bezpieczniejszy i pe-
„wniejszy jesteś widzieć twoją metę i do niej
„ciągle dążyć i zbliżać się. Wśród krwawych bo-
„leści, zdradą i przemocą w rozpacz popycha-
„ny, odrzucaj pokusy, odepehnij jątrzące drażnie-
„nia, nie zstępuj do bitw niższego rzędu, które-
„by obecnie na ciebie i sroższe męki i gorsze
„od nich — twój własny upadek ściągnęły. Pa-
„miętaj, że wyższego potrzeba heroizmu z obna-
„żoną pierśią iść na śmierć. aniżeli z orężem
„w rękę walczyć o życie. Największą siłą na
„ziemi jest — nie dbać o życie, posiadać siłę —
„a być łagodnym, szlachetnym, bez zemsty i
„zawziętości.“

Że tak pojmował i lud polski, najlepiej świad-
czy adres kotlarzy, ludwisarzy i t. d. do delega-
cyi i Towarzystwa rolniczego: „Nie szczczędząc
„życia, trzeba iść na rzeź i pokazać światu, cze-
„go chcemy, — dla tegośmy szli w procesyach,
„śpiewając pieśni i uczynim to, ilekroć tego bę-
„dzie wymagać potrzeba. A gdy ofiar potrzeba
„będzie, widać, że Bóg je wymaga, a jeżeli je-
„szcze więcej potrzeba, gotowiśmy losować, kto
„ma pójść na ofiarę, podać kark pod miecz, albo
„umrzeć pod knutem...“

Każde wspomnienie narodowe, każde święto
kościelne, prawie każda rocznica wielkiego faktu
narodowego naszej historyi wywoływała imponu-
jącą, serdeczną manifestację religijną. Nikt jej
nie nakazywał, nikt nie polecał, lecz społeczność
sama pojęła, że te obchody narodowe utwierdza-
ją miłość ojczyzny w sercach ludu, szerzą świa-

domość istoty tej miłości we wszystkich i przyczyniają się do wyrobienia sił żywych i czynnych, że wzmacniają i utrzymują naród, pozbawiony od tak dawna niezawisłości.

Na obchody takie, odbywające się w coraz innym miejscu, schodzili się ludzie z różnych części kraju jakby z natchnienia wyższego, bo z najdalszych okolic, z puszczy i z zapadłych zaścianków, przez nikogo nie wzywani. Księża występowali z mowami, wzywając do wzmocnienia sił moralnych, do jedności, bo wszyscy wierzyli, że przez to zmuszą rząd do ustępstw. Po wszystkich drogach szły kompanie z krzyżami i z chorągwiami na odpusty do oddalonych nieraz kościołów, gdzie miały się odbywać uroczystości patryotyczno religijne. Kompanie te składały się z obywateli, rzemieślników, włościan, kobiet i dzieci; wszyscy szli pieszo, a wielu bosso, niosąc zielone gałązki dębowe na znak zgody i jedności. W drodze, przy każdym kościele, przy krzyżu każdym, śpiewano dawne polskie pobożne pieśni. Na spotkanie procesyi wychodzili z domu mieszkańcy z kwiatami i wieńcami, rzucano kwiaty pod nogi idącym.

Na jednym z takich odpustów, w Tykocynie, zebrały się kompanie idące z różnych stron dawnej Polski. Ogromny tłum ludu rozłożył się na wzgórzu, na którym stoi kościół. Piękny to był widok tej masy ludu z chorągwiami i ołtarzykami, zebrany dla wspólnej modlitwy. Radość i szczęście malowały się na twarzach; wszyscy witali się jak starzy znajomi, jak bracia. Po mszy

świętej, — w czasie której z ofiarą Zbawiciela złączyła się ofiara cierpiącego ludu — i po śpiewach, wszyscy przytomni zebrali się na kazanie pod posągiem Stefana Czarnieckiego, stojącym tuż poniżej kościoła. Dzień był cudowny, wiosenny, powietrze było przepelnione wonią bżów, jaśminów i czeremchy, słońce świeciło jasno i tylko wiatr pędził czarną chmurę ze wschodu.

Ksiądz stanąwszy pod posągiem, odezwał się donośnym głosem: „Bracia! Naród polski nie da się zgładzić, bo ma siły w sobie; dziś zerwał się z uśpienia i pobiegł naprzód z rozkoszą i zapalem, skupiony jakby jeden człowiek; — coraz bardziej się podnosi w poznaniu i czuciu narodowości swojej, coraz więcej wzrasta w siłę duchową, przed którą zadrży wróg i ustąpić musi. Prześladowania i katusze, któremi zabić chcą polskiego ducha, nie zastraszą nas, bo nie są dla nas nowe. Dzisiejsze zebranie jest nową bitwą, wygraną nad nieprzyjacielem. Oto stoimy przed posągiem wielkiego wodza polskiego, który w najstraszliwszą chwilę nie zwątpił o zbawieniu ojczyzny. I wtedy, tak jak dziś, kraj cały był zalany wrogami. Stefan Czarniecki zawiązał konfederację tyszowiecką, złączył pod jej chorągwią rozpierzchnięte siły i pobił nieprzyjaciół, — bo naród jest niezwycięzony, gdy walczy pod godłem Boga i ojczyzny! Módlmy się bracia, żeby i dziś z pośród nas powstał wódz dzielny, któryby pokierował nami i dopomógł do odzyskania ojczyzny“

Wtem błysło szeroko i zagrzmiało; natchniony mowca padł na kolana i zawołał: „Słyszycie bracia! To głos Boga, który mówi, że słyszy nasz płacz, nasze wołanie, widzi naszą nędzę i cierpienia!...“ Wszysey upadli na kolana z wzruszeniem i rozrzewnieniem, którego opisać niepodobna; wszyscy płakali...

Takimi mniej więcej była większość manifestacyj. Zwykłym tematem kazań było zaszczerpienie w sercach włościan wiary i ufności do obywateli, do starszej braci. Potrzeba też powiedzieć, że usposobienie tych ostatnich było najszczerze i najserdeczniejsze, żeby się zbliżyć do ludu i żeby lud ten przejął się myślą polską i odczuł potrzebę niepodległości ojczyzny. Wielu chciało natychmiast usamowolnić włościan, lecz rząd stawił przeszkody. Mieszkańcy miast byli przejęci najgorętszym patryotyzmem. Włościan przemienić w żywioł polski, zespolić z ojczyzną, oderwać od wrogów, do których lgnęli z obawy przed siłą, było myślą i zadaniem wszystkich.

Była to jednak praca ciężka. Długie lata niewoli zrobiły lud ten niedowierzającym. Ziarno było zasiane, ale nie kiełkowało, jeszcze. W niektórych jednak okolicach udało się uzyskać, że lud wiejski nie tylko brał udział w manifestacjach, ale i w późniejszym powstaniu.

Lecz ten tylko pojmie i zrozumie całą potęgę moralną jaką naród polski rozwinął w roku 1861 i 1862, kto był tam, kto brał udział w manifestacjach, kto myślał tak i czuł jak te tłumy

manifestujące. Ten krzyż złamany, ta cierniowa korona, ten śpiew tłumów, to zjednoczenie i umoralnienie tylu ludzi, — wyglądały jak cud i nie wyjdą nigdy z pamięci tych, którzy żyli tem życiem. Krótka była chwila, a wiecznym odbiła się wrażeniem. Gorąca wiara, uniesienie modlitwy, nadzieja, potęga oburzenia i zapał, wstrząsały duszę. Ten ogień, który palił, ten dreszcz, co wtedy przejmował, te czyste serca bicia czuje każdy do dziś, prosząc Boga, aby wrażenia wryte wtedy w sercu, nie opuszczały nas nigdy, wtórując życiu i krzepiąc się ciągle w źródle, z którego powstały.

Były to najszczytniejsze chwile nie tylko w dziejach naszych, lecz i całej ludzkości! Naród rozszarpany, skuty, pokazał, że chociaż ciało jego w niewoli, duch został wolny, nie zgnębiony ręką wroga i że jest potęgą która może zwalczyć nieprzyjaciela, złamać jego szyki, obudzić w jego sumieniu niepokój i trwogę: — —

A co robił wówczas rząd najezdniczy?

I cóż było począć ze stem tysięcy kobiet, starców i dzieci w żałobie i bez broni, śpiewających modlitwy i idących śmiało na śmierć? Wszędzie i nieustannie biorąc żałobę i krzyż za zbroję i puklerz, modły i pienia za oręż, dając ofiary a nie żądając ofiar, idąc spokojnie na rzeź, naród polski postawił nową cudowną taktykę walki z dziką siłą, która nie wiedziała, jak złamać takiego przeciwnika. „Nigdy, — pisał naoczny świadek ks. Gratry — nie zdołam opisać pogardy śmierci i niesłychanego w umieraniu entu-

zyzmu, który porwał cały lud, mężczyzn, kobiety i dzieci! Starzy żołnierze, przyzwyczajeni do ognia, zaręczają, że nigdy, najbitniejsze wojska nie zdołały w takiej bliskości wytrzymać szalonych ataków konnicy i rotowego ognia potwarzanego po kilka razy“.

Moskale byli przerażeni. Rząd zabijał, mordował, więził, — ale w końcu rzemiosło takie znużyło nawet kozaków, nawet policję.

Namiestnik warszawski, party z Petersburga, żeby coś przedsięwziął, nie wiedział co robić. To podniesienie ducha narodowego było tak olbrzymie, że nie mogąc walczyć podobną bronią, zaproponował Andrzejowi Zamoyskiemu dostarczyć broni do walki i nakazał zostawiać karabiny na ulicy na noc, żeby je Polacy zabrali. Lecz oni ich nie tknęli.

— Co robić? — wołał Gorczakow.

— Iść precz! — odpowiedział Zamoyski.

Zwyciężona dziec moskiewska wydała miasto bezbronnemu ludowi, oddała mu władzę, którą dzierżyła. Wrócić kraj do stanu dawnego, uspokoić go, było nad siły ludzkie, bo wszyscy już czuli z jednej strony przedsmak niepodległości i swobody, a z drugiej całą srogość gwałtownego ucisku.

Książd Gratry uniesiony, zachwycony tą walką moralną Polski, w zapale zawołał: „W Polsce weszła jut:zenka nowej historyi ludzkości!“

Dzięki rozumowi i poświęceniu narodu, długo on umiał uniknąć starcia zbrojną ręką i oprzeć się najgwałtowniejszym prowokacyom, a co tru-

dniejsza, odeprzeć poduszczenia i obce podszepty. Lecz łatwo zalecać cierpliwość i roztropność, gdy kto sam bezpieczny przed gwałtem; łatwo wołać tym o ufność, którzy nie czują uderzeń i upokorzeń, — ale cóż się tym działo, którzy codziennie czuli, jak serce przeszywa im miecz, zatruty boleścią nieznanymi ranami najokropniejszego jadu.

Polska przetrwała długi czas prześladowania i męczeństwa, odpychając myśl o zbrojnym powstaniu. Młodzież tylko gorąca i niecierpliwa organizowała się i rwała do oręża, wierząc, że miłość Ojczyzny cudów dokaże. Jednak, nie tylko najbardziej wpływowa część społeczności polskiej, ale i ludzie stojący na czele organizacyi rozumieli dobrze, że bez broni i w chwili, gdy odbywała się niesłychanie ważna sprawa uobywatelenia włościan, iść do oręża było nie na czasie.

Gdy wróg już stracił nadzieję wyjścia zwycięzko z tej nierównej walki, Polak odstępca, margrabia Wielopolski, ten Ephialt nowoczesny, wskazał Moskalom, jak sforsować te Termopile.

Wielopolski doradził rządowi moskiewskiemu pobór do wojska najgorętszej młodzieży w kraju. Pobór ten, rozpisany nie według sprawiedliwych zasad, pobór, który miał zdziesiątkować naród, pobór otoczony wszelkimi podstępami nocnej zasadzki, a którego następstwem miało być uprowadzenie dwudziestu pięciu tysięcy młodzieży polskiej, wybranej przez policyę, musiał wywołać w kraju straszliwą rozpacz i smutek.

A przecież i ten ohydny zamach na to, co jest najdroższem ludziom, spotkałby poddanie losowi, gdyby kaci powstrzymali się byli od wyszukanej bezczelności i urągania. Nazajutrz po owej żalobnej nocy, w której ofiary w łózkach napadnięte i ze snu zbudzone porwano, w kajdany okuto i do koszar powleczono, pośród powszechnej zgromy, pośród krzyków, łez i przekleństw rodzin, dziennik margrabiego ogłosił, że „pobór nie spotkał żadnego oporu, owszem, że poborowi okazali gorliwą gotowość, dobrą wolę, wesołość i radość z tego, że idą się ćwiczyć w szkole porządku i otwartej im służby wojskowej!“

Ta kropla jadu przepełniła miarę. Cynizm, ohyda, rzucone na boleść powszechną i wstyd publiczny, znajdują swe miejsce w rządzie tych zniewag, które dały hasło w Rzymie do wypędzenia Tarkwinjuszów i do Nieszporów sycylijskich! Naród nie mógł znieść takiej obelgi, takiej zniewagi... Być niewolnikiem wdzięcznym, dobrowolnym!... Nie, tysiąc razy nie! Śmierć raczej i zagłada, wszystkie niedole i katusze, aniżeli mileżeniem koronować kłamstwo!

Powstanie 1863 r., to nie kampania krociowego wojska, to walka pojedynczych, niemal rodzinnych gromad, walka jednego przeciw tysiącom, pogoń bezbrounego, rozpaczliwy czyn Zawiszy Czarnego. Nie było mężczyzny, nie było kobiety na całym obszarze Polski dawnej, którychby serce nie drgnęło, nie zapalało. Powstańcy bez broni, bez nauki, zabierali i utrzymywali miasta; rozrzućeni po całym obszarze kraju,

ukryci po lasach i bagnach wpadali na wrogów dziesięćkroć silniejszych, bili ich dzielnie, a zwyciężeni nie tracili odwagi. Polska Marsylianka, pieśń *Boże coś Polskę* prowadziła ich do boju, „Bóg i Ojczyzna!“ było ich hasłem... Resztę — wy wiecie!...

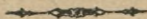
Były i są stronnictwa polityczne, które potępiają powstanie Polski dla tego, że było „nie na czasie“. Zarzut ten jest niesłuszny. Kto bowiem znał bliżej rzeczy i zna dobrze historię powstań ludów ujarzmionych, ten wie, że wybuchy i powstania narodowe nie organizują się, lecz przygotowują się i stwarzają same latami ucisku, oraz drażnieniem uczuć narodowych. Namiętności i uczucia długi czas jątrzone, wzbierają i burzą się długo, aż w końcu wybuchną wielką, niepowstrzymaną lawą, która zalewa i niszczy wszystko. To, co się latami nie zebrało i nie dojrzało dobrze, choćby i organizowanem było, powstaniem ogólnem, narodowem nie będzie! Kto badał duszę człowieka, wie, jak długo grają w niej namiętności, jak zbierają się i potężnieją i jak w końcu dojrząwszy do zemsty, wybuchają czynem.

Mylą się też bardzo ci, co mówią, że powstanie nasze wywołał Napoleon III. Intrygi gabinetowe nie wywołują wielkich rewolucyj i wojen narodowych, jeżeli wprzód nie przygotowały ich inne, długo działające i potężne czynniki. Gdyby powstanie zależało od gustu i usposobień kilku, lub kilkudziesięciu jednostek, to wszakże podczas wojny krymskiej lepszy był czas do powstania, aniżeli w roku 1863, a jednak wtedy i ru-

chawka chłopów na Ukrainie w niwecz się obróciła, bo powstanie jeszcze nie dojrzało i żaden spisek, żadna organizacya wzbudzićby go nie zdołały. — Na powstanie styczniowe składały się rządy Mikołaja i Paskiewicza — począwszy od wzięcia Warszawy, wojna krymska, kongres paryski, słowa Aleksandra II: *point de rêveries!* wojna włoska, zjazd trzech monarchów w Warszawie i wiele innych rzeczy. Uczucia wzbierały i ogarniały masy, a gdy miara złego przebrała się tłumione namiętności wezbrały potężną falą i wylały się styczniowem powstaniem.

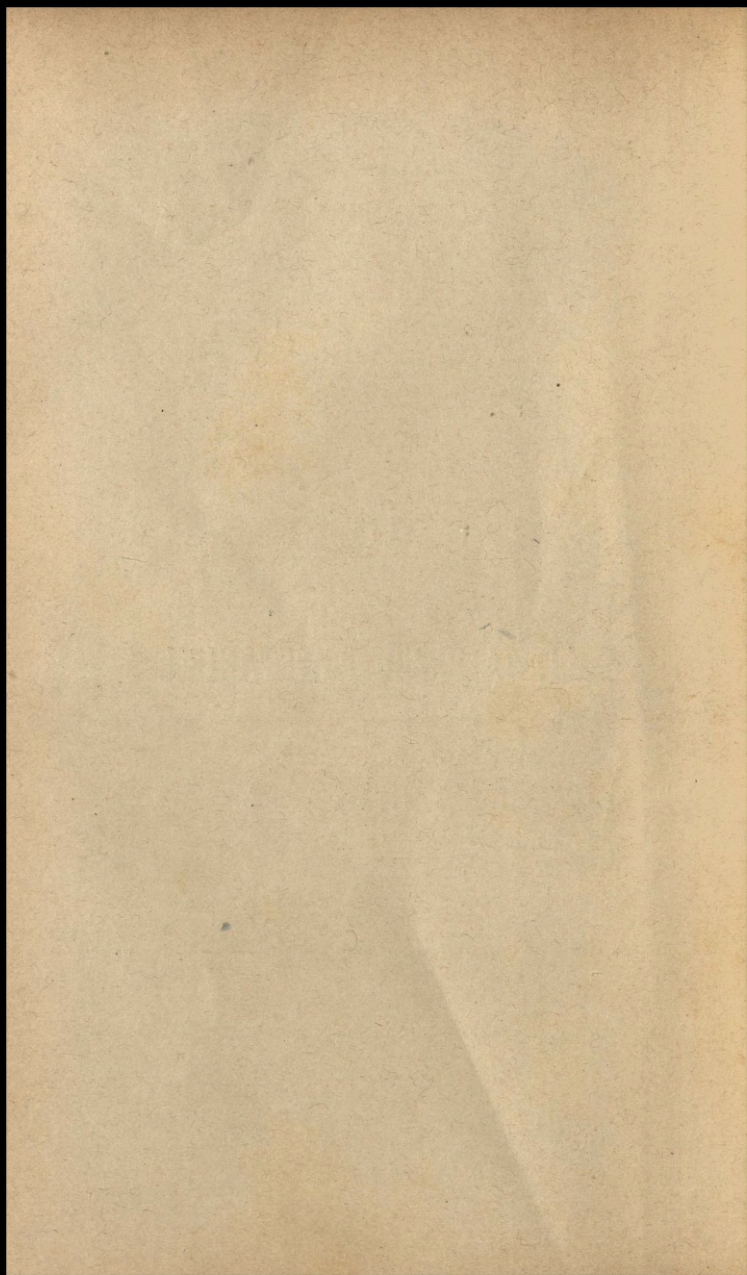
W czasie tej walki rozpaczy z przemocą były i czyny, których pochwalić nie można, lecz namiętność, zemsta za cierpienia i krew bliskich, za śmierć braci. — złym są doradcą. I na świeżej róży i na pysznej lilii nieraz się znajdzie kropła błota, a na liściu plama rdzawa, — lecz jak się błotem nie zmazać, jak się rdzę nie zarazić, rosnąc w błocku niewoli i na rudawinie zepsucia? Plamy te mają prawo do przebaczenia, bo krew szlachetna je odkupiła!

A tym, co śmiechem szyderstwa wybuchają nad mogiłą tej pięknej a smutnej przeszłości, w której jak cienie przechodzą oblicza znajomych braci i przyjaciół, śpiących już w ziemi snem wiecznym, chociaż przedczesnym, — tym odpowiemy słowami Kraszewskiego: „Gdzieindziej „są groby, które wieki szanują i czczą, są imiona niepokalanem uwielbieniem otoczone. U nas!... „Pokażcie mi jedno imię, jeden grób, na który „by kamieniem świętokradzkim nie rzucono?...“



III.

LITWA PRZED POWSTANIEM.



Pomimo ogromnych strat, poniesionych w r. 1831, w cichych zakątkach Litwy, przy domowych jej ogniskach, a nawet i w służbie publicznej, nie opuszczano rąk, nie porzucano pracy kierowanej polską myślą i litewską wytrwałością. W tem spokojnem i poważnem społeczeństwie, jedni wierzyli w możność zrzucenia więzów, gniotących kraj od wieku, za pomocą gwałtownego ruchu narodowego; — drudzy, nauczeni doświadczeniem ojców, w powolnej pracy starali się rozwijać siły narodu, ciesząc się każdym objawem postępu. A chociaż nie byli oni obcymi przejawom narodowego uczucia, — które w skutek wypadków politycznych wstrząsnęło całą społecznością, — umieli uczucie to poddać pod głos obowiązku i wytrwać w obranym kierunku, aż do chwili, kiedy stanowcza wybiła godzina, kiedy potrzeba było wybierać pomiędzy powstaniem a Moskwą. Wtedy szli oni za przykładem, jaki jedynie dla Polaków dzieje wskazywały. Jednego smutnego objawu upadku ducha nie było w społeczności litewskiej, którego niestety nie brakło gdzieindziej: nigdy tu nie brzękła fałszywa nuta, przybierająca formę to poszanowania prze-

szłości, to głosu zimnego rozsądku, nakazującego ratować co można, to nareszcie głosu uwielbienia dla spełnionych faktów, — jak się to działo później na pewnych obszarach naszej Ojczyzny...

Po roku 1831, obok części społeczności, która przyjęła współudział w czynnościach emisaryuszów, a ginąc wraz z nimi, nie dawała zapomnieć krzywd, wyrządzonych narodowi i nie pozwalała zapanować apatii, — wytwarza się coraz silniejszy zastęp ludzi, którzy czując potrzebę wewnętrznej reformy i pracy nad sobą po wiekowej orgii, swawoli i rozpasaniu, starali się wypełnianiem obowiązków obywatelskich i zaparciem osobistym przyczynić się do skonsolidowania społeczeństwa, do rozwoju i spotęźnienia jego, nie przestając zasilać ducha z polskiego źródła.

Już Bronisław Zaleski, w uniwersytecie dorpacim, w kole rówieśników, zaczął wygłaszać opinie przeciw bezowocnym ruchom, wykazując potrzebę organicznej pracy. Pod jego to wpływem, na wyborach w Mińsku, żądano uwolnienia włościan. Poeta Żeligowski, przyjaciel i kolega jego, w swoim „Jordanie“ starał się jak najwybitniej zaznaczyć ten nowy kierunek, mówiąc, że nie spisków, nie ofiar krwawych nam potrzeba, ale poznania siebie i oczyszczenia domu z brudu i śmiecia. Utwór ten jego, wskazujący cele praktyczne, podobał się tej młodzieży, która wierzyła święcie w przyszłość ojczyzny, ale drogę do jej odrodzenia widziała w wolnej pracy przez całe życie i w wzajemnem zachęcaniu się do niej. — Wpływ tych prakty-

cznych poglądów jeszcze wybitniej okazał się na młodzieży petersburskiej w latach 1844—1848. Nie było tam spisków, jedynie spotęgowana praca nad sobą.

W pamiętnikach z owej epoki starszego brata mojego znalazłem następujący ustęp o tym czasie: — „wszyscy nasi zaczęli łączyć się pomiędzy sobą, nie tylko uniwersyteccy ale i oficerowie Polacy wszystkich zakładów wojskowych. Zbieraliśmy się po kilkudziesięciu, czytaliśmy „dawne dzieje naszej biednej ojczyzny, wspominaliśmy wszystkie przejścia naszego kraju, obchodziliśmy wszystkie uroczystości jak najsoleńniej, śpiewaliśmy nasze pieśni ojczyste i elektryzowaliśmy siebie wzajemnie. Później do „kółka naszego zaczęliśmy wciągać kadetów i „wkrótce dokonano, że i w kadeckich korpusach „zaczęło się inne życie, inne obyczaje i moralność. My sami zarzuciliśmy wszelką pijatykę, „karty i huczne zabawy. Książka, nauka i koleżeństwo, stanowiły rdzeń naszego życia.“

Po śmierci cara Mikołaja, który jak straszny dozorca, stojący przy drzwiach więzienia, nikomu nie dawał podnieść głowy, — nie tylko Moskale, ale i Polacy odetchnęli swobodniej. Jakby nowe jakieś życie zawiało wszędzie, a nadzieje rozbudziły się w sercach. Już w r. 1855 szlachta kowieńska na wyborach upominała się o język polski, a wkrótce potem poruszono kwestyę włościańską, w rozwiązaniu której, lepsi — jak Borba, Gruzewski, Jańczewski, — widzieli właściwą sprawę narodową.

W 1857 spisano zasady uwłaszczenia włościan. Jakkolwiek większość obranego do napisania ustawy dla włościan stałego komitetu w roku 1859 nie przyjęła zasady uwłaszczenia, jednak wkrótce prawie wszyscy zrozumieli, że było to jedynem wyjściem właściwym dla Litwy.

Od r. 1859 Litwa zaczęła się spokojnie organizować w celu rozwoju życia wewnętrznego. Zaprojektowano zawiązanie Towarzystwa rolniczego, napisano ustawę, wybrano ludzi, którzy mieli starać się o zatwierdzenie tejże, wreszcie ułożono projekt Towarzystwa kredytowego dla gubernii litewskiej. Rząd swej sankcyi odmówił, jak dla pierwszej, tak i dla drugiego. — Następnie poparła Litwa poznańskie Towarzystwo *Tellus*. — Zaczęto myśleć o kształceniu ludu.

W początkach 1861 roku oddał rząd cały kierunek sprawy włościańskiej obywatelstwu. W komitetach gubernialnych miała szlachta przewagę, a tak zwanych pośredników, mających rozstrzygać wszystkie drażliwe sprawy na miejscu, szlachta obierała z pośród siebie, a rząd tylko ich wybór zatwierdzał.

W takiej to ważnej dla wewnętrznego życia Litwy chwili wstrząsnęły całym krajem wypadki warszawskie 1861 r. i na Litwę wielki wpływ wywarły.

Do tego czasu tło naszych spraw prowincjonalnych było szare jak jesienne niebo, nie miało prawie treści, nużyło oko, mroziło duszę. Echo pieśni pobożnej, jak trąba archanioła powołało do życia, do pracy, do czynu. W pierwszej chwili

społeczność była podobna do człowieka budzącego się z letargu, który słyszy na około życie — czuje głosy żywej natury, lecz nie ma sił jeszcze, żeby zawołać, lub odpowiedzieć na zawołanie. — Lecz życie zagrało już w pulsach. Uczucia patryotyczne — rozbudzone, dodawały bodźca w pracy organicznej, oczyszczała się atmosfera: pijatyka, gra w karty, sprzedajność, ustępowały; zaczęła się praca rozszerzania wstrzemięźliwości, zakładania szkółek i ochronek. Pojęcie obowiązków, przekonanie, że tylko połączone siły inteligencji mogą wyrwać lud z niedoli i upodlenia, i wrócić straconą ufność, — zaczęło głębiej przenikać umysły.

Praca obywatelska nabierała coraz więcej znaczenia i poważania. Każda myśl, wypowiedziana w duchu ogólnego dobra, znajdowała słuchaczy. Nawet kwestya włościańska, gdy do obywateli zacofanych, lecz patryotów, w imię interesu narodowego przemawiano, — łatwiej dawała się przeprowadzać.

Umysły wyższe, serca gorętsze, ludzie talentu, fachu, układali projekta w celu dzwignięcia rolnictwa, przemysłu, kredytu, ułatwienia komunikacyi. Na niwie, która tak długo odłogiem leżała, zapanowała praca cicha, bez pretensyi i rozgłosu; zapanowały wśród ludu czyny, zrozumialsze od słowa. W otworzonych szkółkach dla dzieci włościańskich uczyły panie domu pacierza, zasad wiary i obowiązków człowieka. Nastąpiła gorąca praca, ład, spokój, — nigdzie pijaństwa,

karczmy puste!... Dziwna jakaś nieznana błogość zstąpiła na tę ziemię żałoby.

Ale nie tak to łatwo było, wśród ognistej atmosfery budzących się nadziei, zachować długo konieczną harmonię patryotycznych uczuć z wytrwałą organiczną pracą. Demonstracje, które w początku tak wiele przyczyniły się do umoralnienia społecznego, silniej przemawiały do wyobraźni i serca, a mniej wymagały zaparcia się siebie, aniżeli wypełnianie ściśle obowiązków obywatelskich. Łatwiej więc gromadziły się tłumy na śpiewy i nabożeństwa, aniżeli szczupła garstka do wytrwałej i cichej pracy. Przytem praca wewnętrzna, tak jak ją pojmowano na Litwie, wymagała nie tylko osobistego oddania się, ale pociągała za sobą i materyalne straty. Głównem zadaniem było rozwiązanie kwestyi włościańskiej; żeby zachować harmonię z ludem, potrzeba było coś ze swego ustąpić. Zakładanie szkółek i ochronek pociągało również do wydatków, a kasowanie wyszynków i gorzelni uszczuplało dochody. Najzacofańsi wśród obywateli, znani ze złego obchodzenia się z ludem, czując słabą stronę demonstracyj, chętnie rzucili się w szeregi ruchu, głosząc, że praca obywatelska, to tylko zabawa, że wprzód potrzeba wypędzić wroga z kraju, a na to oni poświęcą życie i mienie. Młodzież gorąca, zapominała im przeszłość i wierzyła w poprawę i otaczała zaufaniem ludzi, którzy pozorem patryotycznym okrywali gruby i wstrętny egoizm.

Pierwsze śpiewy w Wilnie urządzili tam przybyli z Warszawy i z zagranicy młodzi ludzie w dniu świętego Stanisława — i to właśnie w czasie, gdy do Wilna przyjechali marszałkowie szlachty, w celu starania się u generał-gubernatora o zatwierdzenie wyboru pośredników. Na nie się nie zdały najenergiczniejsze przedstawienia o niestosowności chwili dla demonstracyi, — śpiewy, choć nie liczne, miały miejsce, a nietrafne postępowanie rządu jak iskra poruszyło wszystkich. Za kilka dni tysiące już ludzi w Wilnie śpiewało *Boże coś Polskę*.

Kiedy już w Wilnie śpiewy co święto się powtarzały, kółko kowieńskiej młodzieży urządziło pierwszą demonstracyę w kaplicy Pana Jezusa w farnym kościele. Zacny marszałek Ludwik Żyliński, związany słowem, udał się do kaplicy z kilku obywatelami. Od tej chwili demonstracye, śpiewy i nabożeństwa poszły swoją koleją, a szlachta ostatecznie jeszcze nie zorganizowana, nie umiała i nie mogła ruchem kierować, więc musiała się dać powodować innym.

Wówczas to powstała myśl uczczenia pamiętki unii lubelskiej w Kownie i na Niemnie. Był to najpiękniejszy dzień objawu uczuć narodowych, o którym po mnogich latach bez wzruszenia uczestnicy wspomnieć nie mogą. Lecz ciągły, nieustanny rozwój demonstracyj pchał do nieuniknionego wybuchu po bystrej spadzistości, od którego nie mogła wstrzymać idea spokojnego rozwoju i pracy organicznej.

Jednak dwa te lata 1861 i 1862, była to najpiękniejsza epoka w życiu Litwy. Jedność zasad, przejęcie się ważnością sprawy włościańskiej i ogólnego rozwoju wewnętrznego życia, ożywiało wszystkich. Byliśmy na drodze zacnej i sumiennej pracy i wszyscy ożywieni najsilniejszą wiarą w jej skuteczność. Wróceni z Syberyi i z emigracyi mówili, że nigdy na Litwie tak dobrze; nie było, a stary żołnierz z roku 1831, pułkownik Prozor, aż płakał z radości.

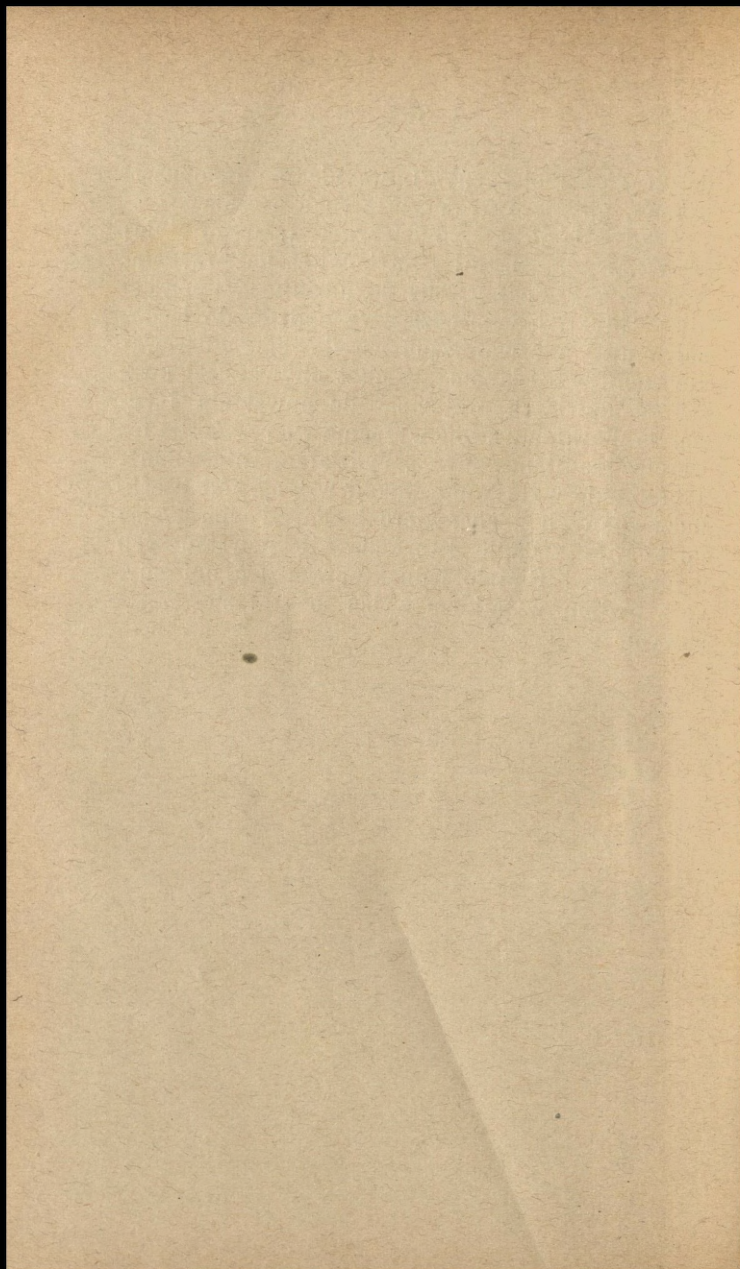
Stronnictwo ruchu na Litwie było niezmiernie słabe. Z obywateli do tego stronnictwa nikt nie należał; młodzież dojrzała, widząc, że organizacya obywatelska ma cele wzniosłe i patriotyczne, trwała przy dawnym sztandarze. Nie pomagały nawet groźby z za granicy przysyłane, aby porzucić tę drogę: Mierosławski nie wielu miał zwolenników na Litwie.

Lecz inaczej się działo w Warszawie. Tam partya ruchu była coraz silniejsza, a błędy obywatelstwa przyczyniały się do jej wzmocnienia. W końcu 1862 r. zebrani w Warszawie delegaci ze wszystkich prowincyj Polski ułożyli nowy program działania, ale już było za późno. Dnia 22 stycznia 1863 r. powstanie wybuchło.

Niestety zaczęto walkę w chwili, gdy naród potrzebował połączenia się z sobą, zgładzenia win przeszłych, rozwiązania kwestyi włościańskiej, skupienia sił; zaczęto walkę, gdy nie byliśmy przygotowani do niej ani moralnie, ani materyalnie. Lecz wolno jest nie przyjąć udziału w chwilach radości i szczęścia, ale obowiązkiem jest

dzielić klęski ojczyzny. Litwa nie mogła opuścić Korony, gdy tam krew już płynąć zaczęła.

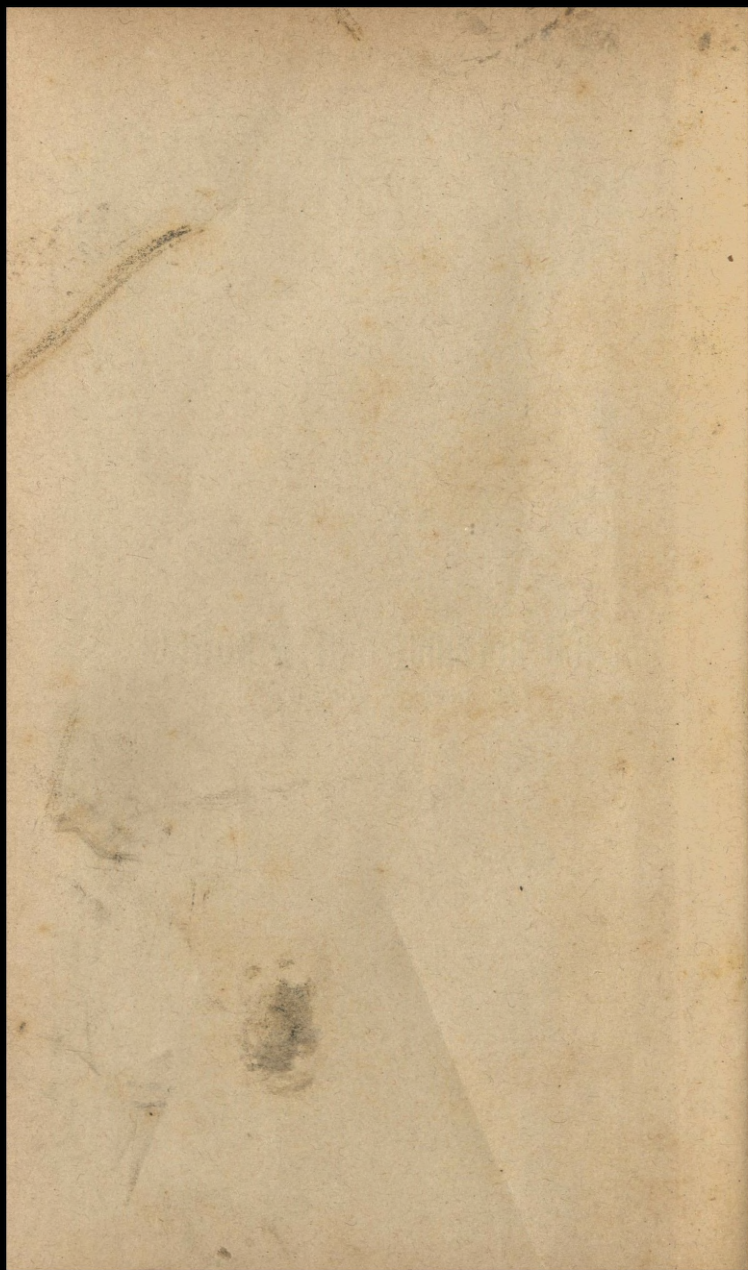
Zjazd szlachecki 25 stycznia (starego stylu) w Wilnie, upoważnił swój komitet do przygotowań, a w razie potrzeby do udziału w powstaniu. Gdy więc młodzież wychodziła do lasów, przyjmując odezwę Rządu narodowego o darowaniu ziemi włościanom, komitet obywatelski uważał za obowiązek przystąpić do powstania i posłał do Warszawy swoje wyznanie wiary. Został też wkrótce zamianowany „Wydziałem litewskim“, a następnie wybrał urzędników w województwach, ludzi znanych z charakteru i energii, poruczając im twarde zadanie tworzenia sił powstańczych z niczego. — Smiało jednak powiedzieć możemy, że z małym wyjątkiem wybór okazał się szczęśliwym.



IV.

OBCHÓD ROCZNICY UNII W KOWNIE

(12 sierpnia 1861 r.)



Ilekróć wspomnę mą rodzinną Litwę, jakieś rozrzewnienie i tęsknota ogarnia serce! Z tem słodkiem dla ucha imieniem, ileż wiąże się miłości, łez i boleści, ile wspomnień najdroższych, — poetycznych chwil, spędzonych w jej nieskończonych lesistych puszczech, — na jej niwach, pokrytych złotemi kłosami, — wśród jezior i rzek pięknych, nad któremi unoszą się ludowe legendy z czasów jeszcze pogańskich! Wieje tu zawsze jakaś woń prostoty, — nawpół dzikiej, nawpół patryarchalnej, którą odetchnąć miło. Kraj to, ze swemi lasami, jeziorami, piaskami, rozsyanym pod nogami kamieniem, ze swemi jałowcami i jodłami, dziwnie piękny, — do którego można się przywiązać i za którym tęsknić można życie całe! Chyba nie ma człowieka, któryby choć raz w życiu, przejechawszy litewską puszcę, popatrzywszy na brzegi Niemna, podumawszy nad jeziorami, nasłuchawszy się gwaru lasów jodłowych, nie ujrzał ich później natrętnie mu przypominających się w snach i marzeniach.

Aż miło wjechać do wioski litewskiej, tak w każdej wycytasz zaraz, że tu pracowite i pobożne

mieszka plemię. Nigdzie tyle krzyżów nie ma jak na Litwie, tyle kapliczek i figur na rozstajach.

A puszcze litewskie... Wnętrza ich jakkolwiek wytrzebione i wycięte, zniszczone i wypalone, jeszcze przypominają stare dzieje świata! Są w nich miejsca dzikie, samotne, ledwo stopą ludzką tknięte, zagęszczone, splecione, przez które człowiekowi przedrzeć się trudno. Tam zwierze dziki zakłada swoje gniazdo i odpoczywa z szumem tylko drzew nad głową. Wałę się tu od wiatrów kłody, spadają jedne na drugie i próchnieją stosami, porastając mchami i krzewami; oplata je chmiel dziki, opasują bujne chwasty. Naprzemian, to gąszcze ciemne, przecięte sączącym się przez warstwy niedogniłych liści strumykiem, to polanki i łąki, to bory wypalone i przezroczyście, to zapusty młode i gęste, to znów błota, niziny i zarośla...

Jednak najpiękniejszą ozdobą Litwy są dwie jej stolice: Wilno i Kowno — główne miasto Żmudzi, tej ziemi świętej, na której światło dzienne ujrzałem.

Przy ujściu Wilii do Niemna, schowane w dolinie, wśród gór i pagórków leży Kowno. Z północnej strony piaszczyste wyżyny, otaczające brzegi tych dwóch rzek, są tak strome, że niepodobna na nie się wdrapać, tylko berberys pnąc się z kamienia na kamień, kwiecien swem czerwieni ścianę, zakrywającą miasto od północnych wiatrów. Wielki most łyżwowy łączy Kowno z drugim górzystym brzegiem, na którym rozsiały się dęby wiekuiste. Góry te są tak piękne,

widok z nich na Kowno, na połączenie dwóch rzek, na dalekie okolice, tak śliczny, że uniesieni tym widokiem pogańscy ojcowie, przeznaczyli to miejsce na mieszkanie bogini piękności i miłości — *Aleksoty* i nazwali ten gaj i te wzgórza „Aleksotą.“

Samo Kowno, po tylu oblężeniach, po trzydziestu pożarach, które do szczętu zniszczyły miasto, nie jest ładne. Moskale zniszczyli je do reszty, zamieniając klasztory i kościoły na wojskowe magazyny. W jednym z nich, nad samym brzegiem Niemna, nawieziono siana, chociaż na ołtarzu jeszcze krzyż pozostał; po kątach stoją figury świętych, służące do wieszania chomontów. Na placu przed katedrą stoi pomnik w bizantyjskim stylu, z kannibalskim napisem: „przyszło do Rosyi 700.000 Francuzów, wyszło 70.000 tylko!“

Wsławiona piórem Mickiewicza *Kowieńska* dolina została zeszpecona barbarzyńską ręką północnych cywilizatorów, którzy wycięli otaczające ją dęby. Był tam wielki kamień, na którym poeta siedząc marzył i układał swe boskie pieśni. Mikołaj rozkazał kamień ten rozbić i rzucić na szosę, żeby nie zostawić żadnej pamiątki po wieszcu litewskim. — Prześliczny kościół i klasztor *Kamedułów*, który wybudował *Pac*, aby przebłągać niebo za wielkie swe grzechy, Moskale zabrali i przerobili na prawosławny monaster, wyrzuciwszy z grobów kości założyciela i jego dzieci. To ciche i uroczne ustronie nad brzegiem Niemna, gdzie niegdyś zbierały się tłumy ludu, dziś każdy omija, żeby nie spotkać się

z pijanym i rozpasanym na wszelką rozpustę popem.

Mieszkańcy Kowna przed ostatniem powstaniem byli to po większej części urzędnicy biedni i biuraliści, żyjący z nędznego skarbowego żołdu. Więksi właściciele mieszkali w majątnościach swoich, rzadko tylko przyjeżdżając na sejmiki, lub dla interesów w rządowych instytucjach. Życia w Kownie w r. 1861 prawie żadnego nie było; nawet teatr urządzony w starożytnej świątyni Perkunasa nie wiele ściągał publiczności. Każdy przeżywszy pewien czas w tem mieście, powiedziałby zapewne, że mieszkańcy jego do niczego nie są zdolni, oprócz przepisywania papierów w kancelaryach, chyba do pohulanki, do kieliszka, do preferansa i do plotek. A jednak Kowno pierwsze na Litwie dało znak, że polskie w niem bije serce, jak tylko doń doleciały echa hymnów śpiewanych nad brzegami Wisły.

Nieraz brałem pióro do ręki, chcąc zebrać objawy budzącego się życia i opisać psychologiczne przejście społeczności od obawy do próby, od próby do poświęcenia, od poświęcenia do patryotycznej ofiary, — ale wkrótce rzucałem pióro, bojąc się zaszkodzić komu. Nie będę więc mówić: jak, kiedy i gdzie po raz pierwszy zaśpiewano *Boże coś Polskę*, jak odbyły się pierwsze egzekwie za pomordowanych w Warszawie, jak ruch patryotyczny przeniósł się z Kowna do zaścianków, do izb wieśniaczych, do borów i puszczy, obudzając w ludzie wspomnienia lepszych czasów i nadzieje lepszej przyszłości... Opowiem

o najświetniejszym dniu przed powstaniem dla Kowna, — o obchodzie pamiętki Unii lubelskiej.

Na kilka tygodni przed rocznicą tej unii zaczęto mówić w mieście, że w ten dzień procesya z chorągwiami i ołtarzykami pójdzie przez miasto do Aleksoty, na spotkanie podobnej procesyi, idącej z Królestwa. Gubernator miasta, generał Chomiński, Polak, czując, iż na coś się zanosi, a nie wiedząc jak zapobiedz przykrej dla rządu manifestacyi, nie otrzymując przytem żadnych instrukcyj, — bo odurzony rząd sam jeszcze nie wiedział, co począć w obec ludowego podniecenia umysłów, — nakoniec nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za to, co się stać mogło, poprosił o dwutygodniowy urlop i pojechał do Petersburga, — niby to z jakimiś projektami, zostawiwszy wicegubernatorowi instrukcję: aby „starał się zapobiedz wszelkim nieporządkom w mieście, postępując jak najłagodniej“. A była to chwila, kiedy w Warszawie już się krew lała, już strzelano do bezbronnego ludu, już go tratowano kopytami koni kozackich.

Pułkownikiem żandarmeryi w Kownie był znany Skwarcow, późniejszy gubernator grodzieński, — ten sam, który zrabował dom obywatela Walickiego, zabrał wszelkie kosztowności jego, a właściciela posłał na Sybir, aby się nie skarżył na tę... niegrzeczność... Był to infamis w całym znaczeniu słowa, którego wstydził się nawet brat jego rodzony.

Ten to Skwarcow, po odejździe gubernatora, nie mając władzy wykonawczej i chcąc się odznaczyć czemkolwiek, udał się do wicegubernatora i zaczął mu przedstawiać, na jaką go odpowiedzialność wystawił gubernator. Przestraszony urzędnik położył się do łóżka i posłał do zarządu gubernialnego uwiadomienie, że będąc chorym, nie może pracować w kancelaryi. Tym sposobem wicegubernator pozostawiał sobie wymówkę, dla zasłonięcia się w razie jakiegoś wypadku.

Niezadowolony Skwarcow udał się do naczelnika dywizyi kawaleryi, rozłożowanej na Żmudzi, przedstawiając mu, że z powodu odjazdu gubernatora i choroby wicegubernatora, władza wykonawcza spada na niego, jako najstarszego wojskowego w Kownie i że on powinien zapobiedz wszelkiej manifestacyi ludowej. Naczelnik dywizyi, generał Burhard, człowiek bardzo ograniczony, — który tylko długą służbą doszedł do swego wysokiego stanowiska, chociaż nie był w żadnej bitwie, — uwierzył żandarmowi i lękając się odpowiedzialności, rozkazał dywizyonowi ułanów być w pogotowiu na każde zawołanie w koszarach. Podobnyż rozkaz był wysłany do pułku kozaków, konsystującego w mieście, do garnizonowego batalionu i do małej komendy żandarmów, zostającej pod rozkazami Skwarcowa. Burhard polecił policmajstrowi ogłosić w mieście, że będą strzelać do tych, którzy przyjmą udział w procesyi.

Obwieszczenie to stało się zachętą i podniecią do urządzenia demonstracyi. Charakter litewski, spokojny i cichy, jest zarazem namiętny i stanowczy. Każda groźba staje się dlań podniecią do spełnienia raz powziętego zamiaru. Młodzi, starcy i kobiety, przekonani, że i na nich przyszła chwila odpowiedzieć Warszawie jak litewskie serca biją, postanowili wszyscy wziąć udział w procesyi. A ponieważ śmiercią grożono, potrzeba było przygotować się do niej modlitwą i spowiedzią. Trzy dni więc przed procesyą wszystkie kościoły były przepełnione: modlono się, gotowano na śmierć, tylko młodzież drżała z żądzy walki, — lecz nikt do niej hasła nie dawał.

Były to dni uroczyste: ustaly rozterki, ustaly wzajemne waśnie i niechęci, wszystko sobie dłoń podało, gotując się stanąć wkrótce razem wobec śmierci.

W dzień oznaczony tłumy ludu z za Wilii, Niewiaży i Dubissy przybyły do Kowna. Kobiety ubrały się w białe suknie, bo na ten dzień rzucano oddawna noszoną żałobę narodową; dziewczęta, które miały nieść ołtarzyki, włożyły na głowę wieńce z lilij, mężczyźni przystroili się w odświętne szaty. Procesya miała iść koło placu ratuszowego i prawosławnej cerkwi, wprost ku mostowi.

Tymczasem generał Burhard z pułkownikiem żandarmskim wyprowadzili wojsko z koszar. Na placu w Nowem mieście stanęli ułani, oczekując rozkazu, aby się na koń i uderzyć na lud. Na jednej ulicy, prowadzącej ku mostowi, postawio-

no sotnię kozaków w plutonowej kolumnie, a za nimi garnizonowy batalion, któremu nakazano broń nabić ostremi ładunkami. Na placu ratuszowym, w mundurze i przy wszystkich orderach, stanął pan generał ze Skwarcowem, policmajstrem i adjutantem, w zamiarze nie puszczenia ludu ku mostowi łyżwowemu, który już od świtu na rozkaz wicegubernatora został rozprowadzony.

Dzień był przecudny. Letnie słońce promieniami swemi zalewało całe miasto i dolinę. Żadnej chmurki na niebie, tylko łagodny wietrzyk odświeżał powietrze. Poważnie i cicho wysunęła się procesya z kościoła. Na czele szedł wysoki i silny mężczyzna, niosąc krzyż wielki. Za nim postępowały dziewczęta w bieli, niosąc ołtarzyki, — następnie księża i lud zebrany. Nikt nie dowodził procesyą, a jednak wszystko było w największym porządku; rezygnacya i poddanie się losowi były wypisane w oczach i postawie każdego.

W chwili, gdy czoło przynajmniej piętnastotysięcznej kolumny doszło do kozactwa, dowódca kazał zbliżyć konie do siebie, żeby nie przepuścić tej lawiny ludzkiej. Lecz niosący krzyż na przodzie przedarł się między końmi, które, przestraszone, uskoczyły na bok — i przesunął się do drugiego plutonu. Za nim przeszły dziewczęta z ołtarzykami.

Widząc pierwszą linię złamaną, mężny generał krzyknął: — „nahajkami ich walcie!“ Pierwsze uderzenie spadło na głowę niosącego krzyż

z taką siłą, że powaliło go na ziemię. Ukląkł uderzony i zaczął śpiewać: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!“ Dziewczęta, okładane razami, klękały kornie, lecz wstecz się nie usuwały. Lud idący z tyłu, słysząc słowa pieśni, którą tak często śpiewał, ukląkł i z piersi tyłu tysięcy ludu wyrwała się modlitwa do nieba: „Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami“.

Kozacy, słysząc tę pieśń nabożną, którą i oni śpiewają, zatrzymali się w spełnianiu rozkazu, zdjęli czapki i żegnać się zaczęli. I ich wzruszył ten jęk boleści bezbronnego ludu.

Pułkownik Skwarcow, widząc, że kozactwo zawiodło oczekiwania jego, podbiegł do generała, który zupełnie głowę stracił i zdjawszy kaszkiet, żegnał się nieustannie.

— Generale! — rzekł, — zgubisz siebie, jeżeli się dowiedzą, żeś pozwolił w swojej obecności na podobną demonstrację i nie rozpędził ludu orężem!

Ocknął się generał i posłał adjutanta po ułanów, z rozkazem uderzenia na modlący się lud....

Gdy rozkaz ataku posłano ułanom, wicegubernator Korecki, — Rusin, człowiek zacny i uczeiwy, który całe życie przepędził na Litwie i zrósł się z nią, — otrzymał na placu ratuszowym raport o tem, co się działo. Znając lud litewski, znając charakter jego, wiedział, że przyjdzie do krwi rozlewu, jeżeli temu nie zapobiegnie; — usłuchał więc głosu sumienia, które

mu wskazywało, jaki cięży na nim obowiązek w tej chwili: prędko ubrał się w mundur, wsiadł do dorożki i wyprzedziwszy ułanów, idących do ataku, powstrzymał ich. — Następnie pojawiwszy się niespodzianie na placu, rozkazał zebranemu tam wojsku wrócić do koszar i nie przeszkadzać procesyi.

Obrażony pan generał i rozwścieczony żandarm przyskoczyli ku niemu, przedstawiając, że obowiązkiem jego jest użyć siły dla poskromienia „buntu“. Lecz wicegubernator słuchał swego rozumu i serca. — „Ja tu jestem w gubernii gospodarzem — odpowiedział zimno — i ja odpowiem za rozporządzenie moje. Proszę pana generała rozkazać ułanom wrócić do koszar.“ Na takie kateryczne wezwanie Burhard i Skwarcow, rozgniewani i zasmuceni wrócili do domu, — pierwszy, żeby poskarżyć się żonie, drugi, żeby donos napisać do Petersburga.

Wicegubernator także powrócił do domu, wiedząc, że most jest rozprowadzony i że Niemna w bród przejść nie można. Zostawiając lud samemu sobie, sądził, iż widząc niepodobieństwo dostania się na drugą stronę rzeki, rozejdzie się spokojnie.

Po ukończeniu modlitwy lud powstał i processya ruszyła naprzód. — Doszedłszy do Niemna, zebrani stanęli na wzniosłym brzegu rzeki, nie wiedząc co począć dalej. Przewidywania Kreckiego spełniłyby się napewno, gdyby w tej samej chwili na wyżynach Aleksoty nie pokazała się processya, idąca z Augustowskiego. Na czele

jej szedł stuletni prawie starzec Godlewski, poseł sejmowy z czasów Wielkiego Księstwa warszawskiego, a za nim tłum ludu, dzieci i kobiet.

Na ten widok Żmudzini ukłękli nad brzegiem Niemna i z ust ich wyrwała się nie pieśń, ale jęk żałośny: „*Boże, coś Polskę przez tak długie wieki, otaczał blaskiem wolności i chwały*“.... Processya idąca z Królestwa także ukłękła i modlitwa wspólna, łącząc się nad rzeką, wzniosła się do nieba. Kobiety i starcy płakali.

Tymczasem młodzież wyciągnęła zkądś czółna, umieściła na nich księży i ołtarzyki i zaczęła przeprowiać na drugi brzeg rzeki.

Drudzy rzucili się do mostu i zaczęli go naprowadzać.

Chwila była tak uroczysta, widok tak wzruszający, że żołnierz stojący na warcie przy moście, stary Litwin, zdziczały pod straszną moskiewską dyscypliną, uczuł w sercu ciepło i łzy mu płynąć z oczu zaczęły. Patrząc na niendolność młodzieży w nawodzeniu mostu, zapomniał o obowiązku bronienia go i zawołał:

— Nie w tę stronę kręćcie! kręćcie na lewo!

Po długiej pracy most był złożony i cała processya przeszła na drugi brzeg rzeki.

Chwili spotkania nikt nie zapomni. Ludzie nieznamymi rzucali się w objęcia, ścisłano się i całowano z uniesieniem, łzy były w oczach, a rozczulenie w sercu.

Połączona kolumna ruszyła naprzód do kościoła o pół mili oddalonego od Aleksoty; tam ukląkł-

szy, tysiące ludzi wspólnie błagało Nieba o lepszą dolę dla siebie i dla kraju.

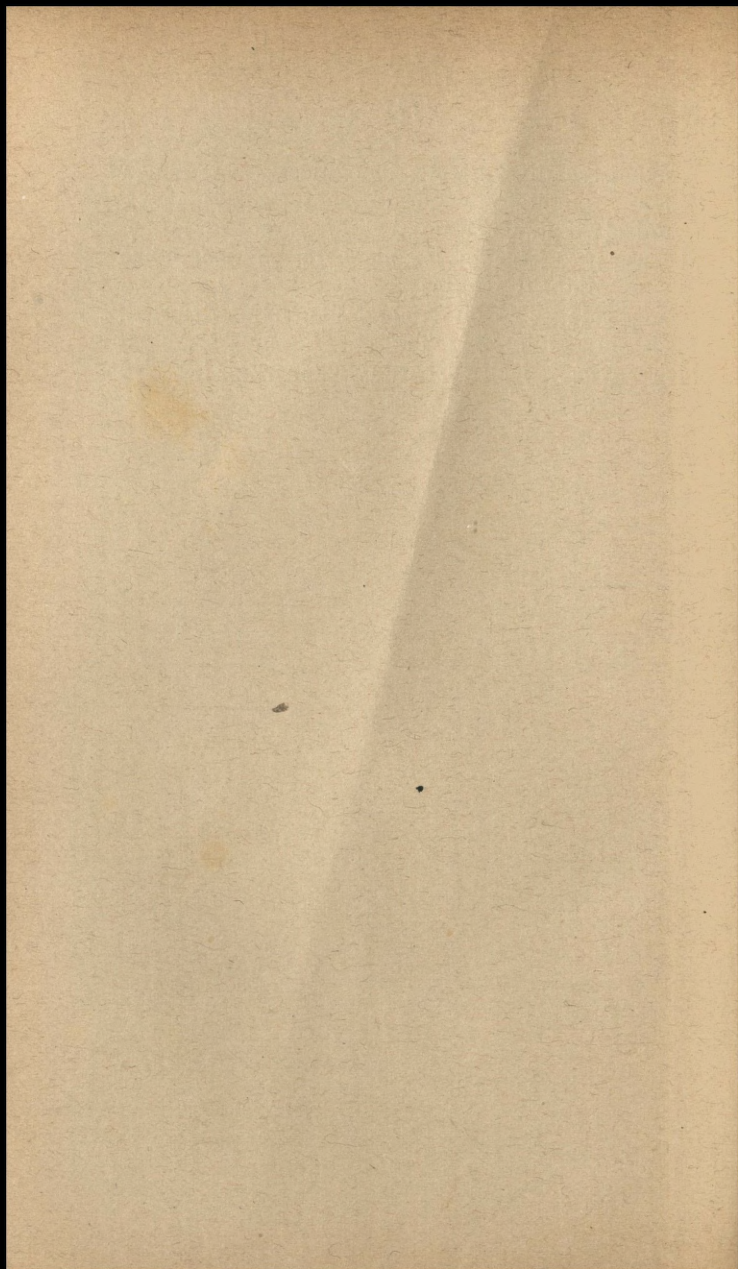
Następnie Godlewski zaprosił do siebie wszystkich na zakąskę, już naprzód przygotowaną. Wytoczono z piwnic beczki miodu i piwa, wyniesiono mięsiwa i pieczywo. Bogaty poseł, przed śmiercią, która go wkrótce zabrała, jeszcze raz, raz ostatni, odetchnął nadzieją, odetchnął miłością i jak patriarcha pobłogosławił lud, oddalający się do domów.

W Kownie oprócz rządowych figur nie pozostał nikt prawie. Młodzież pospieszyła naprzód, żeby wracającą processyę powitać biciem w dzwony. Z tym samym spokojem lud wrócił do miasta i udał się do domów, niosąc wspomnienia dnia tego głęboko zapisane w sercu, które i dzieciom przekaże. Biedne dziewczęta, zbite przez kozaków, z dumą pokazywały ślady otrzymanych razów. — —

W rok potem—na Litwie panem życia i śmierci był Murawjow. Na pagórku za miastem u słupa stał ze związanymi w tył rękoma pierwszy na Litwie męczennik, młody Klety Korewa, a przed nim audytor i pluton żołnierzy z nabitemi karabinami. Na dole, w ubogim domku, z którego można było widzieć nawet twarz nieszczęśliwego skazańca, klęczała biedna matka jego, patrząc na syna i posyłając modły i błagania do Boga o zlitowanie.

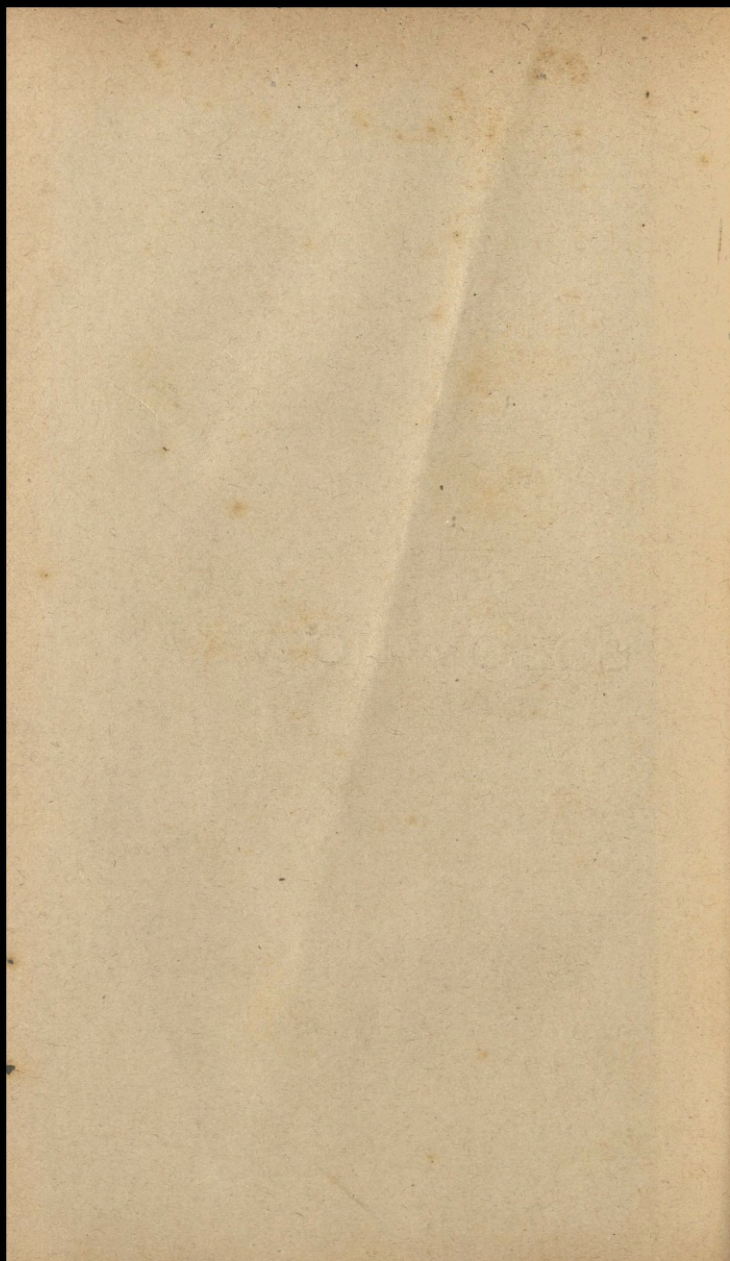
Wtem padły strzały. Podniosła się matka z ziemi, spojrzała w górę: syn jej już nie żył, a żołdactwo udeptywało świeżo zarzuconą jamę. Na twarzy jej bladej łez nie było; wzniosła tylko ręce do nieba i rzekła:

— Panie, Tyś mi odebrał ukochane dziecko... niech się dzieje wola Twoja!... mam jeszcze jednego syna, niech idzie służyć ojczyźnie!...



V.

SOŁOWIJÓWKA.



Lud ruski pielęgnuje i przechowuje nieustannie w mglistych obrazach wspomnienie dawnego życia niezależnego, życia burzliwego i krwawego zaiste, ale samoistnego, ale życia nareszcie. Tradycya, jak omdlała fala, przechowała parę nazwisk, parę wypadków pomieszanych z bajecznymi legendami, opartych na dziwacznej chronologii. Ale w tych mglistych obrazach, ale w tych nawpół zaledwie historycznych legendach przechował się powiew dawnego życia rycerskiego, a ze śpiewnej duszy ludu wspomnienia te wylewały się na świat w smętnych, a pięknych dumkach ukraińskich.

Kiedy wojna krymska wstrząsnęła potwornym gmachem państwa moskiewskiego, jakiś wiatr świeży, wiatr wolny, zaleciał od morza Czarnego aż na stepy Ukrainy. Wiara w niezłomną siłę Moskwy pękała. Widziano tłumy ludu, — nawet dzicz pogańską, — spędzane do Krymu z krańców imperyum dla obrony wiary prawosławnej i wracające napowrót rozmiarzone, zdziesiątkowane. Lud ukraiński nie rozplakał się nad niedolą prawosławia, owszem, zalatujące doń wieści z pobjowiska rozogniły młodzieńczą wyobraźnię

ludu, przywołując do życia zatarte obrazy dawnej swobody....

Z cichych chat wiejskich — z sielskiego życia i ze stepów zerwał się lud w roku 1855 do walki z Moskwą, której siła przestała być dlań straszną. Nie był to wówczas niewolnik skrycie nóż ostrzący na gardło swego pana, nie był to proletaryusz wołający chleba i gruntu, — był to rycerz-kozak, marzący o swobodzie, gdzieś i kiedyś utraconej, a przez zmierzch wieków uśmiechającej mu się całym powabem niezależnego życia. Nie dla rżnięcia szlachty lud powstał, owszem, wiązał i wieszał popów i urzędników, a panów swych wzywał, aby mu przewodniczyli w powstaniu. — Ale szlachta ukraińska trwożnie patrzyła na ten ruch, bo niezdolną była do żadnej inicjatywy i do żadnego kierownictwa. Lud ukraiński, bez przywódców, bezbronny, rzucił się na armaty i uszał gęsto trupem pobojuwisko, a zbity, skatowany, z pochyloną głową powrócił do dawnego, ciężkiego życia.

Rząd, przekonawszy się, iż lud, o którym myślano, że jest całkiem zbydlęcony wódką i pańszczyzną, śni o minionej swobodzie kozackiej, a podnosząc siekierę mściciela, mierzy nie w głowę panów, lecz popów i czynowników, — rząd zląkł się, rzucił się do propagandy i oparł ją na ówczesnem zniesieniu pańszczyzny, wywołanem duchem czasu i koniecznością. „Car jest twym oswobodzicielem“, powtarzano ludowi ciągle do ucha, — to też gdy wypadki w Królestwie Polskiem zagroziły powstaniem, lud ruski bałamu-

cony nieustannie, przeszedł już kilkoletnią szkołę tej propagandy i dostatecznie był przygotowany, aby uwierzyć w inną piosnkę, którą mu wtedy zaśpiewali urzędnicy i popi: „o panach. chcących wrócić do pańszczyzny i o carze, który jest gotów grunta i dobro pańskie oddać ludowi, jeżeli mu wiernie służyć będzie“.

Gdy powstanie w Królestwie wybuchło, młodzież polska na Rusi z uniesieniem przyjmowała wieści o bohaterskiem porwaniu się na wroga. Starsi kręcili głowami, jak to się dzieje wszędzie i zawsze w podobnych chwilach; Ukraina, Ruś cała, nie była przygotowana do powstania. Broni nie było tu, tak samo jak w Królestwie i na Litwie, wojska moskiewskiego wszędzie pełno, a policya zręczna i czynna znała obowiązki swoje. Ruch powstańczy w Królestwie wsparł się odrazu na masach żywiołu miejskiego, zawsze patriotycznego, podczas gdy na Rusi żywioł miejski przedstawiają przeważnie żydzi — żywioł kosmopolityczny.

Dzięki właściwej wiekowi zapalności, młodzież, pomnąc niedawne jeszcze czasy powstania ludowego na Ukrainie, liczyła na ten lud, wierząc, że w nim znajdzie sojusznika, i rwała się do szabli; powstanie szerzyło się wówczas coraz w większem kole i rozlało się nawet po Litwie, a każda wieść przylatująca z placu boju, czy o zwycięstwie, czy o porażce, czy o rzezi dokonanej przez wroga, podnosiła uczucia tryumfu lub zemsty. Miłość ojczyzny przepędiała serce młodzieży; niebezpieczeństwa, połączone z walką nęciły mło-

dociane dusze, wiara w potęgę sił własnych i nadzieja w pomoc ludu rosły ciągle.

Nareszcie w nocy 8 maja (nowego stylu) wyruszyło około trzystu młodzieży z Kijowa w stronę lasów powiatu radomyskiego, dla połączenia się z powstańcami tego powiatu.

Jednocześnie 21 ludzi, z których najmłodszy miał lat 15, a żaden nie liczył dwudziestu pięciu, wybrało się na niesłychanie odważną wyprawę, w stepy, ogłaszać ludności ukraińskiej *Złotą hramotę*, która jej nosła swobodę, uwłaszczenie i wzywała do walki z wspólnym wrogiem. Przedsięwzięcie było istotnie szalone, poświęcenie się bezprzykładne, bo na stepowej Ukrainie, gdzie ani las nie kryje, ani góra nie zasłoni, a wojsko moskiewskie wszędzie się znajduje, ludzie ci zginąć musieli pierwsi i niechybnie, czy to zasłaniając piersiami swemi lud poruszony, czy też spotkani przez ten lud z niedowierzaniem i obojętnością. Młodzież ta wiedziała, że idzie na śmierć pewną, lecz jest to cechą młodości, że w sprawach szczytnych nawet i śmierć jej nie przeraża; to też żartem przewali siebie *straceńcami*.

Opowiemy o losach tego dramatycznego i dziwnie poetycznego przedsięwzięcia młodzieży — przeważnie uniwersyteckiej, gdyż w oddziale tym było tylko dwóch takich, którzy nie uczęszczali do wszechnicy kijowskiej.

W ciemną noc deszczową, na dwóch wozach, z trójką kawaleryi z tyłu, wyjechali oni z Kijowa traktem wasilkowskim, mijając strażę nocną i pikietę kozaków, którzy ani nawet nie przy-

puszczali kroku takiej śmiałości. Tej samej nocy, na pierwszym popasie, w lesie, za wsią Pleseckiem, obrali z pośród siebie przywódcą Juriewicza i dwóch podoficerów, — następnie wyjęli schowane dubeltówki i rewolwery i uzbrojeni ruszyli dalej.

Pierwszą wsią, na obranej przez nich drodze, była Motowidłówka, nad Stuhną. Tu zebrawszy lud przed domem zarządu włości, przy rozwiniętej chorągwi odczytano *Złotą hramotę* i wręczono ją ludowi. Lud, przez policyę podburzony, stał wahający się i obojętny, nie mogąc dobrze zrozumieć o co rzecz chodzi, — *hramotę* jednak przyjął i schował.

Ztamtąd ruszył oddział dalej w stepy. — Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po poprzednim deszczu stały szerokie kałuże, jakby rozlane, w słońcu świecące jeziora. Ranek był piękny, a w duszy młodzieży jasno i nadziejno.

Na stepie spotkała garstka nasza uzbrojonych konnych włościan z Helenówki i z innych sąsiednich wsi. Tu w obec uroczystej natury ukraińskiej przemówili powstańcy do ludu gorącemi słowy. Młodość tych dzieci, ich odwaga junacka, przemówiły do serca ludu więcej, aniżeli słowa, których może nie rozumiał dobrze; przeczuł lud szczere chęci młodzieży i rzewnem zbrataniem zakończyła się ta scena. Był to jedyny szczęśliwy epizod w całej tej wyprawie.

Wieść o powstaniu przeleciała po Ukrainie jak iskra elektryczna. Popi i policya zwiększyli zabiegi, aby podburzyć lud przeciwko powstańcom: w imieniu carskiem popi od ołtarza obiecywali chłopom ziemię i majątki panów, upewniając, że na przeszkodzie spełnieniu tych obietnic stoją tylko powstańcy, że zatem w interesie ludu leży zgniecenie powstania. Urzędnicy policyjni klękali przed ludem, składali na krzyż palce i całowali ziemię, przysięgając, że Lachy już zaczęli palić wsie, rznąć dzieci i niewiasty, aby tylko wprowadzić napowrót pańszczyznę, którą car darował łaskawie.

Słowo „pańszczyzna“ poruszyło namiętności tego ciemnego, a obdarzonego bujną wyobraźnią ludu i usposobiło go złowrogo dla powstania. — Nie wiedząc, jakie siły rozwinie powstanie, Moskwa nie wysuwała wojsk, starając się zgnieść mniejsze oddziały powstańcze za pomocą ludu. Z tego powodu oddział nasz, podjeżdżając do Fastówka spotkał kilkutysięczną gromadę, która wystąpiła na jego spotkanie ze złowrogami zamiarami. Powstańcy zeskoczyli z wozów, uszykowali się i razem z nimi postępowali aż do wsi. Tu odczytali *hramotę* i oddali ludowi. Lud, jakkolwiek popychany przez dymisjonowanych żołnierzy i wójtów, widząc tę tak drobną garstkę, rzucającą rękawicę wszechwładnemu carowi, a pociągającą ku sobie młodością i serdecznem słowem, — puścił oddział spokojnie dalej.

W Fastówku mieli się złączyć powstańcy z oddziałem białocerkiewskim, ale wczesna roz-

sypka tegoż oddziału, o której nie wiedzieli, zawiadła nadzieję. Oddziałek więc ruszył naprzód... na los szczęścia. Trawy na stepie, kołysane wiatrem, wyglądały jak fale ruchliwe; wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, a krzyków, a trzepotania skrzydeł, radośnego brzęczenia owadów. Step brzmiał jak lira, na której gra ręka boża, -- ale w duszy biednej młodzieży już się zaczęło budzić zwątpienie, już tęsknota zaczęła przygniatać serca jak olbrzymi kamień. Jechali dalej w milczeniu.

W miasteczku *F a s t o w i e*, sprawnik ze zgrają policyantów zabarykadował się w stanowej kwaterze i otoczył się tłumem uzbrojonych włościan. Było tam i wojsko, ale pomimo znacznej swej przewagi nie odważyło się atakować powstańców i wówczas wystąpiło do pogoni, gdy ci już przejechali miasteczko.

Mały oddziałek, w skutek rozporządzeń policyi, zastawał wszędzie pozrywane mosty, rozkopane groble i drogi. Z tej właśnie przyczyny oddział nie mógł się udać ku Białej-Cerkwi, ani do powiatu skwirskiego, gdzie zbierali się powstańcy pod dowództwem *H e n s z l a* i *C h o j n o w s k i e g o*. Trzeba więc było chwycić się ostatniej drogi — na prawo, do powiatu radomyskiego.

Wjechawszy do lasu a nie mając mapy, mogli się kierować jedynie instynktem. Jadąc w ten sposób, napotkali ogromną fosę w poprzek drogi. Zleźli z wozu i czas tak kosztowny dla nich, musieli tracić na zasypanie jej. Niestety jednak, w chwili przejazdu przez świeży zasyp, wozy się

połamały, pozostał mały wózek kupiony w drodze dla chorych, a bohaterowie nasi musieli iść dalej pieszo.

Biedni młodzieńcy, przepędziwszy kilka nocy poprzednich przed wybuchem powstania bezsennie na przygotowaniach, odbywszy prawie bez odpoczynku kilkunastomilową podróż, zmuszeni iść dalej pieszo w nieznaney okolicy, — padali ze znużenia. Na domiar, w obec — nie tylko obojętnego, ale wprost wrogiego — usposobienia ludu, na który tak liczyli, kamień zwątpienia i tęsknoty stawał się coraz cięższym i był już za ciężkim na barki tej młodzieży. Noc była, a wśród cieniów nocy duch jest zawsze słabszy.

Noc była bezksiężycowa; niebo, nabite migotliwymi gwiazdami, niedość oświecało drogę po której szedł oddział, a fatalizm pchnął go w kierunku Sołowijówki, wsi słynącej z hajdamackiego usposobienia i z tradycyjnej skłonności do rozbojów i kradzieży. Wsie okoliczne nie chciały znać włościan z Sołowijówki i unikały wszelkich z nimi stosunków. Tu właśnie najlepiej udało się policyi usposobić ludność do nieprzyjacielskiego przyjęcia powstańców.

Zaledwie wszedł do wsi, oddział był natychmiast otoczony uzbrojonym tłumem ludu; uderzono w cerkwi w dzwony na alarm. Na wieść, że Moskale są w pobliżu, powstańcy zatrzymali się i uszykowawszy się pod płotem, czekali ich nadejścia, aby walką z nimi, aby śmiercią w oczach ludu, przekonać go o czystości swych zamiarów. Wierząc silnie, iż nastąpiła dla wszyst-

kich chwila ostatnia, chciał dowódca w bezpieczne miejsce wysłać przez konnego pozostałe pieniądze, sztandar i nie rozdane jeszcze *hramoty*, — ale było już zapóźno. Wszystkie drogi były już zajęte, a zresztą nikt nie zgodziłby się na to, aby odłączyć się od towarzyszy w uroczystej chwili nieuchronnej śmierci, — bo o poddaniu się Moskalom nikt nie myślał.

Znużenie nieszczęśliwej młodzieży było tak wielkie, iż pomimo niebezpieczeństwa, które im groziło, powstańcy spali stojąc w szeregu. Niektórzy mniej zmęczeni starali się wytłómaczyć ludowi i przekonać go, że za swoją wolność i za wolność ludu wystąpili do walki przeciw Moskalom. Wówczas wysunęło się kilku starszych włościan i oświadczyli, że oni nie chcą powstańcom uczynić nic złego, ale wypuścić ze wsi nie mogą, Moskale bowiem wieś całą wymordowaliby za to. W skutek tego oświadczenia zgodzili się powstańcy zostać we wsi w oznaczonej im chacie i tam oczekiwać Moskali i w oczach ludu zginąć w walce z nimi.

Trudno wyobrazić sobie tragiczniejsze położenie! Młodzieńcy, co tak marzyli o pracy dla ludu i o jego wyzwoleniu, na drodze swojej, w chwili, gdy życie byli gotowi zań oddać, spotykają ten sam lud — jako wroga. I ta garstka młodzieży postanawia rzucić się na taką potęgę jak carstwo, aby dać świadectwo swą śmiercią, że nie wszystko umarło w tym rozszarpanym narodzie! Szaleństwo i — wielkość! Straszna ofiara, pełna ponurej poezji!

Było jeszcze wyjście z tego okropnego położenia. Broń była nabitą: kilka strażów i lud ten rozbiegłby się... Nie! krok taki byłby przeciwny zasadzie, którą postawili sobie: zginąć, a nie przełać ani kropli krwi ludzkiej. Dlatego też wniosek przerznięcia się przez tłum, zrobiony przez jednego z towarzyszy, został odrzucony jednogłośnie.

Idą więc do chaty, zostawiając fuzye na wozie i zatrzymując przy sobie tylko rewolwery, któremi mają przywitać Moskali. Na wozie jechał jeden chory powstaniec. Lud ośmielony, coraz szerszej ścieśniał mały oddziałek. Niektórzy zaczęli sięgać po broń, złożoną na wozie. — Wtem dubeltówkę niezgrabnie podjęta, wystrzeliła. Na ten strzał, który nie ugodził nikogo, zrobił się alarm straszliwy. Ktoś w tłumie krzyknął: „bij na śmierć!“ i w jednej chwili lud się rzucił na nieszczęśliwych z siekierami i kołami, obalił, podeptał, strącał a pomordowanych zaczął kaleczyć okropnie. Na miejscu zostali zabici: Biesiadowski Józef (słynny ze swojej urody), Izbiński, Peretjatkowicz Adolf, Krypski, Kostko, Bobowski, Godfryd Przedpeński, Aleksy Wasilewski, Wołoszczewicz Lucyan, Przedrzymirski Walery i jego brat piętnastoletni. Wszyscy inni ciężko ranni, pokaleczeni, obdarci do naga, leżeli bez zmysłów rozciągnięci na ziemi i dostali się w ręce jeszcze okropniejsze, bo w szpony krwiożerczego rządu. Zabrał ich pułkownik Isajew, który na czele dwóch sotni kozaków przybył w pół godziny po okropnej tej tragedyi. Kazał

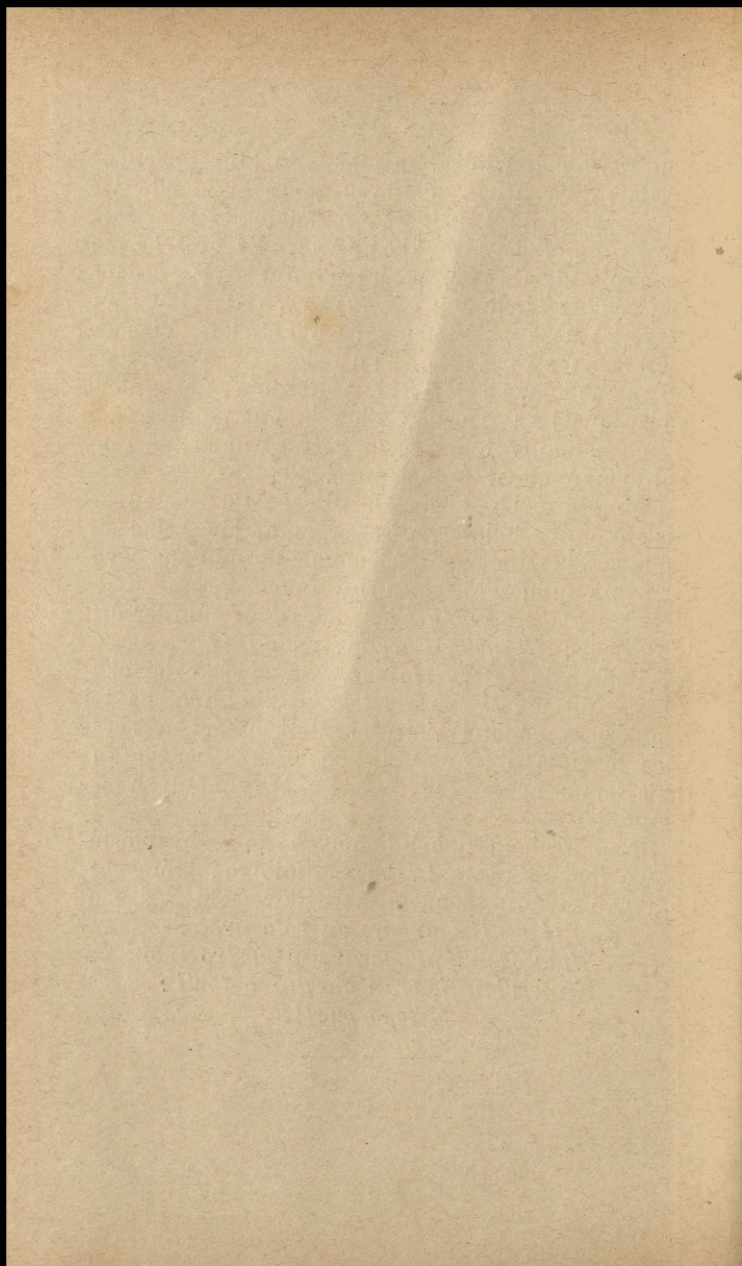
on wykopać wielką mogiłę, do której wrzucił ciała zabitych, a dających znaki życia odwiózł z początku do Brusilowa, a potem do więzienia w Zytomierzu. Józef Doroczyński umarł z ran w szpitalu. Reszta, po wyleczeniu była zesłana na Sybir; byli to: Wasilewski, Bolesław Pyszyński, Stefan Wyhowski, Wacław Kurzeński i Kościuszko. — Władysław Szaramowicz uciekł z Kazania, a Antoni Jurjewicz z fortecy kijowskiej za pomocą podkopu, ale przybywszy do Paryża umarł z ran, otrzymanych w Sołowijówce.

Mogiła tych biednych dzieci stoi podewsią, jak pomnik boleści, dręcząc sumienie zabójców i nie dając im spać spokojnie. Rozogniona wyobraźnia ludu widziała dusze pomordowanych jęczące, błakające się około mieszkań morderców, wołające: *Chryste, Chryste, pomyśluj!*

Zdarzenie to wryło się w pamięci całej okolicy, lud pojął, że spełniono zbrodnię na tej młodzieży bohaterskiej i bezinteresownej, a krwa-wa legenda o tej strasznej ofierze żyć będzie długie lata i przyzywać z głębi mogiły młodych męczenników. — —

Nad grobem pomordowanych możnaby powtórzyć piękną pieśń L. Mercantini'ego, którą poeta napisał o podobnem przedsięwzięciu Pizicane:

*E li sentj mandare un solo grido:
Siam venuti a morir per nostro lido —
Eran viginti, eran giovani e forti :
E sono morti!*



VI.

MURAWIOW NA LITWIE.

MURAWIOW PA. ET. VI.

W Petersburgu wychodzi *Wiestnik Ewropy*, pismo bardzo poważne, zawierające przeważnie historyczne artykuły, opracowane według źródeł urzędowych. W tomie I roku 1883 znajduje się niezmiernie ciekawy artykuł, pod tyt.: „Śledztwo i sąd nad powstańcami w północno-zachodnim kraju w r. 1863—1864, według oficjalnych dokumentów.“

Przedstawiamy go w dosłownem tłumaczeniu i niech podane fakta mówią same za siebie. —

„Redakcyja *Russkoj Stariny*, pomieściwszy w listopadowym zeszycie *Zapiskę M. N. Murawio-wa**), oddała wielką usługę historii i rosyjskiemu społeczeństwu, gdyż *Zapiska* ta musi wywołać dopełnienia, odpowiedzi i komentarze, które w końcu wyjaśnią prawdziwe położenie rzeczy w północno-zachodnim kraju w 1863—1864. — *Zapiska M. N. Murawio-wa* jest interesującą i z tego powodu, że wskazuje, iż Murawio-wa rozwiniął niesłychany terroryzm w nieszczęśliwym kraju na złość swym petersburskim antagoni-

*) Przypisek. Tak się wymawia to nazwisko, chociaż pisze się Murawiew.

stom, których obwinia o zbytęcną słabość dla buntu i prawie o zdradę.“

„Posiadamy właśnie jeden z dokumentów urzędowych, mogący służyć do wiernej charakterystyki i rzetelnej oceny działalności generała Murawiova w północno-zachodnim kraju.“

„Poprzednio jednak musimy dotknąć niektórych osobistych wspomnień, które malując miejscowe stosunki, mogą plastyczniej przedstawić znaczenie tego dokumentu. Przyznajemy, iż poruszając wspomnienia osobiste, spełniamy wielką ofiarę, gdyż chcielibyśmy na zawsze zapomnieć wrażenia tych czasów i zgładzić z pamięci wszystkie te sceny.... Powstają one w naszej przerażonej wyobraźni, zlewając się w obrazy bezgranicznych nieszczęść i cierpień, jawią się jak straszna zmora, jak krwawe widmo, które wstrząsając nas do głębi, taką przejmując nas zgrozą, że umysł lodowacieje i wstrzymuje się bicie serca. — Jako naoczny świadek wypadków w tym kraju, dokąd mnie zanosły służbowe obowiązki, mogę przedstawić prawdziwy, acz w ogólnych tylko zarysach obraz położenia przed przybyciem generała Murawiova do Wilna i po jego przybyciu. Czas dla szczegółowej historii jeszcze nie nastał.“

„Generał Murawiovo przybywszy do Wilna w połowie maja 1863 roku, zastąpił generał-adjutanta Nazimowa. Trzeba powiedzieć z góry, że orężne powstanie było już wtedy zupełnie zgniecione. Nieszczęsne resztki oddziałów powstańczych kryły się po lasach, ratując się od pościgu, lub łącząc się w nieco większe partye —

ale dla własnej już tylko obrony, nie dla napa-
dów. Takim naprzykład był oddział księdza Ma-
ciewicza, kryjący się w lasach gubernii ko-
wieńskiej. Wielu dowódcom oddziałów udało się
uciec za granicę, wielu powstańców wracało, od-
dając się w ręce władz, wielu ginęło w lasach
od głodu i chorób, wielu nareszcie kończyło ży-
cie samobójstwem. Obmyślili szczególny samobój-
stwa sposób: stawało dwóch towarzyszy naprze-
ciwko siebie z wymierzoną bronią i podniesione-
mi kurkami, a na dany znak, spuszczaali kurki i
zabijali się wzajemnie.“

„Ze powstanie było już zupełnie naówczas u-
kończone, można się o tem przekonać z własnej
Zapiski M. N. Murawiowa i opisu przyjęcia, ja-
kiego doznał ze strony generał-adjutanta Nazi-
mowa, który nie chciał nawet mówić o powsta-
niu, jako o rzeczy skończonej. Toż samo wyni-
ka ze sprawozdań innych osób, świadczących
przed generałem Murawiewem o bezsilności i zu-
pełnem przytłumieniu powstania. Tymczasem po
przybyciu generała Murawiowa, powstanie uznano
za jeszcze nie uśmierzone i wymagające wyjąt-
kowej energii, aby je zdusić, a zatem i wyjątko-
wych pełnomocnictw... Do wojennych działań,
pełnomocnictwa te były niepotrzebne, lecz słu-
żyły jedynie do zaprowadzenia w kraju niesły-
chanego teroryzmu, do straszego pogromu, na
który Litwa była skazaną w myśli generała Mu-
rawiowa już wtedy, gdy *ten wielki patryota*, ja-
dąc do Wilna, modlił się w kazańskim soborze
w Petersburgu.“

„Imię M. N. Murawiowa było już znane w kraju od roku 1831, gdy go mianowano gubernatorem Grodna, — wówczas także po zupełnym pogromie powstania i po wzięciu Warszawy. Murawiov był wtedy w randze cywilnego radcy. Zebrawszy reprezentantów miasta, zwrócił się do nich z mową, zaczynającą się takim oratorskim wykrzykiem: *Pany, adwokaty, księżdy i proczije padleczy!* Następnie wezwał obywateli ziemskich do Grodna, zamknął ich z początku, a potem rozpuścił. W kraju w tym czasie obowiązywał statut litewski, a Murawiov szczególnie nienawidził adwokatów.“

„Niezwyczajną sławą okrył się, wieszając obywatela Wołłowicza w wilię otrzymania z Petersburga przebaczenia, które mu wiózł feldjegier, o czym Murawiov już był poprzednio uwiadomiony. W tym to czasie wypowiedział słowa: „Ja nie z tych Murawiwów których wieszają, ja z tych, co sami wieszają.“ To jednak nie przeszkodziło mu wykrzyknąć: „Kiedyż to będzie koniec samowoli rządowej!“ gdy otrzymał nominację na gubernatora mohilewskiego, — z Grodna bowiem nie chciało mu się wyjeżdżać. Są to fakta historycznie wierne.“

„Od pierwszych dni przybycia generała Murawiowa do Wilna, teroryzm czuć było w powietrzu. Wszyscy czekali grozy i nieszczęść, lecz nikt nie przeczuwał tego, co wkrótce miało nastąpić. — Zadrżeli wszyscy — winni i niewinni. Główni kierownicy powstania oddawna szczęśliwie uciekli, skryli się lub zginęli. Lecz było

niemożliwym, żeby nawet najlojalniejsi, albo ci, którzy się zdawali być takimi, nie byli winni! Ich tylko nie złapano na uczynku! Bezżyteczność domowych rewizyj u urzędników i innych osób, w różnych chwilach dnia i nocy, nie zadowalniała generała Murawjowa: „ja znam ich — powtarzał, — to naród chytry!“

„W jednym dniu, nad ranem, w skutek otrzymanej telegraficznej depechy, wszystkie rządowe kancelarye w sześciu guberniach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohilewskiej i witebskiej, zostały otoczone wojskiem pod dowództwem oficerów z dodanymi im urzędnikami cywilnymi, i zaczęto rewizyę. Szukano dowodów przeciwko urzędnikom „polskiego pochodzenia“, szukano dowodów udziału ich lub współzucia dla powstania, grzebano w archiwach i bibliotekach*), przetrząsano sale posiedzeń urzędowych, zaglądano pod meble i do mebli, zachodzono do szkół i przeglądano książki i seksterna uczniów... Nigdzie nic nie znaleziono!“

„W jakim celu się to robiło? nie wiadomo, bo losy urzędników i nauczycieli katolickiego wyznania już były zdecydowane: — wszyscy mieli

*) Przy takich rewizjach bibliotek ginęły nieraz bardzo cenne książki. Przy rewizyi mej biblioteki zabrano niezmiernie cenne i rzadkie dzieło z rysunkami: Aretina. Gdym się upomniał o nie, żandarm, do którego się zwróciłem, odpowiedział mi, że dzieło to zatrzymał sobie generał Murawjow.

(Przypisek pułk. Strusia).

być wydaleniu ze służby. Ale charakter i dążność teroryzmu zupełnie się wyjaśniły: winowajcą był nie tylko ten, kto brał udział w powstaniu, lub sympatyzował z niem, ale każdy Polak, każdy katolik. Zaczęło się prześladowanie za wiarę i za pochodzenie, prześladowanie, które następnie zmieniło się na faktyczną walkę i nienawiść — nie polityczną, ale kulturalną i plemienną.“

„Nie ograniczono się na wygnaniu ryczałtem katolików ze służby: nakazano władzom gubernskim ułożyć spisy osób, mających wpływ i poważanie u miejscowej ludności i wszystkich takich *przestępców* wysyłać z kraju w drodze administracyjnej na Sybir, lub do oddalonych gubernij wschodniej Rosyi. W skutek tego rozporządzenia, lepsi, ucziwsi, zupełnie niewinni ludzie, etapami byli wysyłani na wygnanie z rodzinami, nawet bez murawiewskiego śledztwa i sądu. Byli w ich liczbie ludzie szczerze oddani rządowi, wierni służby jego, zawsze i wszelkimi siłami protestujący przeciwko wszelkim zaburzeniom w kraju. Wielu z nich potem wróciło z wygnania w skutek *wierzbołowskiego manifestu*, z warunkiem wybrania miejsca pobytu w guberniach Królestwa Polskiego. Inni po powrocie z wygnania udali się do senatu z prośbą o przyznanie im prawa do emerytury za poprzednią bez zarzutu służbę i emerytura była im przyznana jako ludziom zupełnie niewinnym. Moglibyśmy przytoczyć imiona tych ostatnich, lecz nie czujemy się w prawie wspominać o lu-

działach, szukających teraz tylko spokoju i zapomnienia. Gorycz krzywdy i niezasłużenie poniesionych cierpień, unieśli niektórzy z sobą do grobu.“

„Od pierwszej chwili przyjazdu do Wilna, hr. Murawiew okazywał szczególną gorliwość w nakładaniu i ściąganiu kontrybucyj, oraz rozmaitych kar pieniężnych. Kontrybucye nakładano niezależnie od zwyczajnych podatków i innych należności, a następowały one jedne po drugich, raz po raz. Dzieliły się na rozmaite kategorie, z których jedne wnoszono do kas rządowych, inne zaś, niewiadomo czemu, kazano z całego kraju odsyłać wprost do Wilna, do kancelaryi pana generał-gubernatora. Rzetelnej liczby tych ostatnich, z czasu niezbyt długiego stosunkowo pobytu w Wilnie Murawiewa, nie były w stanie nikt oznaczyć nawet w przybliżeniu. Nikt ich bowiem nie liczył, nie kontrolował, gdyż do podobnej kontroli nikomu nie przyzługiwało prawo.“

„Lecz wygnanie ze służby katolików, zsyłania administracyjne, kontrybucye i kary pieniężne, były tylko słabym prologiem rzeczywistego i prawdziwego teroryzmu, który jak straszny huragan runął wkrótce na cichą i oniemiałą z przerażenia krainę, nie oczekującą znikąd ani współczucia, ani pożałowania. W nierozłącznej parze z teroryzmem szła trudna do wyobrażenia demoralizacya, a razem z nią niesłychany system szpiegostwa i donosów. Niektórzy uciekali się do donosów jedynie dla własnej obrony, w prze-

konaniu, że w takim charakterze w obec władzy, mogą być bezpieczniejsi. Ludzie pod wpływem ciągłego strachu i niepewności o jutro, szaleli i dziczeli. Ojciec lękał się własnego syna, syn ojca, brat brata.... Fałszywe oskarżenia tak się upowszechniły i przychodziły w tak wielkiej ilości, że niektórzy gubernatorowie i naczelnicy powiatowi musieli karać autorów ich i pociągać ich do odpowiedzialności, jak o tem przekonywa umieszczony niżej urzędowy dowód.“

„Więzienia przepelnione były ludźmi, których obwiniano nie o udział czynny w powstaniu, lecz o *sympatyczne dlań usposobienie, o sprzyjanie organizacyi rewolucyjnej, o zamiary wywołania powstania, słowem o przestępstwa*, na których określenie musiały być dopiero dobraćne wyrazy. Nikt nie mógł być dość pewnym, żeby go za co bądź nie oskarżono....“

„Kto mógł — uciekał, rzucając ojczyznę i rodzinę, inni zaś chronili się do miast, gdzie pod okiem władz, spodziewali się znaleźć jakie takie bezpieczeństwo, — lecz takich *ukrywających się* Murawiov kazał zmuszać do powrotu na wieś, z kąd dostawali się wprost do więzień. Nawet wielu z Rosyan, którzy, mieszkając w tym kraju przed powstaniem, mieli znajomych między Polakami, uczuwali się niedość bezpiecznymi w stosunku swoim do władzy. Wielu dostało obłądu prześladowczego, a znaliśmy takich, którzy spełniając obowiązki członków wojenno-śledczych komisyj, zasypiać nie mogli pod wpływem obawy, że lada chwila wpadną żołdaci i odpro-

wadzą ich do więzienia. Znajomi, przy spotkaniu mijali się w milczeniu, udając, że się nie poznają, każdy obawiał się drugiego, obawiał się siebie samego. nawet cienia własnego.... Wszystko to przypomina się nam, jak straszliwe, okropne senne marzenie.... Całe wsie obwiniano o udział w powstaniu, — za to jedynie, że przez nie przechodziły oddziały powstańcze, lub w bliskości ich zatrzymały się dla odpoczynku; wsie takie zostały za karę spalone i zrównane z ziemią, a mieszkańcy wrzuceni do więzienia, a potem zesłani.“

„Niektórzy z Rosyan, przybywając w tym właśnie czasie do kraju, z pobudek czysto patriotycznych, widząc, co się dzieje, byli przerażeni — nie obrażali bowiem sobie nic podobnego do tego, co obaczyli. Nie mogąc pozostać niemymi świadkami nadużyć nie do wiary i okropnych zbrodni, nie mogąc się pogodzić z myślą, iż w państwie może istnieć jakaś kraina wyjęta z pod wszelkich praw — ratowali się ucieczką... Nie śmiemy wymieniać nazwisk szanownych i szlachetnych naszych ziomeków, którzy tak sobie postąpili, ale nie możemy zamilczeć o jednym z gubernatorów, który po kilku zaledwie tygodniach urzędowania, porzucił swoje stanowisko i niespodziewanie, w nocy, wyjechał.*) Fakt niepraktykowany, a jednak prawdziwy...“

„Dla *nieprzyjaznego żywiołu* zabrakło nakoniec już miejsca. Należało codziennie opróżniać turmy i więzienia, żeby zrobić miejsce dla nowonadsyłanych ofiar. Do prowadzenia śledztwa i sądu nad

*) Był to hr. Bobryński.

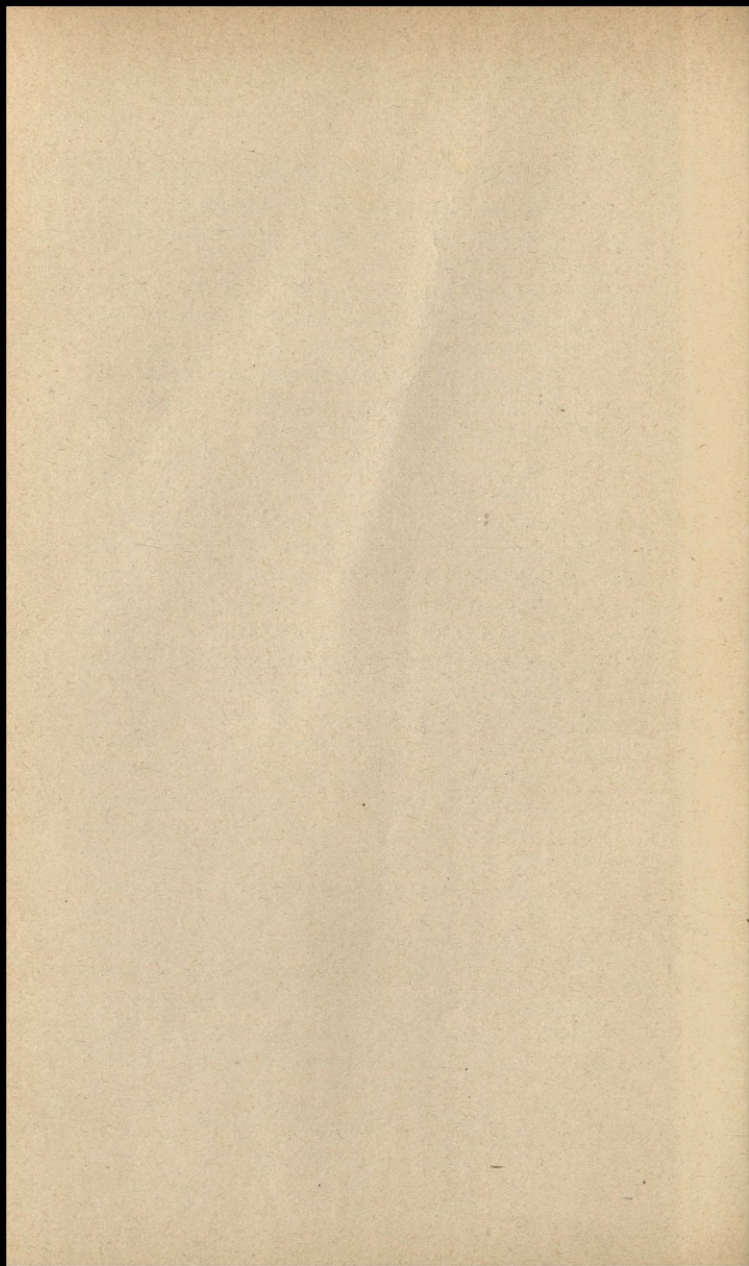
nimi w Wilnie, urządzono *czasowy polny audytoryat*, a na prowincyi śledcze i wojenno-sądowe komisye.“

„Jak prowadzono owe śledztwa i sądy, stanowiące o wolności, mieniu i życiu ludzi, świadczy o tem najlepiej zamieszczony poniżej urzędowy dokument, który komentarzy nie potrzebuje, a co do swej wiarogodności jako dowód urzędowy, zaprzeczeniu ulegać nie może. (*Okólnik audytoryatu polowego d. 14 października 1865 r. L. 3145*)“

„W prowadzeniu spraw politycznych, które oddano sądom wojennym, mianowicie przy zbieraniu dowodów, mogących przekonać o winie oskarżonego, komisye wojenno-sądowe nie trzymały się obowiązujących przepisów i popełniały uchybienia, niekiedy tak daleko idące, że tamowały one możność legalnego orzeczenia o stopniu karygodności podsądnych. Tak naprzykład sądzono ludzi, o których nie wiedziano nawet kto oni są. Potrzebne były nowe dodatkowe śledztwa, a że w obec wyjątkowego położenia kraju i ogromnej liczby uwięzionych, hr. Murawiov wyjątkowo tylko uznawał za możliwe, aby sprawy z takimi niedokładnościami zwracano dla przeprowadzenia śledztw dodatkowych, — audytoryat przeto zniewolony był częstokroć opierać orzeczenia swoje na takim materiale, jaki miał pod ręką. Wiele spraw tak zwanych politycznych, przeniesiono do oddziału politycznego kancelaryi gubernatorskiej. Robił to hrabia Murawiov w tym celu, żeby wo-

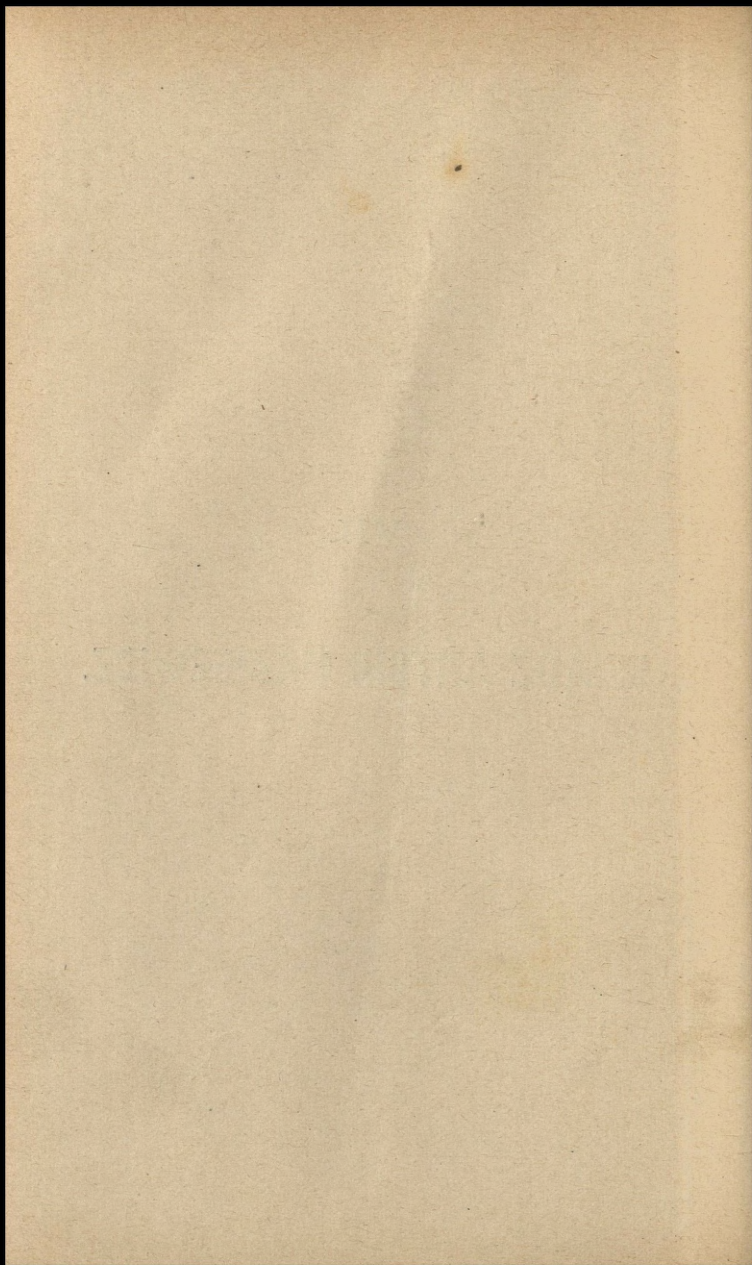
ła jego w zasądzeniu na karę śmierci, lub tłumne wysłanie na Sybir zupełnie niewinnych ludzi, nie była ograniczona nawet połowym audytoryatem.“

„Takie były śledztwa i sądy przy hr. Murawiewie, a stanowiły one o życiu i śmierci tysięcy ludzi. Możemy stanowczo upewnić, że większość zesłanych, byli to ludzie nie tylko nie przyjmujący bezpośredniego udziału w powstaniu, lecz zupełnie niewinni. Niektórzy z zbliżonych stanowiskiem do hr. Murawiewa „ośmielali się“, jak nam mówili, zwracać uwagę jego na to, że wysłała się wielu ludzi, których wina jest zupełnie nieudowodniona. „Być może, — odpowiadał wtedy z nieukontentowaniem; — nie wszyscy oni brali udział w powstaniu, ale wszyscy mogli z powstaniem sympatyzować.“ W tych słowach zawierała się cała polityka Murawiewa. — (E.).“



VII.

KSIĄDZ ANTONI MACKIEWICZ.



W Wilnie jest kościółek świętej Anny, tak pięknej architektury, tak czystego stylu, tak dziwnej harmonii wszystkich linii i nieprzesadzonej ornamentyki, że gdy obaczył go Napoleon I, wykrzyknął: „ach jaka szkoda, że cacka tego nie można przenieść do Paryża.“

Dzięki temu niepodobieństwu, Wilno zachowało tę śliczną budowę, a każdy przejeżdżający przez miasto, nie zapomina przyjrzeć się temu klejnotowi gotyki.

W roku 1850 przybyłem do Wilna dla odwiedzenia rodziny, a ponieważ poprzednio nigdy tam nie byłem, z największą zatem ciekawością zwiedzałem wszystkie pamiątki starego grodu Gedymina, budzące wspomnienia, związane z historyczną przeszłością naszą, piękną i wzniosłą — lub ponurą, lecz wielką.

Po zwidzeniu góry Mendoga i Bekieszówki, a także całego łańcucha wzgórz, gdzie stoją kopce — które usypali rękami swemi poganiścy ojcowie nasi dla swoich wielkich ludzi, — obejrzawszy miasto *à vol d'oiseau*, zeszedłem na dół i przeszedłszy Wilenkę, zanurzyłem się w wązkiej uliczki miasta, dążąc do ko-

ścioła świętej Anny. Słońce zachodziło, purpurowe niebo stanowiło barwne tło, na którem kościół jeszcze piękniej odbijał. Długo stałem przed tem arcydziełem sztuki, starając się zapamiętać to, co stanowiło piękność jego, — ale to niełatwo, jak niełatwo zachować w pamięci melodyjny głos słowika, lub wrażenie szlachetnego uczynku.

Gdym już napasł oczy, wszedłem do środka świątyni. Wnętrze jej nie odpowiada w niczem powierzchowności, jak gdyby nie ten sam budowniczy ją kończył, — i rzeczywiście jest podanie, że twórca jej został przez zazdrość strącony z rusztowania i zabił się na miejscu, a kto inny dzieło to ukończył.

Było już po nieszporach, a na kazalnicy wstąpił właśnie kapłan średniego wzrostu i tuszy, łagodnego wyrazu twarzy, nie imponującego niczem. — Nie lubując się w kazaniach dogmatycznych, chciałem wyjść z kościoła, gdy kapłan przeżegnał się i zaczął mówić. Jego miły głos, mowa piękna, obrazowa, poetyczna i natchniona, powstrzymała wszystkich, chcących zrobić to samo co ja zamierzałem. Staliśmy zdumieni, wzruszeni i zawiśliśmy na ustach mówiącego.

Tematem była cześć dla cieni zmarłych, gdyż był to dzień zaduszny. — Tak pięknej mowy, takich szczytnych myśli i przejęcia się posłannictwem swoim, nie słyszałem ani razu w życiu. Mówiący, w miarę rozwoju cudownie pięknych obrazów naszej historycznej przeszłości i dawnych

enót domowych, rósł w oczach naszych. Jego oblicze piękniało i pociągało, z oczu jego tryśkała siła głębokiego przekonania, a z ust lały się spokojnie krasomówcze słowa miłości dla przodków i bólu z powodu ztraty tego skarbu ducha naszego. — Kto to taki? ze wszech stron pytano. Był to ksiądz Antoni Mackiewicz. Wkrótce sława jego, jako kaznodziei, tak urosła, że rząd moskiewski, podejrzliwy i brutalny, zabronił mu wygłaszania nauk moralnych w Wilnie.

Mackiewicz był rodem ze Żmudzi. Syn zaściankowego szlachcica, lata dziecinne spędził w ojcowskiej zagrodzie w pobliżu miasteczka Cytowian. Nędza nieraz zaglądała do chaty, dla tego też nie wiele robiono starań o naukę dziecka. Doszedłszy do lat dwunastu, młody Antoni zaledwo czytać umiał, lecz roztropne dziecko uczyło się samo; dobre słowo, a poczciwa i rozumna rada starszych ludzi, wystarczały mu za wszelkich nauczycieli. — Ojciec chciał go oddać na naukę do kowala. Prośby młodzieńca i wstawiennictwo matki wymogły na surowym ojcu zmianę jego zamiarów. Chłopiec otrzymawszy kilkanaście rubli na drogę, przeżegnany i pobłogosławiony, wyruszył piechotą do Wilna, oddając się opiece nieba.

Nadzieje go nie zawiodły. Zakonnicy kościoła Wszystkich Świętych przyjęli go do siebie i w zamian za różne kościelne posługi, dali mu pożywienie i te zasoby nauki, jakich zakon mógł dostarczyć. Doszedłszy do ośmnastego roku życia,

biedne pacholę udało się piechotą do Kijowa, aby wstąpić do uniwersytetu. Młodzież poczciwa przyjęła go w grono swoje jak brata. Mackiewicz w tem serdecznem otoczeniu korzystał z wykładów uniwersyteckich jako wolny słuchacz.

Po dwuletnim pobycie w Kijowie, spędzonym w ubóstwie, zbogaciwszy się nauką, zateęsknił młodzieniec do rodziny. Przedsięwziął nową pielgrzymkę, piechotą, na Żmudź. Rozogniona wyobraźnia i serce pełne miłości i natchnienia wskazały mu przyszłych losów koleje: Antoni postanowił zostać kapłanem. Uszczęśliwieni rodzice, wiaząc swe dziecko tak pięknie rozwinięte, pobłogosławili je znowu i w roku 1846 Mackiewicz, mając dwadzieścia lat, wstąpił do seminarjum w Worniach. —

W roku 1850 odebrał święcenia kapłańskie i wkrótce potem mianowano go wikarym w Podbrzeziu. — Ubogie było życie jego, bo wszelkie dochody obracał ksiądz Mackiewicz na hojną jałmużnę dla sierot, wdów i ubogich włościan. Wszędzie gdzie bieda zajrzała, gdzie nieszczęście dotknęło chłopka, z pewnością już tam stał Mackiewicz z moralną otuchą i materyalnem wsparciem. Był on ojcem prawdziwym swoich parafian, dzieląc się z nimi wszystkim. Obdarzony potęgą słowa, gdy wstępował na kazalnice, stawał się wszechwładnym panem serc swoich słuchaczy; mowy jego były proste, ale potężne wpływem, bo z serca płynące. W stosunkach z przyjaciółmi był udzielający się, towarzyski i otwarty, lubił zarówno poważne rozmo-

wy, jak i krotofilne żarty. W chwilach wolnych od obowiązku, oddawał się nauce dziejów ojczystych i czytaniu dzieł poważnych.

Podniesienie sprawy włościańskiej zbudziło Litwę z uspienia. W tej pięknej dla ojczyzny chwili, ksiądz Mackiewicz zajął się rozpowszechnianiem Towarzystwa wstrzeźliwości i podniesieniem moralności ludu; jednał poważnych, godził włościan z ich panami, wskazując im jednego Ojca niebieskiego i wspólną matkę — ojczyznę; zakładał liczne szkółki dla rozkrzewienia między ludem oświaty i sam nawet uczył czytać wiejską dziatwę, gromadząc ją w swej plebanii.

Plony dziewięcioletniej pracy jego nad ludem były ogromne; cała parafia, a nawet sąsiednie powiaty patrzyły nań jako na świętego i wierzyły słowom jego jak ewangelii. To też gdy dano hasło do zaczęcia powstania, ksiądz Mackiewicz ogłosił z ambony, dnia 8 marca, manifest 22 stycznia, a serdeczna jego mowa tak wzruszyła zgromadzonych wieśniaków, że cały kościół od dziecka do starca zalewał się łzami, wypowiadając wojnę gnębiicielom.

Do tem kazaniu opuścił ksiądz Mackiewicz Podbrzezie i udał się do Krakinowskiej puszczy. Zebrała się tam wkrótce okoliczna młodzież, a wieśniacy przychodzili tłumami pod dowództwo księdza. W kilku dniach oddział wzrósł do 500 ludzi; ksiądz Mackiewicz nie chciał przyjmować więcej, dla braku broni; — składała się ona z pojedynków myśliwskich, trochę dubeltówek i

z kos osadzonych na długich drewnianych trzonkach. Ksiądz-naczelnik zaczął od wpajania poczucia obowiązku i wielkości sprawy, za którą szli walczyć.

Przededniem 17 marca oddział księdza Mackiewicza wyruszył w drogę; naczelnik ubrany w czamare i konfederatkę, z szablą u boku, na czarnym, niewielkim koniku objeżdżał szeregi, zachęcając do wytrwałości. Powstańcy skierowali się ku lasom Datnowskim, gdzie się znajdował naczelnik województwa, dymisyonowany kapitan Jabłonowski. — Po przybyciu na miejsce, Jabłonowski wprowadził nową organizację i nowy porządek i zasilił inteligencją przeważnie wieśniaczy oddział księdza Mackiewicza, tak, że hufiec przybrał wojenną postawę. Uczono musztry i wojennych obrotów tydzień cały, przysposabiając do bitwy, której się spodziewano.

Rzeczywiście oddział ten wkrótce został zaatakowany przez sześć rot moskiewskiej piechoty pod Pujdakiem. Jakkolwiek potyczkę można nazwać szczęśliwą, bo Moskale odstępili, jednak w bitwie połowa powstańców rozpierzchła się po lesie. — Ksiądz Mackiewicz opatrzył rannych i pogrzebał pięciu poległych, wiedząc, jak demoralizująco działa na walczący lud prosty niespełnienie tej powinności.

Jabłonowski widząc, jaki to jeszcze surowy materiał, postanowił oddział rozpuścić i oświadczył żołnierzom, że mogą prosić o dymisyę. W skutek tego włościanie po większej części ustąpili. Zgrzyzło to i zasmuciło ks. Mackiewi-

cza, bo w tem rozporządzeniu upatrywał odpychanie ludu od wspólnej walki i uznawanie go za niedołęznego obrońcę.— Jabłonowski w czterdzieści koni co najdzielniejszej młodzieży skierował się ku granicy pruskiej, z kądem oczekiwał broni, a 70 ludzi zostawił ks. Mackiewiczowi, który z tym oddziałem skierował się do Krok. Rozbitki z bitwy pod Pujdakiem zaczęły się ciskać napowrót do szeregów ks. Mackiewicza.

Gdy Sierakowski przybył na Zmudź, oddział księdza Mackiewicza został wcielony do wojsk powstańczych, któremi tenże dowodził. Odtąd ks. Mackiewicz stał się doradcą, podkomendnym i przyjacielem Sierakowskiego. W bitwie pod Rogowem, mając polecenie zająć tyły Moskwie kosynierami, własnym przykładem i obecnością w najniebezpieczniejszych miejscach dodawał odwagi niewyćwiczonym żołnierzom. Jakiś Moskał zamierzył się, aby pchnąć go w piersi bagnetem. Ksiądz Mackiewicz zapomniawszy o rewolwerze, odbił bagnet ręką, porwał Moskala za łeb, powalił go na ziemię i ogłuszył uderzeniem obcasa.

Jeżeli partyzanta w ogólności według prawideł wojskowych sądzić nie można, to w ostatniej walce mniej, niż kiedykolwiek. Sąd ten tembardziej powinienby tu być względny, gdyż powstanie wybuchło w kraju zgoła do niego nieprzygotowanym i prawie żadnej nieposiadającym broni. Dla tego też żołnierz zaledwo zaciągnięty, ze względu, że oddział jutro zaatakowanym być może, musiał wszystkie chwile swobodne poświę-

cać ćwiczeniom wojennym, instruktora najczęściej tylko w swym dowódce znajdując. A kiedy przyszło do boju, tenże dowódca nie mógł poprzestać na kierowaniu nim tylko, przeciwnie, najczęściej własną osobą w najniebezpieczniejszych miejscach walczyć musiał i co chwila z dowódce stawać się prostym szeregowcem, aby tu nauczyć, tam własnym przykładem zagrzać, tu chwiejących się podtrzymać, a tam dopilnować spełnienie wydanego rozkazu.

W Knebiach, na radzie wojennej, ks. Mackiewicz zgodził się na plan Sierakowskiego: na marsz do Kurlandyi. Dowodząc jedną kolumną dążył do Birz, wszędzie ogłaszając manifest 22 stycznia i wstępując do kościołów, aby mieć natchnione kazania do okolicznego ludu, który podwojonemu ulegał wrażeniu, witając go jako kapłana i jako powstańca. Ksiądz Mackiewicz z radością spoglądał na ziszczające się nadzieje, przeczuwając rychłe zbawienie ojczyzny, osiągnięte potęgą powstania całych mas ludu.

Niestety, losy zrzędziły inaczej! Po klęsce pod Birzami i uwięzieniu Sierakowskiego, nastąpiła straszna demoralizacya i zwątpienie w szeregach powstańczych. Od tej klęski datuje upadek żmudzkiego powstania, bo znikła już nadzieja zwycięstwa. Chociaż Laskowski, w którego oddziale ksiądz Mackiewicz dowodził batalionem, przebiegał z tysiącem ludzi nadgraniczne powiaty, zmęczenie skutkiem nieustannych marszów, nieład i brak karności wojskowej, stały się powodem wielkiej dezercyi, — tem więcej,

że Moskwa, mając wielką ilość nagromadzonego wojska na Litwie, nie dawała odpoczynku, a dowódcy ich jeden drugiemu podawali rozbite oddziały powstańcze.

W drugiej połowie czerwca, ksiądz Mackiewicz, ku któremu zwracały się serca i baczność ludu, z 200 ludźmi oddzielił się od Laskowskiego i udał się w okolice Podbrzezia. Nabrawszy przekonania, że nigdy nie należy czekać ataku Moskali, ale samemu na nich napadać, zaczął robić nieustanne zasadzki. — W Bystrampolskich lasach rozprószył dość znaczny oddział gwardyjskich kozaków, którzy straciwszy konie, zamknęli się w karczmie. Ksiądz Mackiewicz mógł ich zabrać w niewolę bez strzału, podpaliwszy karczmę, ale karczmarz, żyd, był dobrym patriotą, ksiądz Mackiewicz nie pozwolił na podpalenie, bo mu droższem było mienie i całość jednego przyjaciela, niż setcina jeńców moskiewskich.

Aby dać pojęcie o życiu oddziałów litewskich, załączamy wyjątek z listu jednego żołnierza-ochotnika, którego los rzucił najprzód do województwa kowieńskiego, a następnie do oddziału ks. Mackiewicza. List ten, pisany do rodziny w Warszawie, był drukowany w Nr. 4 *Niepodległości*, który wyszedł w Warszawie dnia 28 sierpnia 1863 roku. Odmalowany w nim bardzo obrazowo sposób wojowania powstańców na Litwie i obóz ks. Mackiewicza.

„...Po długich dopytywaniach się, sprawdzeniu i badaniu, zaprowadzono mnie nareszcie

do człowieka, co miał mi ułatwić dostanie się do oddziału. Przyznam się, że te niedowierzania gniewały mnie trochę, ale przypatrując się przez dni kilka w Kiejdanach temu, co się dzieje, jak katuje i znęca się Moskwa nad tem biedactwem, myślałem sobie: Ha, co robić! kielich nalany, potrzeba go wypić! Spotkanie moje z tym człowiekiem (jak mi się zdaje okręgowym, czy innym urzędnikiem, — nie wiem istotnie, kto on był taki), zasługuje na to, ażebym wam je opisał:

„Wyobraźcie sobie malutką izdebkę w jednej z przyległych wiosek, z dwoma okienkami na ogród, posypaną tatarakiem; na ścianie, na czarnem suknie krzyż z Zbawicielem, pod tem drewniana ława, kilimkiem przykryta, pośrodku izby stół prosty, drewniany, na nim kilka książek, jeszcze krzyż; świeca łojowa, parę stołków, — otóż i całe umeblowanie. Kiedym wszedł, zapukawszy poprzednio w okienko, jak mi wskazano, gospodarz milcząc zaryglował drzwi, wskazał mi stołek i długo mi się przypatrywał swym przenikliwym wzrokiem. Wychudły to był człowiek, niski i z suchotniczym rumieńcem na twarzy. W rysach jego niespokojnych widać było gorączkowe rozdrażnienie, spojrzenie śmiałe i przenikające, czoło wyniosłe i już zmarszczkami pokryte, chociaż na oko nie zdawał się mieć więcej nad 30 lat. — Po chwili odezwał się:

— Kto jesteś obywatelu?

Powiedziałem mu moje nazwisko; uśmiechnął się i dodał:

— Cóż mi po nazwisku, ja pytam kto jesteś?

Odpowiedziałem mu hasłem, które mi dano i wypowiadałem się ze wszystkich przejść moich od styczniowej wyprawy naszej, od Kampinosa poczynając.

— Przeszłość czysta, ale czego tu przyszedłeś? czy wiesz, co cię czeka? Będziesz głodny codziennie, będziesz spać na gołej ziemi, będziesz chodził częściej boso, niż w butach; jak cię zrania, to cię Moskwa złapie i powiesi; — jak nie dostoisz placu, dowódcą rozstrzela!

— Wiem o tem wszystkim i jestem na wszystko przygotowany.

— Masz ty rodzinę? Napisz, żeby cię zawczasu oplakali; z naszych oddziałów nie wychodzą za urlopem, chyba do mogiły; już się z nimi nie zobaczysz. Powiedz bracie: czyś ty pogodził się z Bogiem i ludźmi?... bo ja cię nie chcę zwodzić, że ty idziesz na śmierć. Powiedz bez przechwałek: czy jesteś gotów umrzeć każdej chwili dla Ojczyzny? Namysł się, jeszcze czas się cofnąć, ja ci ułatwię powrót za Niemien, tam u was lżejsza służba.

— Postanowienie moje niezłomne, obywatelu; kiedyśmy wychodzili bez broni, bez odpowiedniej odzieży w styczniu z Warszawy, wiedzieliśmy, co nas czeka, a jednak nikt się nie zawahał.

— Obraziłeś się obywatelu, ale niesłusznie; nikt pewno z większem od nas uwielbieniem nie słuchał opowiadań o waszem bohaterskiem

poświęceniu, o tej wzniosłej miłości Ojczyzny, która cuda robiła i robi... a nikomu pewno gorzej nie krwawiło się serce, gdyśmy posłyszeli, że ci sami, co szli z kijami na Moskwę, w kilka miesięcy potem z karabinami uciekali do Galicyi. Okropne, okropne... bracie mój drogi! ogrom u was poświęcenia i zapału, ale brak wytrwania; zapominacie, że Moskwy w kilka miesięcy złamać nie można, że to walka olbrzymia, w której całe pokolenie nasze musi położyć głowy, by winy ojców odkupić i zdobyć prawa bytu dla przyszłych pokoleń... I dla tego jeszcze raz się pytam: czyś gotów iść do walki, mając pewność, że musisz zginąć; czy nie przyjdzie chwila słabości, kiedy zatęsknisz za śliczną Warszawą, za rodziną, kiedy zmęczenie zapał twój złamie i zwątpisz? Namyśl się, bo to jest chwila stanowcza!

„Na twarzy jego, gdy to mówił, malowała się spokojna rezygnacya męczenników pańskich; czułem instynktem, że to nie były słowa tylko, że to była jego wiara i, że tylko z taką wiarą wolno wstępować do zakonu walczących za niepodległość. Mimowoli odbywała się jakaś walka w mej piersi, przesuwaly mi się w myśli obrazy mego dzieciństwa, drogie postacie rodziny i przyjaciół i nasz dworek na Pradze i moje marzenia dawne o spokojnej pracowitej przyszłości; — ale obok tego jak wyrzut sumienia stanęły mi w pamięci jasne postacie naszych męczenników i okropne wspomnienia morderstw Moskwy. Cały kraj krwią zbroczony; słyszałem

zda się jęki wdów i sierot, ciche westchnienia dolatujące z więzień i z Syberyi i jakiś ból straszny ścisnął mię za serce. Zarumieniłem się sam przed sobą, że wahać się jeszcze mogę i myśleć o sobie, kiedy tylu już krwią swoją podpisało akt wolności przyszłej; zerwałem się z miejsca, spojrziałem ze łzami na postać Zbawiciela ukrzyżowanego, cichą modlitwą pożegnałem się ze wszystkim, co sercu drogie i zwracając się do gospodarza, powiedziałem spokojnym głosem:

— Bracie, jam gotów!

— Wierzę, przysięgnij i chodźmy.

„Po odbytej przysiędze wyszliśmy z domku i przez ogrody, tyłami, wyruszyliśmy w pole. Noc była cicha, lipcowa, zapach dojrzewającego zboża rozkosznie upajał, czułem się lekki i pełen otuchy. Po godzinnej drodze przez łąny zbożowe i drobne zarośla, spostrzegliśmy tuż pod lasem migające światło chaty. Mój przewodnik trzy razy krzyknął, naśladując głos jękliwy kani; — od strony chaty na odpowiedź rozległ się krzyk podobny i nie dłużej jak w pół godziny, usłyszeliśmy ciche stąpanie i stanął przed nami starzec w wieśniaczym stroju, w kapeluszu słomianym na głowie i przywitał słowami:

— Niech będzie pochwalony!

„Po krótkiej rozmowie półgłosem mego przewodnika ze starcem, poszliśmy do chaty: tam znaleźliśmy przygotowane: grubą bieliznę, buty, siermięgi i czapki, a przebrawszy się, wyruszyliśmy dalej. Starzec nas poprowadził przez las,

pomrukując coś z cicha pod nosem, — może modlitwę.

„Przedzieraliśmy się przez gęszczary omackiem, ja trzymałem się prawie za poły starca. Ciemność była taka, że nie mógł dojrzeć szarej świty idącego przedemną; jak się kierował ten stary Litwin w tych bezdrożach — nie pojmuję.

„Podróż nasza trwała parę godzin, a może i więcej; wiem tylko, że gdyśmy wyszli na polankę dość obszerną, już świtać zaczynało.

— Tu się zatrzymamy, za półgodziny przyjdą, -- odezwał się starzec, odszedł kilka kroków, ukląkł i zaczął odmawiać pacierze.

„Niespełna w półgodziny od strony przeciwnej polany posłyszeliśmy szelest rozsuwanych gałęzi i ostrożne stąpanie, oraz krzyknięcie charakterystyczne, które nam za hasło służyło. Starzec odpowiedział i wkrótce z za kilku drzew wysunęły się postacie, widocznie przedniej straży. Wszysey byli w szarych sukmanach, krótkich za kolana, rzemiennym pasem spiętych, w rogatywkach, z dubeltówką w ręku, z toporkiem za pasem; każdy miał na sobie dość dużą sakwę z grubego płótna i trąbkę myśliwską.

„Starzec i mój przewodnik zbliżyli się do nich i coś z sobą rozmawiali, a ja zostałem na stronie. Potem dali sygnał, krótki, urywany, na trąbkach i posunęli się przez polanę na drugą stronę lasu. Dalej już postępowały po sobie ściśnięte kolumny strzelców w liczbie 300 przynajmniej i ze 100 kosynierów. Zadnych wozów, żadnych bagaży nie było widać, tylko niesiono kilka skrzy-

nek na drągach, jak się później dowiedziałem, z ładunkami i prochem. Wszystko to rozlokowało się kupkami na polanie; rozłożono ogniska, przystawiono kociołki z jadem, widocznie gotowano się do odpoczynku, ale w takiej cichości, jakby to był obóz niemych. Dziwiło to mnie niepomąłu, bom się przyzwyczałem do rozgwaru w naszych obozach. — Na samym końcu wyszedł na polanę ks. Mackiewicz, dowódca oddziału, w sutanie, z podwiniętami połami, z pałaszem przy boku i rewolwerem za pasem, otoczony kilku młodymi oficerami w ezamarkach: widocznie był to cały sztab jego. Wszyscy byli pieszo, ani jednego konia w obozie, żadnych zapasów żywności, oprócz tego co każdy miał w sakwie płóciennej za sobą.

„Przewodnik mój poprowadził mnie do naczelnika i przedstawił, opowiadając wszystkie moje przejścia. W końcu dodał:

— Naczelniku, to zdaje się tęgi mazur.

„Podeczas tej rozmowy mogłem się przypatrzeć twarzy ks. Mackiewicza. Twarz jego ogorzała, rysy wydatne, długa, ciemna broda, brwi gęste, pomarszczone czoło, twarz jakaś ponura, całość pełna energii i siły, co mimowoli cześć przejmuję.

— Umiesz strzelać i słuchać? — zapytał mnie lakonicznie.

— Umiem.

— Umiesz modlić się?

— Matka mnie nauczyła.

— Potrafisz umrzeć?

— Nie próbowałem.

— Dobrze. — Po tem zwracając się do jednego z oficerów dodał: — obywatelu, zaprowadź go do szóstego dziesiątka; tam po Manulisie, wieczny pokój jego duszy, została strzelba: niech go tam przyjmą do wspólnego kociołka.

„Oficer skłonił się i poprowadził mnie do mojego dziesiątka, co już zasiadł około ognia i cicho gwarzył ze sobą.

— Obywatele, to wasz kolega, Mazur z nad Wisły, kochajcie go; a to twój dziesiątnik, — dodał, zwracając się do mnie i wskazując na ogromnego mężczyznę, w takiej samej, jak inni sukmanie, tylko z rewolwerem za pasem.

„Zaczęli się mnie rozpytywać o Warszawie, o Langiewiczu i o innych dowódcach; rozmowa szła ochoczo i dobrze mi było z nimi.

„Dziesiątek nasz składał się z czterech włościan z Ignacowa, trzech mieszczan z Poniewieża, syna majątnego obywatela z Szawelskiego, z nauczyciela z Kowna i mnie.

„Dowiedziałem się, że wszystkie wycieczki i napady robią podczas nocy; we dnie zaś odpoczywają, jeżeli Moskwa nie siedzi na karku. Dzisiejszej nocy zrobili ze cztery mile i dla tego zamierzali cały dzień pozostać na polanie.

„Słońce już zeszło, kiedy dał się słyszeć głos piszczałki i wnet za tem komenda:

— Do modlitwy!

„Zachwycający to był widok tych kilkuset ludzi, doświadczonych w boju, klęczących, z odkrytymi głowami. Przed nami, przed krzyżem i obrazem Matki Boskiej na chorągwi obozowej,

klęczał ksiądz Mackiewicz i intonował: *Kiedy ranne wstają zorze*. Dokoła były puszcze rodzinne, nasze fortece, nad nami był Bóg i przyszłość nasza.....“ — —

Długo ksiądz Mackiewicz rzucał postrach na Moskwę, przerażoną wytwalością powstania. Opierając się na ludzie, czerpał z niego ciągłe zasoby, a przy osobistem męstwie, długo mógłby jeszcze podtrzymywać gasnący ogień powstania, ale powstanie straciwszy siłę moralną, straciło i materialną potęgę. Moskale niszczyli wsie, palili dwory, dziewięć dziesiątych obywateli wywieźli z kraju, zesłali lub wymordowali, tyleż majątków zasekwestrowali, oddając pod zarząd urzędników moskiewskich. Przechodziły tygodnie, a żołnierze ciepłego jada nie kosztowali, nie znali dachu i wypoczynku. Wprawdzie lasy rodzinne dawały im bezpieczne schronienie i szczęśliwą miejscowość do walki, lecz był brak dowozu żywności, amunicji i rekwizytów, — oddziały były nieraz odosobnione przez długi przeciąg czasu; — niepodobieństwo było zostawiać rannych i znużonych po wsiach, gdyż szpiegi moskiewskie zaraz ich wytropiły, a wtedy cała wieś była spalona i z ziemią zrównana, a mieszkańcy ginęli z głodu, lub szli na osiedlenie w stepy północy. Kto był ranny, to już gorzej jak zabity, komu sił zabrakło i nie mógł zdążyć za oddziałem — był zgubiony.

Nastała późna jesień; opadły zwiędłe liście, a powstańcy o chłodzie i głodzie tułali się po lasach. Wrzesień był nieprzyjazny gdy ksiądz Mac-

kiewicz ze 150 ludźmi wszedł w lasy węgolskie w powiecie kowieńskim, gdzie Moskwa przez szpiegów uwiadomiona już go czekała. Wypadłszy z zasadzki, wyparła powstańców w rzadkie krzaki, gdzie uderzyła na nich kawalerya, rąbiąc i tratując. Powstańcy szukali ratunku w ucieczce. Kilkunastu padło trupem, a wielu bardzo wzięto w niewolę. Ksiądz Mackiewicz ocalił się, prowadząc 25 rozbitków. Po tej klęsce ksiądz Mackiewicz porzucił myśl formowania pieszego oddziału. Pozostałych wsadził na koń, zebrał najdzielniejszych rozbitków i utworzył szwadron konnych strzelców z 80 ludzi złożony. W listopadzie kozacy dogonili go śladem.

Ksiądz Mackiewicz zpieszyl swoich żołnierzy, wypadł niespodzianie, rozpędził kozaków, zabrał im kilkanaście koni, rozbroił ze dwudziestu, obdzielając oddział zdobytym rynsztunkiem wojennym. Zwycięstwo to sprawiło niewymowną radość w znękanym oddziale powstańców. Ale radość była krótka. Moskale wysyłali nieustannie konne oddziały dla ścigania Mackiewicza i w końcu listopada dopadli go, oddział rozbili, rozprószyli: część była zabita, część wzięta w niewolę, a reszta się rozpierzchła po okolicy, szukając schronienia. Na tem się skończyły wojenne działania ks. Mackiewicza.

Po tylu trudach i bojach, po odbyciu dwudziestu kilku — większych i mniejszych potyczek, cierpiący, znękany i zbolący, ksiądz Mackiewicz zamyslił opuścić Żmudź i udać się do Królestwa. Zdązał więc ku stronie Niemna pie-

chotą w towarzystwie dwóch młodzieńców. Z płaczem żegnali rodzinną ziemię i miejsca najdroższych pamiątek. Spoczywali w lasku niedaleko Wilk, Niemen już był tylko o kwadrans drogi, o zmroku mieli się przepawić, — ale zdrada czuwała nad nimi. Szpieg, kolonista Niemiec, zawiadomił Moskwę, stojącą w pobliżu, która z szybkością otoczyła miejsce spoczynku podejrzanych podróżnych. Dwaj powstańcy uratowali się ucieczką; Mackiewicz mając nogę zranioną, nie mógł uciekać prędko i został schwytyany.

Wkrótce odkryła Moskwa imię znakomitego jeńca. Radość jej była ogromna; zawieźli go do Poniewieża, zwołali włościan, aby im pokazać, iż mają już go w rękach swoich. Smutek i boleść zapanowały wszędzie, gdzie znano tego natchnionego kapłana. Włościanie tłumnie szli do kościoła i modlili się za duszę jego. Murawiov kazał sprowadzić go do Kowna, pieszo. Obyczajem żydów z czasów Piłata, przywiązano go na krzyż do kija, tak, że każde stąpienie sprawiało niewymowne bóle.

Skazany na śmierć, umarł na szubienicy 26 grudnia 1863 r.

Obiecywano mu przebaczenie i tysiące łask carskich, jeżeli wykryje, kto należy do Rządu Narodowego. Mackiewicz odpowiadał milczeniem. W dniu ostatnim obwożono go na wozie tryumfalnym po całym mieście, aby go pokazać narodowi.

Wprowadzony na rusztowanie i zapytany po

raz ostatni, czy się nie zgodzi na podane warunki, odrzekł:

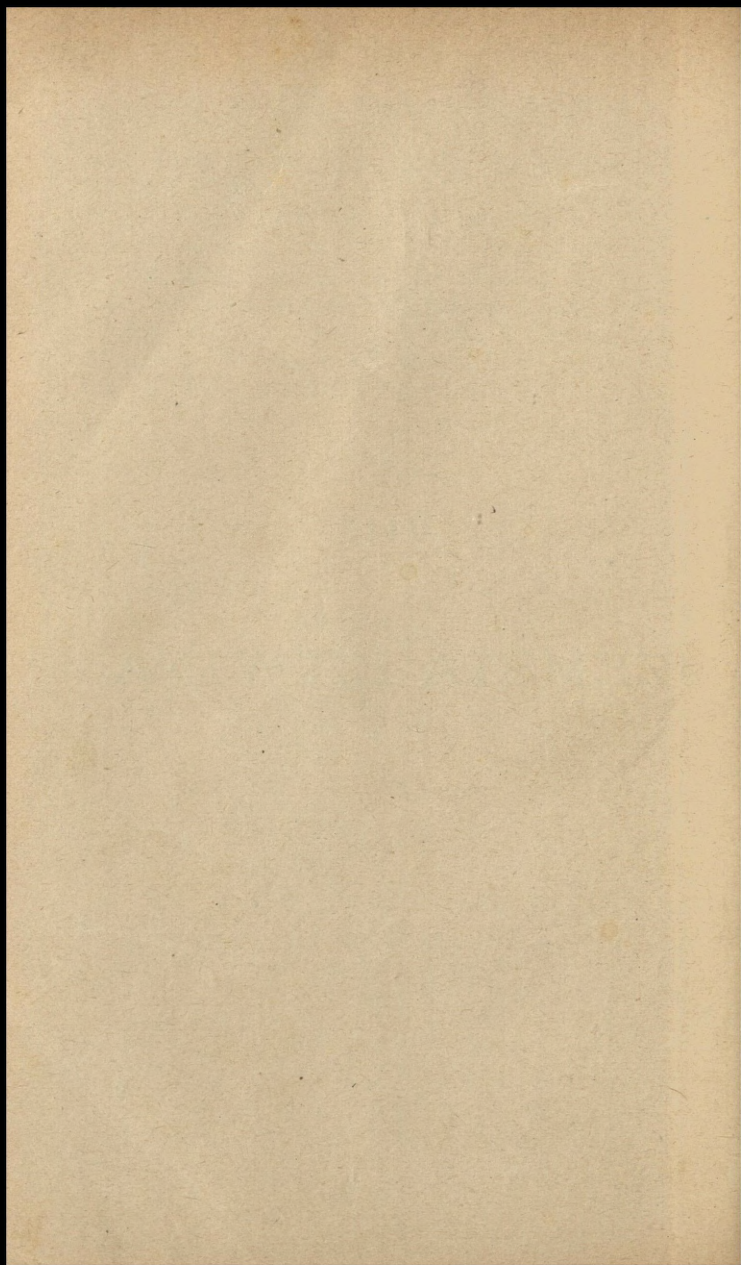
— Skończyłem swoje, a wy teraz róbcie swoje. —

Tak zginął ten przywódca ludowy na Żmudzi, człowiek niepospolity, kapłan światły i ukochany przez lud, miłujący Boga i nieszczęśliwą Ojczyznę. W Podbrzeziu dotychczas lud uważa go za świętego i modli się do niego.

BIBLIOTEKA
JÓZEFA MADERA

VIII.

ZEMSTA LITWINA.



Litwo, kraju rodzinny, ileż drogiech wspomnień zostawiasz w sercach dzieci swoich!... Gdy wracam sercem w krainę pamiątek, każde miejsce, gdzie się dzieckiem bawiło, każda rzeka, każda skała, każdy lassek, zostały wyryte w pamięci, jakby się wczoraj z wami rozstało. A gdzie wy przyjaciele lat młodzieńczych, gdzie koledzy szkolni? Wiatry rozwiały prochy wasze, dziki zwierz w lasach rozszarpał ciała zabitych, — a śnieg Sybiru pokrył swym białym całunem to, co śmierci uszło.. Dziś myślą wracając do ciebie, kraju mój drogi, już nie znajduję nikogo, ktoby mnie żywo obchodził, — co było dla mnie milszego, wszystko zginęło, lub wypędzone zostało z ojczystej zagrody. Tylko pamiątki martwe, tylko groby, tylko niebo twoje i przyroda nęcą mnie jeszcze. Chciałbym choć raz przed śmiercią być tam, pomodlić się nad grobami, kryjącymi prochy drogiech mi osób, — spojrzeć na te miejsca, gdzie żyłem tak błogo, wśród Kochającej rodziny, wśród szanujących ją sąsiadów — i odetchnąć powietrzem, które żywiło pierś dzieciną...

Wspomnieniem obejmując ukochane pamiątki, z serca wylewam ten opis rzeczywistego, a nie zmyślonego wypadku.

W roku 1862 hymny zaśpiewane nad brzegami Wisły, stokrotnem echem odczwały się na Litwie. Nikt jeszcze nie myślał, nikt nie przewidywał, że pieśń usposobi do boju, a bój sprowadzi zniszczenie i śmierć. Pieśń rozgrzewała serca i budziła szlachetne wspomnienia dawnej sławy przodków i dawnej swobody. Były to chwile przebudzenia, chwile uniesienia, w których każdy poczuł się lepszym, przebaczył winy bliskim swoim i ręce do nich wyciągnął, — bo przepelnione miłością serca nie mogły chować niechęci i czuły potrzebę podzielenia się uczuciem, wylania się przed bratem, wypowiedzenia bliskim tego, co żyło tyle lat stłumione i o czem wróg myślał — że już umarło na zawsze.

Interesa rodzinne zmusiły mnie jechać w głąb Żmudzi przez puszcę rosieńską. Kto zna litewskie puszcze z tego tylko, co widział nad drogą, a nie jako myśliwy, — ten nie ma o nich najmniejszego wyobrażenia. Są to lasy stare, odwieczne, jakimi je Bóg stworzył. Tajemnice ich zaczynają się tam, gdzie się wozowe drogi kończą, gdzie ścieżki pieszych giną i przepadają w zaroślach.

Na mniej dostępnych miejscach rosną niebotyczne drzewa i owe gąszcze nierozwikłane, których wnętrze zna tylko zwierz dziki. Nigdzie tam nie widać ręki człowieka. Są tylko gdzieniegdzie

ślady burz i uraganów, które całemi łany powaliły drzewa i obróciły je w stosy gnijących kłód, pokrytych w następne lata gęstą młodą zielenią. W tych niedostępnych uroczyskach płyną gdzieś niegdzie ospale ruczajki, kiśnie woda w szerokich brodach, nad których powierzchnią zwieszają się zewsząd gałęzie drzew i krzaków, szukające napoju.

Obraz tych borów, powietrze, którem się oddycha, wonie rozlane dokoła, są całkiem różne od tych, które wy znacie. A kto nie słyszał wielkiego hymnu, jaki szumem swym nucą drzewa i szalonych rozhovorów ich w czasie burzy, ten nie zna jeszcze jednego z najuroczystszych głosów stworzenia. Czasem wśród majestatycznej ciszy zaszumi ptak, zaszaleści swawolna wiewiórka, — przeciągnie kruk kracząc głodny, lub czarny bocian, mieszkaniec niedostępnych lasu głębin, — skoczy koza pierzełliwa... i znowu mileczy poważna pustynia.

Przejeżdżając przez tę puszcę po drożynie leśnej, zasłyszałem pieśń *Boże coś Polskę* śpiewaną chórem. Zeskoczywszy z wózka poszedłem w kierunku, z którego dolatywały głosy i tam na polance znalazłem ze sto ludzi, których stary organista uczył tej pieśni.

— *Tegul bis pagarbintas Jesus Chrystus!* — rzekłem, wychodząc z za drzew.

— *Amtamžnaj, amtamžnajte, amen!* — odpowiedziało kilka głosów.

— Co tu porabiacie panowie?

— Uczymy się śpiewu polskiego. We wtorek jarmark w Szydłowie, potrzeba będzie zaśpiewać w czasie mszy, boć my także Polacy i chcemy Ojczyzny i wolności.

Była to szlachta zaściankowa, jedna z najpatryotyczniejszych klas ludności Litwy i Żmudzi. Szlachta ta, mało wykształcona, mało rozwinięta, wyjątkowo tylko mówiąca innym językiem jak żmudzki, ubrana tak jak chłopci litewscy, różni się od tych ostatnich tylko dobrobytem, bo jest pracowita, wytrwała i oszczędna. Na niej można studyować siłę tradycyi i jej znaczenie. Szlachta zaściankowa otrzymała swe szlacheckie przywileje od królów polskich za zasługi wojskowe. Od tego czasu tyle wieków niedoli i niewoli ubiegło, szlacheć zrównał się z chłopem, a jednak różni się od niego szczerym patryotyzmem.

Na Żmudzi szlachta obchodziła się z chłopami zawsze po ojcowski i dla tego nawet czasy pańszczyźniane nie pozostawiły po sobie złęgo wspomnienia, nienawiści, bojaźni i niewiary do panów, — lecz gdy wybuchło powstanie, pobudką dla chłopca do wzięcia w niem udziału była najczęściej tylko religijność. Dla tego też chłopów widzimy w oddziale księdza Mackiewicza i w oddziałach, którymi dowodzili chłopci: Bitis i Diewkis. — Szlachta zaściankowa łączyła się z powstaniem z innych pobudek: „królowie polscy nadali nam przywileje szlacheckie za czyny wojenne ojców naszych, dla tego też gdy Polska potrzebuje krwi naszej i mienia, winniśmy stanąć pod bronią i bić się z wrogiem wspólnej

Ojczyzny“. — Tę różnicę usposobień znał krwiożerczy Murawio*w* i dla tego tak mordował, palił i niszczył tę szlachtę, zsyłając całemi zaściankami na Sybir; — a z drugiej strony i postrachem i nagrodami demoralizował duchowieństwo, wywyższając takich łotrów, jakimi byli ks. administrator Żyliński, Niemeksa i inni.

Gdy już wybuchło powstanie, a młodzież udała się do lasów, chłopci okazali się mu bardzo przychylni, dostarczali pożywienia, ostrzegali o obrotach nieprzyjaciół, — lecz imać się broni, z początku z wyjątkiem pewnych miejsc, nie chcieli, — a to j z powodu, iż duchowieństwo, obawiające się o swe przywileje, mileżało i nie wyjawiało swej opinii. Biskup żmudzki Maciej Wołaczewski, sam pochodząc z chłopów, udał się umyślnie do Wilna i Kowna — niby dla wizytacyi kościołów — i tam przesiadywał długo, żeby nie być przymuszonym do wypowiedzenia zdania swego. Wracając z Kowna do Worń, stolicy swojej, otoczony został w rosieńskiej puszczy przez włościan, którzy go pytali, co począć w obec powstania i czy mają się bić z Moskalami. Biskup, bardzo zakłopotany, po' namyśle odrzekł dyplomatycznie: „Bóg nakazuje bronić wiary swojej przed każdym, kto jej zagraża.“ — „Błogosław więc ojcze!“ — rzekli włościanie kłękając. Młody dowódca oddziału powstańczego, kryjącego się w zaroślach, skinął na swoich ludzi: ci wypadli z lasu z bronią i chorągwią narodową i ukłękli razem z ludem naokoło karety biskupiej. Przestraszony pasterz musiał pobłogo-

sławić wszystkich klęczących, a przez to dał sankcye powstaniu żmudzkiemu, — o tem zdarzeniu jednak nakazał zachować milczenie; to też nikt nie powiedział o tem Moskałom, dopóki żył Wołaczewski. To jego błogosławieństwo było samo przez się ważniejszem dla Żmudzi, niż wygrana bitwa, bo chłopci zaczęli uważać powstanie jako nakazane od Boga. Niestety, dowódcy powstania na Litwie nie umieli wyzyskać i spotęgować usposobienia tego, które można było rozdmuchać do rozmiarów wojny ludowej. Nie łącząc oddziałów w większe masy, napadając na rozdrobione siły nieprzyjaciół, otaczając ich ciągle kordonem wrogiego ludu, można było ten ostatni przyuczyć do boju i wyćwiczyć na żołnierzy, którzyby więcej oddali usług powstaniu.

Jeden z oddziałów działających na Żmudzi znajdował się pod dowództwem Gleby, człowieka zdolnego, energicznego i wielkiej osobistej odwagi. Większa część oddziału jego składała się z zagonowej szlachty, która wyciągnawszy z kryjówek zardzewiałe ojcowskie pałasze i pojedynki powiązane sznurkami, ruszyła do lasu. Oddział jego, ustępując przed przeważnemi siłami Moskwy, wpadł do puszczy rosieńskiej i zatrzymał się blisko dworku leśnika.

Ustronie to w zapadłym kącie, było przytulone do lasu, otaczającego je ze wszystkich stron dokoła. Dworek był ubogi lecz schludny, dach kryty słomą, biały komin nad nim, bocianie gniazdo, ganeczki na słupkach z ławkami, studnia z żórawiem, parę zabudowań gospodarskich

po bokach, — ot i wszystko. Ani w budowie, ani w ozdobach nie tu nie było obcego, a wszystko takie, jak przed wieki u nas bywało.

Zaledwo oddział stanął przed domkiem, leśnik wybiegł z domu na spotkanie, a za nim młoda jego żona i troje dzieci. Wszyscy byli niezmiernie radzi swoim: co tylko było w spiżarni, wyniesiono gościom. Dowódcę postanowił dać tu odpoczynek oddziałowi swemu. W ciągu całego wieczora leśnik gwarzył ze starymi znajomymi, których mnóstwo znalazł w oddziale, i z kapelanem, którego znał i bardzo szanował. Długo się modlił leśnik w nocy, długo leżał krzyżem, prosząc Boga o natchnienie. — a nad ranem przyszedł do żony i powiedział, że nie śmie opierać się głosowi serca i sumienia, że pójdzie razem z powstańcami, bo i on ma dług do spłacenia ojczyźnie. Czy żony nie zmieniły postanowienia jego. Uściskawszy najdroższe dla siebie istoty, zrobił rozporządzenie na wypadek śmierci i nad rankiem wyruszył w drogę z oddziałem.

O losach tego oddziału i o stożonych utareczkach mówić nie będziemy. Długo upędzali się za nim Moskale, aż zmęczony i osłabiony utratą wielu ludzi Gleba przeszedł Niemen i wkroczył w augustowskie. Leśnik uprosił dowódcę o pozwolenie odwiedzenia rodziny, o której losie od wyjścia z domu nie wiedział.

Nieszczęsny! lepiej nie dowiadywałby się nigdy! Moskale idąc w ślad za Glebą, doszli do mieszkania leśnika. Znalazłszy ślady obozowiska około domu, w którym gospodarza nie było,

zgodli, iż poszedł z powstańcami. Rozwściekieni żołdacy żonę i dzieci pomordowali bez litości, a dom spalili, rozgrabiwszy wszystko poprzednio. —

Leśnik z bijącym sercem zbliżał się do zagrody; już kilkaset kroków tylko oddzielało go od dworku, zaraz za skrzyżowaniem drożynki obaczył swe gniazdko, uściśnie kochaną żonę i swe małe robaczki. Wtem o zgrozo! na miejscu dworka obaczył zgliszcza. Pobiegł jak szalony, lecz na progu domu natknął się na gnijącego nagiego zupełnie trupa, nachylił się — to była jego żona, a dalej trzy ciała małych jego dzieci!...

Z pałającymi oczyma, z których krew zdawała się zamiast łez wytryskać, ze zmarszczonymi brwiami, z usty rozdartemi krzykiem i pokąsaniem z bólu, przyklękał to przy jednym, to przy drugim trupie, mówił do nich, wołał, potem wstawał i z podniesioną głową i z załamaniem rękoma chodził w około, płacząc i mówiąc do siebie. W strasznym łkańiu jego był naprzemian to dziki uśmiech, to żalność dziecięcia, to ryk zranionego tygrysa, który szuka wydartych mu dzieci.

Chodząc tak wkoło, bił się o niedopalone słupy dworku, padał i zrywał się i jak odrętwiały stawał, patrząc na trupy. Dwa długie łez strumienie lały się z oczu jego. „Wszystko com kochał, dla czego żył, umarło śmiercią straszną!... Boże, Boże, za coś mię tak okropnie ukarał!...“

— Zemszczę się! zemszczę! zemszczę! — wrzasnął nagle z wściekłością, a echo leśne po-

wtórzyło ten dziki okrzyk. Potem wykopał jamę, złożył w nią ciała żony i dzieci, zasypał ziemią, pomodlił się i padł na mogiłę, przybity boleścią.

Wkrótce jednak zerwał się, raz jeszcze spojrzął dokoła, rozśmiał się dziko i poszedł do lasu...
... I nucił idąc:

*Aj! kas gelbes jeshkoti,
Manu vienture, owate...*

— Ach, któż mi pomoże szukać mojej jedynej owieczki!.....

Polsko! *Mater Dolorosa!* Nim ty powstaniesz, nie jedno serce pęknie, nie jedne oczy za łzami świata nie obaczą! — W obec tych okropności, w obec ucisku i sromotnej niedoli, żaden naród w czasie walki nie okazał się tak łagodnym, tak ludzkim, jak nasz. Przypomnijmy walkę Hiszpanów z Francuzami i walkę Czarnogórców z Turkami. Nie ma okropności, którychby nie popełnili jedni i drudzy. Gdybyśmy umieli tak nienawidzić jak oni, gdybyśmy mogli pozbyć się wszelkich ludzkich uczuć jak oni, może mniej byłoby nieszczęść, mniej łez? bo dziki Moskwicin nie ośmieliłby się na niejedną zbrodnię, gdyby się bał krwawego odwetu.

Leśnik w dni kilka odszukał oddział Gleby, lecz o tem, co zaszło, nie nikomu nie powiedział. Głowa jego na piersi zwieszona i pośladowane czoło kazały się domyślać ciężkiego smu-

tku. Niekiedy stawał jak wryty i jakiś szept, modlitwa, czy przekleństwo, wrywały się mu z piersi. Koledzy szanowali boleść i tajemnicę nieszczęśliwego, — a już i do nich doleciała wieść o strasznej zbrodni, dokonanej na rodzinie towarzysza broni.

W każdej potyczce leśnik był na przodzie, on pierwszy wybiegał na linię strzałów, on ostatni z niej wracał, strzały jego były celne, bo niemi kierowała nienawiść. Pomimo nieustannego narażania się, omijały go kule nieprzyjacielskie.

Widząc jednak, że Gleba, z powodu zbyt przeważnych sił nieprzyjacielskich, które go ze wszystkich stron otaczały, unika bitwy i kryje się w lasach, — leśnik prosił o uwolnienie z oddziału, mówiąc, że pójdzie szukać oddziału innego, silniejszego, któryby mógł stawić czoło Moskwie. Gleba nie sprzeciwił się temu. Oddawszy tedy swą broń koledze, który jej nie miał, leśnik wyrąbał długi, sękaty kij w lesie i wyruszył w drogę. — Lecz nie w lasy poszedł; on się skierował wprost do Maryampola, gdzie stało w znacznej sile wojsko moskiewskie....

Pytany po drodze przez patrole nieprzyjacielskie z kąd idzie i dokąd, odpowiadał ze śmiechem po żmudzku, że idzie szukać „podpalaczy i zbójców“. Moskale nie rozumiejąc języka i widząc człowieka z rozczochranemi włosami na głowie, bez czapki, z oczyma dziko patrzącemi, z ustami wykrzywionemi do śmiechu a przytem śpiewającego jakieś pieśni — to smutnym, to

wesołym głosem, — przepuszczali go przez linie, mówiąc: „to obłąkany“.

Leśnik odszukał jakąś małą gospodę i tam noc przebył. Ze świtem, jak tylko trąbka moskiewska zagrała pobudkę, wstał, wziął swój kij sękaty i poszedł krążyć około domów, w których Moskale nocowali. Oddział wyruszył pod dowództwem kapitana do lasu maryampolskiego, gdzie mieli znajdować się powstańcy. Leśnik czając się, zwinnie jak kot, krył się za parkanami; oglądając się, jakby oczekiwał kogoś... Wtem obaczył żołnierza, który pozostawszy z tyłu za oddziałem — dla kradzieży, cichaczem wymykał się w stronę, dokąd podążył oddział. Leśnik przyeczaił się za rogiem domu, a gdy żołnierz przechodził mimo niego, tak uderzył go w głowę swym sękatym kijem, że tylko coś zachrobotało jak pękająca kość czaszki i żołnierz padł martwy nie wydawszy jęku. Leśnik odciągnął go za nogi do jamy, gdzie przechowywano niegdyś kartofle i zarzucił piaskiem — a wydobywszy nóż z kieszeni, zrobił znaczek na swym kijku. Potem zaśpiewał wesoło:

O wakar, wakarati,
Prapule manu owate,
Aj! kas gelbes jeshkoti.
Manu wienture, owate¹⁾.

i podążył do lasu za Moskalami.

¹⁾ Wczoraj wieczór, wczoraj przepadła moja owieczka. Ach, któż mi pomoże szukać mojej jedynej owieczki!

Rota moskiewska, wracając z rekonesansu, obaczyła w lesie człowieka, który spokojnie zbierał poziomki i śpiewał pieśń jakąś smutną w niezrozumiałym dla nich języku.

— Wziąć go — krzyknął kapitan, — może to szpieg!

— Nie, wasze błagorodje, — odrzekł feldfelbel, — ja go znam, to *sumaszedszyj*.

Waryaci w Moskwie są w wielkiem poszanowaniu. Moskale na nich patrzą z przestraczem i poważaniem, nazywając *ogłaszennyj*, to jest: nawiedzony od Boga, — dla tego też kapitan usłyszawszy odpowiedź, kazał waryata zostawić w pokoju.

Zaledwo Moskale zniknęli w zaroślach, leśnik wyprostował się, rozśmieiał się dziko i podążył w kierunku zkąd przyszli; potem nachylił się, przyłożył ucho do ziemi i długo słuchał uważnie; wreszcie wstał i schował się za gruby pień drzewa. Wkrótce wyszedł z lasu żołnierz moskiewski, — pijany ledwo przebierający nogami, dążył za oddziałem. Leśnik wybiegł ze swej kryjówki: kij świsnął w powietrzu i zgruchotał kaskiet razem z czaszką Moskala. Leśnik wziął broń zdobytą, zaniósł w krzaki i schował pod korzenie drzew, a trupa odciągnął w stronę i zepchnął do jamy wrytej przez potoczek. Potem wyjął nóż — i drugi znaczek naciął na swym kiju.

Wtem wśród drzew pokazał się jeszcze jeden żołnierz, idący z karczmy w lesie. Leśnik schy-

lił się, schował za krzaki i ostrożnie zaczął się skradać ku niemu. Moskał nie spodziewał się żadnego niebezpieczeństwa, szedł dróżką, wyspiewując jakąś pieśń o *matuszkie Ekatierynie*. Jak tylko porównał się z krzakiem, za którym go leśnik oczekiwał, wyprostował się tenże i rzucił na Moskala, — lecz zaczepiwszy się o gałąź o mało nie runął na ziemię. Moskał miał czas pochwycić za broń i nadstawić bagnet, lecz otumaniony wódką zbyt powolnie się ruszał. Leśnik podbił ręką bagnet w górę, chwycił żołnierza za gardło, powalił na ziemię i pchnął mu nóż w piersi. Walka trwała już nie długo; leśnik był silny i tak wroga ścisnął za szyję, że ten nie krzyknąwszy nawet, wkrótce oddał ducha.

Odciągnął trupa do rowu, schował broń jego pod krzaki, nożem okrwawionym zrobił znak trzeci na kiju, wytarł żelazo o trawę i poszedł do miasta śpiewając :

*Asz kardu perdałytas.
Nuludis mano wejdelis¹⁾.*

Odtąd, w ślad za każdym oddziałem moskiewskim, idącym na wyprawę, wysuwał się leśnik i razem z nim wracał do miasta. Po każdej wycieczce Moskale nie doliczali się jednego lub dwóch ludzi. „To pewno sprzątnęli ich powstań-

¹⁾ Jestem przecięty mieczem, smutne me oblizcze.

cy“ — mówili oni, lecz o powstańcach nie było słyhu. Nie przychodziło ani na myśl Moskałom, żeby to biedny obłąkany był tym szkodnikiem. Owszem, przywykli do niego i nieraz częstowali go wódką, lecz leśnik nigdy nie nie przyjął od Moskali.

Gdy Szpak, dowódca oddziału złożonego z samych chłopów żmudzkich, zjawił się koło Sapieżyszek, leśnik wyruszył do lasu i spotkawszy się z patrolem polskim, poprowadził go do składu swego, gdzie już miał schowanych piętnaście karabinów moskiewskich. Było to nie małoważną pomocą dla oddziału, posiadającego broń bardzo lichą.

W dwa miesiące później, powstanie w województwie augustowskiem zostało ostatecznie stłumione. Pięćdziesiąt tysięcy wojska wysłane przez Murawiowa w augustowskie, zmusiło powstańcze oddziały do przekroczenia pruskiej granicy. Moskale rozłożyli się na kwaterach po wsiach i miasteczkach.

Już nie potrzeba było wysyłać oddziałów dla tropienia powstańców. Leśnik nie miał co robić w kraju i za ostatnim oddziałem polskim przeszedł do Prus, niosąc z sobą kij karbowany, na którym było dwadzieścia ośm znaków.

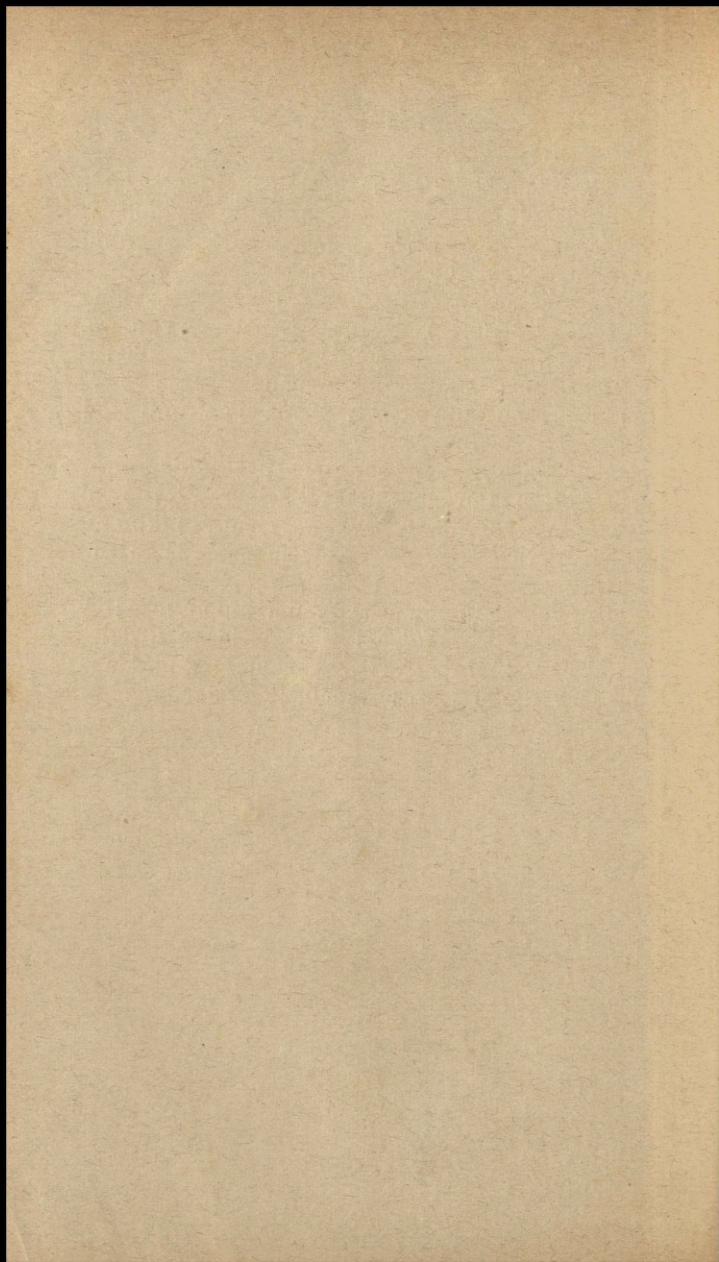
Charakter tego człowieka zmienił się zupełnie. Z wesołego i serdecznego stał się ponurym, małołownym i unikającym wszelkiego towarzystwa. Najął się do roboty w polu u jednego z właścicieli przygranicznych i pracował wytrwale, lecz ponurość jego i dziki wyraz twarzy odstraszały od niego ludzi. Co niedzielę chodził do

kościół i tam na klęczkach i ze łzami w oczach modlił się długo, całując nieustannie szkaplerz, w którym była zaszyta ziemia wzięta z grobu żony i dzieci, z mogiły dawnego szczęścia.

Trzy miesiące żył tak w Prusiech, tęskniąc strasznie za ziemią rodzinną. Koledzy wygnania starali się go rozerwać, rozweselić, lub skierować myśli jego ku czemu innemu, — lecz wszystko napróżno: on coraz bardziej stronił od nich.

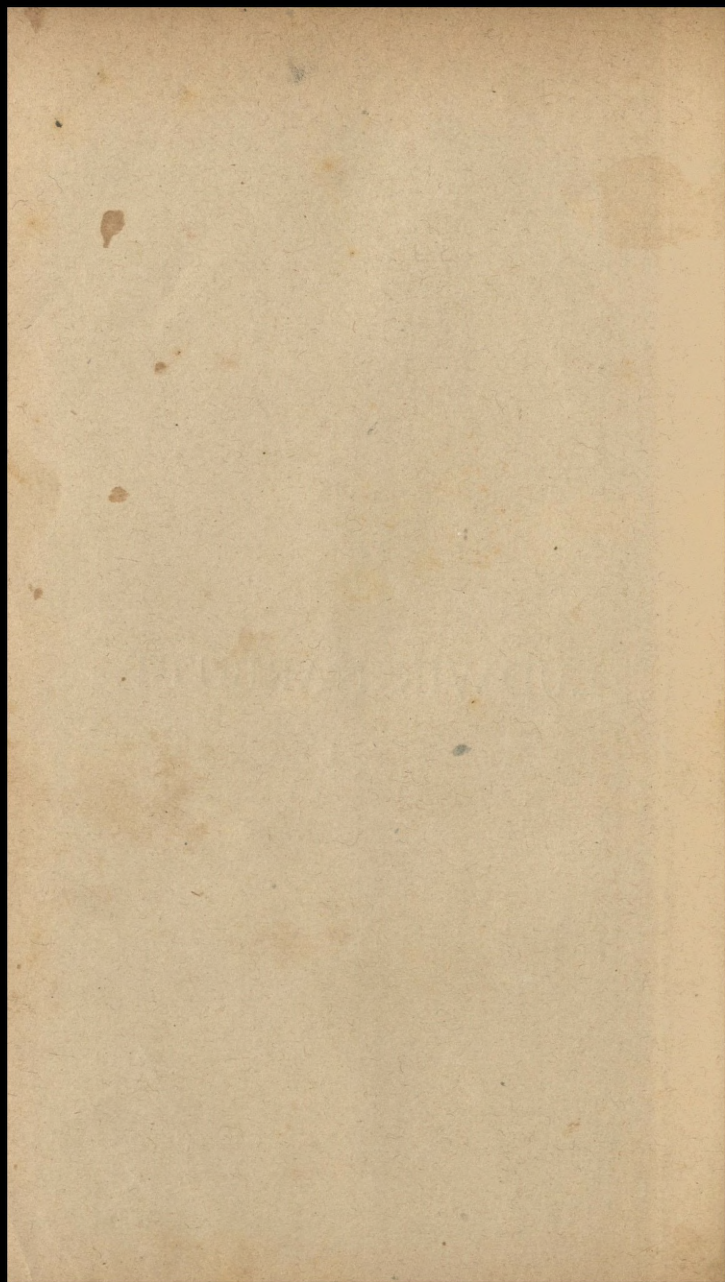
Dnia jednego, zapłaciwszy co był winien gospodarzowi u którego mieszkał, zabrawszy swój kij karbowany i nie pożegnawszy się z nikim — poszedł. Niepostrzeżony, przemknął się przez granicę i skierował na północ.

Odtąd już żadnej wieści o nim nie było. Być może, że zginął wkrótce i połączył się z drogiemi osobami, które utracił, — a może kij karbowany długo jeszcze spełniał eksterminacyjną czynność swoją...



IX.

LUDWIK NARBUTT.



BIBLIOTEKA
JÓZEFA MADERA

Jedną z najsympatyczniejszych postaci ostatniego powstania był Ludwik Narbutt, bohaterski dowódca w leśnej wojnie Litwy z moskiewskim najazdem.

Rodzina Narbuttów, skoligacona z mnóstwem wpływowych domów na Litwie, piastowała różne urzędy z wyborów i należała do rodów bardzo poważanych. Ojciec Ludwika, Teodor, był autorem bardzo cenionej „Historji Litwy“, matka zaś, Katarzyna z Sadowskich, była córką ubożego szlachcica, żołnierza kościuszkowskiego, który na starość osiedlił się w Butrymańcach. Wrosła w prostocie prawdziwej religijności i w miłości Ojczyzny i wniosła w dom męża to szczęście, które wnoszą Polki, pamiętające, że zadaniem kobiety jest: być osłoda życia obranemu towarzyszowi i cnotliwe dać wychowanie dzieciom, aby wyrosły na pożytecznych obywateli. Ile razy z dziedzicznej wsi męża, Szawr, jechała matka z dziećmi do Wilna, zawsze zatrzymywała się w Butrymańcach, aby z czcią i miłością odwiedzić chylącą się ku upadkowi ubogą chatkę swego ojca, gdzie ujrzała światło dzienne, i pomodlić się z dziećmi nad grobem rodzica, pogrzebanego przy kapliczce, stojącej w pobliżu tej skromnej chatki.

Wśród licznego rodzeństwa przemknęły dziecięce lata Ludwika cicho, spokojnie, słodko i szczęśliwie. Rozwijał się on pod kierunkiem rozumnego ojca i zacnej matki, której pieśczęoty i opowiadania o dziadku, o Kościuszcze i o niedawnej walce roku 1831 za niepodległość Ojczyzny kształciły wyobraźnię i umysł dziecinny. Załedwo zaczął dochodzić lat chłopięcych, dwukrotne uwięzienie ojca, rozpacz i łzy matki wywarły silne wrażenie na tkliwą duszę dziecięcia, niezmiernie przywiązanego do matki, budząc w jego sercu uczucia nieznane mu dotychczas.

Po ukończeniu początkowych nauk w Lidzie, rodzice oddali go do gimnazjum w Wilnie. Były to czasy nowych wstrząśnień nieszczęśliwej naszej Ojczyzny, w zapasach z potworem, wysysającym jej krew.

W 1846 roku wszystkie więzienia napełniły się wskutek aresztowania emisariusza Röhra.

Rewizye w domach, chwywanie ludzi w nocy, tortury wszelkiego rodzaju były na porządku dziennym. Terroryzm przez lat kilka panował nieustanny.

W lutym 1848 roku publicznie przepędzono przez pałki Röhra przed wysłaniem go do katorżnych robót, a dr. Reniera, Apolina Hofmejstra i Józefa Bogusławskiego obwożono po mieście, przywiązanych do pręgierza; wielu innych zaś zesłano w żołdacy. Na młodzieży, będącej świadkiem tego wszystkiego, wywarło to głębokie wrażenie, dorzucając nowego zarzewia do ognia tlejącego w każdej młodzieńczej

a szlachetnej duszy. Wrażenie to było wręcz przeciwnie temu, co zamierzał dopiąć rząd najezdniczy.

Podejrzanie, że Ludwik należał do tajnego towarzystwa, było przyczyną zaarrestowania go. Wieść o tem doszła do Szawr właśnie w chwili, gdy rodzice utracili jedno z młodszych dzieci. Trumna stała na środku pokoju, a przy niej kłęzczała zboląła matka, gdy jej przyniesiono list z uwiadomieniem o uwięzieniu starszego syna. Kto żył pod moskiewskim rządem, ten wie, że tam więzienie zawsze jest tylko wstępem do inkwizycji, tortur i niechybnego skazania, zarówno czy kto jest winnym lub nie. To też nieszczęśliwa matka w boleści padła bez zmysłów obok zmarłego dziecka.

Rzucony do zgniłego i smrodliwego więzienia, młodzieniec znalazł w ciemnościach lochu jakieś kości, a przekonany, że są to relikwie jakiegoś męczennika sprawy narodowej, ukląkł przed nimi, z rozrzewnieniem całował je i modlił się do nich. Satrapa, wileński generał-gubernator Bibikow, wezwał go do siebie i słowem honoru uczciwego człowieka zaręczył, że nie się nie stanie ani jemu, ani jego kolegom, jeżeli się przyzna, że kartka znaleziona u niego przy rewizyi — a pisana w sprawie zupełnie niewinnej i podpisana: „Orzeł-Krzyż“ — jest jego ręką skreślona. Uwierzył biedny przysiędże generała i chcąc uratować wszystkich, przyjął winę na siebie. Za tę łatwowierność został skazany w dziewiętnastym roku życia na trzysta różg i na dwanaście lat w żołdacy.

Na domiar okrucieństwa kazano sprowadzić rodziców do Wilna, aby byli obecni przy egzekucyi. Zebrano także starszych kolegów jego z gimnazjum, a po odczytaniu wyroku ukarano go publicznie naznaczoną chłostą. Można sobie wyobrazić co wycierpieli koledzy i biedni rodzice w czasie tej nieludzkiej kary! Po jej wymierzeniu padł Ludwik do nóg rodzicom, prosząc o błogosławieństwo na dalszą drogę życia, gdyż po domierzonej chłości kazano im natychmiast wyjechać z Wilna; nie pozwolono pozostać z ukochanym synem do jego wywiezienia, które może na zawsze miało go z nimi rozłączyć.

Na drugi dzień, zbitego, okrwawionego, na wpół omdlałego z bólu i cierpień moralnych wsadzono do trzęskiej kibitki i kazano żandarmowi odwieźć do Kaługi, gdzie stał na kwaterze pułk piechoty, do którego był przeznaczony.

Zaraz na pierwszym wstępie czekało go tam grubiańskie i barbarzyńskie spotkanie dowódcy kompanii, który uważał za obowiązek swój, dokuczać na każdym kroku biednemu chłopcu, dotkniętemu niełaską carską. Znosił cierpliwie młodzieniec różne wyrzuty i niesprawiedliwości brutalnego żołdaka. — lecz gdy razu jednego kapitan zaczął kpić z jego narodowości i żartować z uczuć, które on uważał za nietykalne, zawrzała krew młoda i Narbutt wobec całej kompanii zamknął gębę prostakowi głośnym policzkiem. — Aresztowany zginałby natychmiast z pewnością, ale na jego szczęście, wskutek licznych podobnych wypadków po roku 1831, car Mikołaj oso-

bnym ukazem zabronił najsurowiej oficerom robienia podobnych wyrzutów zesłanym do wojska Polakom. Skończyło się więc na prostym areszeie i przeniesieniu do innej kompanii. Wkrótce potem pułk jego został przeniesiony na Kaukaz.

Przeniesienie na miejsce, gdzie wre walka, jest niezmiernie pożądaną rzeczą dla wszystkich skazanych w żołdacy, bo tam stosunek przełożonych do podwładnych zmienia się zupełnie i staje się więcej ludzkim: męstwo, dzielność osobista, przytomność umysłu i zręczność nabierają wielkiego znaczenia. Najbrutalniejsi dowódcy mięknią i zmieniają się zupełnie, wiedząc, że nielubiony przełożony od własnych żołnierzy w pierwszej bitwie może dostać w łeb kulą. Ludwik Narbutt doznał tej zmiany na sobie. Od pierwszej chwili zachowanie się jego wobec nieprzyjaciela zjednało mu mimowolny szacunek kolegów i przełożonych. Wiedząc, że od niego samego zależy dalsza jego przyszłość, wpisywał się nieustannie jako ochotnik przeciwko tak zwanym *Kaczachom* czyli rozbójnikom górskim, których Szamil prawie dzień w dzień z gór wysyłał dla niepokojenia wojska moskiewskiego. Oddziały ich, składające się z ludzi, co się dopuścili jakiegoś przewinienia, obowiązane były krwią niewiernych zmasać swe grzechy, nim otrzymały pozwolenie stanąć przed obliczem fanatycznego naczelnika Miurydów. Dlatego też Kaczachy bili się z wściekłością i napełniali trwogą okolice, w których się pokazali. Była to doskonała szkoła partyzantki, z której Ludwik Narbutt nie omieszkał korzystać. —

Przeszło w dziewięćdziesięciu potyczkach brał on udział.

Między wodzami Szamila najzręczniejszym, najprzebieglejszym, najnieustraszeńszym i niewyczerpanym w pomysłach był Chadżi Murad, przedmiot postrachu i podziwienia Moskali. Nieślychana obrotność tego człowieka, i nienawiść, którą pałał do wrogów, żywo podziałała na obrażnię Ludwika. Był to dla niego prawdziwy ideał wodza, broniącego ojczyzny swojej.

Pobyt wśród cudownej górskiej natury, uczucie dziwnej rozkoszy, napełniające duszę, widok skał niebotycznych, gęstych lasów, pokrywających skłony gór, życie wśród ciągłych niebezpieczeństw, podnosiły duszę młodego żołnierza, kształciły umysł jego potęgowały miłość do oddalonej rodziny i do kraju ojczystego. Prawie w każdym liście do ukochanej siostry prosił ją o przysłanie na pamiątkę to motyla z nad łąki, to polnego kwiatka, to bławatka zerwanego z litewskiego łąnu, to kamyczka ze strumyka, w którym się dzieckiem kąpał...

Nastąpiła krymska kampania. W bitwie pod Karsem był rannym; po wyleczeniu odznaczył się w nowej bitwie i otrzymał trzy ruble nagrody a wkrótce potem awansował na podoficera. Nareszcie po przesłużeniu dziesięciu lat został w r. 1859 oficerem. Otrzymawszy urlop na trzy miesiące, udał się do kraju. Rodzina cała wiedziała już o przyjeździe Ludwika, ale musiała przygotować do tej radości sędziwego ojca, obawiając się, aby silne wzruszenie nie zabiło starca. Ojciec długo uwierzyć nie chciał, nakoniec powiedział:

— Myśmy już tyle łez wyplakali; że nie ma ich na chwile radości i szczęścia.

Rozczulającą była chwila powitania, gdy dziesięć lat nieobecny, rzucił się do nóg rodzicom, prosząc o błogosławieństwo, jak po owej chłości w Wilnie. Słów nie ma na wyrażenie tych uczuć, które przepęłniały serca rodziców i syna.

Na szczęście, ze względu na ranę jego dano mu dymisyę, o którą prosił. Pozostawał jednak i nadal pod dozorem policyi. Osiadłszy w majątku przy ojeu, oddał się w zupełności zatrudnieniom wiejskim, które polubił całą duszą. — W sąsiedztwie rodziców mieszkała młoda wdowa, p. Sedlikowska, przyjaciółka rodziny Narbuttów. Po poznaniu się z nią wkrótce zapłonęła obopólna miłość, a w roku 1861 nastąpiło połączenie się ich węzłem małżeństwa. Ludwik osiadł w Sierbieniskach, majątku ubóstwionej żony. Szczęście domowe, gospodarskie zatrudnienia, książki, pisanie artykułów do dzienników i pism peryodycznych, a w swobodnych chwilach polowanie, któremu później zawdzięczał taką dokładną znajomość okolicy wypełniały jego życie. Zawsze była Ojczyzna i jej ciężka niedola — panującą myślą w jego duszy.

W chwili, gdy życie dało mu prawie wszystko, co nazywamy szczęściem na ziemi, wybuchło powstanie styczniowe. Brat jego młodszy, pewnego dnia przybywszy nad rankiem z Wilna, przywiózł odezwę centralnego komitetu a obudziwszy śpiącego Ludwika odczytał mu ją. Z bijącym sercem wysłuchał Ludwik wezwania, zerwał się z łóżka,

zdział wiszącą nad niem szablę czerkieską i ucałował. W tym niemym pocałunku, złożonym na towarzysze dawnej niedoli, wyraziło się postanowienie nieodwołalne jego gorącej duszy.

Tu muszę ustąpić pióra jednemu z kolegów w powstaniu litewskim, który służąc pod Narbuttem od początku do końca, dokładnie wiedział o wszystkich jego czynach.

„Wypadki warszawskie wstrząsnęły całym krajem. Powołany, przyjął Narbutt wezwanie i objął dowództwo w ludzkim powiecie. Brat jego młodszy i sześciu domowników stanowiło najpierwszą garstkę, z którą 20 lutego wystąpił na bój śmiertelny; jeden z sąsiadów jeszcze mu przywiódł ośmiu ludzi i tych piętnastu stanowiło pierwszy zastęp zbrojny w tej części Litwy. Od chwili objęcia dowództwa, Narbutt stał się jakby innym człowiekiem: rozjaśniało oblicze, a ruchy i mowa zdradzały radość wewnętrzną, że się długo oczekiwanej, marzonej i gorąco upragnionej chwili doczekał.

„Opuściwszy dach swój rodzinny, Narbutt w Ejszyskiej i Nackiej parafii zebrał jeszcze 80 powstańców. Między nimi był Horbaczewski, wikary ejszyskiej parafii, odtąd kapelan powstańczego oddziału i nieodstępny towarzysz Narbutta. Z krzyżem w ręku dzielił on znoje walczących, rannym i umierającym sakramentów udzielał, odprawiał w obozie nabożeństwo i był prawdziwym przyjacielem głęboko religijnego wodza.

„Wysławszy umyślnego do Wilna z wiadomością o wystąpieniu i prośbą o pomoc, pociągnął

ku puszczy Rudnickiej nad Mereczanką, ucząc swój oddział mustry i wojennych obrotów. Tu też zaczęła się wojna ciężka, bo w zimnej porze roku, wśród lasów i bagien, przy niedostatku broni i prochu, z ludźmi, nie mającymi pojęcia o wojennem rzemiośle, przeciw liczniejszemu i wyćwiczonemu wojsku, — wojna, polegająca na robieniu zasadzek, nużeniu nieprzyjaciela, wymagająca ciągłej czujności i przytomności umysłu, a niczem nie pożytej wytrwałości i energii. Wszystkie te przymioty w wysokim stopniu posiadał Narbutt i umiał nimi natchnąć swój oddział.

„Pierwszy chrzest ogniowy otrzymał przy wsi Rudnikach, w puszczy tegoż imienia. Szerokie pole otacza tę wieś, rozłożoną nad Mereczanką. Na brzegu rzeki leżało kilkanaście kop bełek, gdzie Moskale ukryli dwie kompanie piechoty, a trzecią kompanię z seciną kozaków posłali na spotkanie Narbutta, którego mieli rozkaz naprowadzić na zasadzkę, aby tam znieść go do szczętu. Uwiadomiony jednak wcześniej Narbutt rozsypał łańcuch tyralierów. Od pierwszych strzałów padło kilkunastu kozaków; nadciągająca piechota nie była szczęśliwsza i zaczęła ustępować, kierując się ku zasadzce. W tej chwili Kraiński, wysłany w stronę z małym oddziałkiem dla dostania języka, na odgłos wystrzałów popędził na miejsce boju, wyszedł niespodziewanie na tyły ukrytych za belkami Moskali i bez namysłu zaatakował ich. Moskale sądząc, że sami są otoczeni, pierzchnęli.

„Po tej utarczce Narbutt pociągnął do Nackiej puszczy i zyskał przez to trochę czasu na ćwiczenie swego żołnierza. Moskale, wzmocnieni pięciu kompaniami wojska, przysłanemi z Wilna, nie wiedząc gdzie się podział, szukali go długo w okolicach Rudnik. On zręcznie unikał spotkania, urządzał zasadzki, nużył nieprzyjaciela, a znając doskonale miejscowość, zmylić go zawsze umiał. Dowiedziawszy się, że partya rekrutów, prowadzona z Królestwa Polskiego, ma przechodzić przez Szczucin, Narbutt wyszedł z puszczy, urządził zasadzkę, oczekując zapowiedzianego oddziału. Wiadomość okazała się mylną. Wrócił więc natychmiast nazad i w pierwszych dniach kwietnia rozłożył swój obóz w parafii Nowodworskiej, niedaleko Podubicz. Tu chciał odpocząć, ale Moskale nadeśli i zaatakowali go w Wielką Sobotę. Odrzuciwszy ich na błotnistą łąkę, rozdzielającą las podubicki, zagrążnietym znaczną zadał klęskę. Musieli więc cofnąć się, a on ku Żubrowu głębiej w lasy pociągnął.

„Imię dzielnego partyzanta stawało się coraz głośniejszem na Litwie. Powtarzano je z uwielbieniem we wszystkich domach polskich, dzieląc się jajkiem święconem, a żołnierze moskiewscy, przejęci trwogą, coś nadprzyrodzonego upatrywali w tym wodzu, którego nigdzie doścignąć nie mogli, a który niespodzianie wychodząc z puszczy, klęski im zadawał. Nazywali go czarownikiem, utrzymując, że kula ranić go nie może, i że sam mnóstwo zabija. Wieść o podubickiej potyczce doszła do Wilna w dzień Wielkiej Nocy i prze-

jęła miasto radością. Generał-gubernator Nazimow cenę na głowę Narbutta nałożył.

„Ochotnicy coraz to gęściej zaczęli się garnąć pod jego rozkazy. Syn rzeźbiarza, sam artysta-malarz, młody Andriolli, z samego Wilna przyprowadził mu kilkadziesiąt ludzi.— Kraj, tylokrotnie rozbrajany, miał mało broni, a brak ten był fatalnym. Tylko kilkanaście dobrych karabinów, odebranych Moskałom, liczone w oddziale, reszta zaś była to broń myśliwska, niedalekonosna, ustępująca broni nieprzyjaciół. Prawie codziennie toczyły się utarczki to szczupłych, to liczniejszych oddziałów. Moskale ścigali coraz to nowe siły i starali się Narbutta otoczyć do koła; on zaś korzystając z miejscowości, głębiej w las się zapuszczał, w miejsca niedostępne dla artylerji.

„W jednym z takich miejsc, około Łaksztucian, zatrzymał się. Położenie do przyjęcia walki nie było korzystne, bo z tyłu miał ogromne błota, gdzie w razie przegranej mógł być zniszczonym zupełnie, a o wiorstę na prawo było jezioro i koło niego otwarta równina; z drugiej strony obozu las bardzo gęsty. Znużenie oddziału drobnymi utarczkami i nocnym marszem nakazywało odpocząć, ale Moskale byli na karku, wódz więc największą ostrożność i szyk bojowy w odpoczynku nawet zachować kazał. Trzy plutony strzelców rozstawił w półkole, sam stanął w środku, a kolumnę kosynierów postawił w rezerwie; obóz zaś ze służbą rozłożył w miejscu niedostępnem dla Moskwy. Rozbierać się, ani zmie-

niać miejsce nie wolno było nikomu, każdy stał gdzie go postawiono z bronią u boku.

„Kilka godzin przeszło spokojnie i już wywczasowany i pokrzepiony oddział miał zwinąć obóz, żeby iść dalej, kiedy wpadł włościanin z wiadomością, że służący za przewodnika leśnik, pochwycony przez Moskali, nie mogąc wytrzymać katowania, podjął się wrogom obóz pokazać. Lada chwila potrzeba było oczekiwać ataku. Narbutt wysłał na zwiady Pileckiego z kilkunastu ludźmi, a sam obchodził oddział, ostatnie wydając rozkazy, zagrzewając do walki, podnosząc wszędzie ducha. Kupkami po trzech przyklekli wszyscy za drzewami i z bronią przygotowaną czekali nieprzyjaciela. Kazano nie strzelać z daleka, lecz dopuścić go na najbliższą metę.

„Oczekiwanie nie było długie. Po gęstych strzałach zewsząd dało się słyszeć głośnie: *Hura! zdawajcie się buntownicy!* Pilecki ze swymi wrócił w środek oddziału. Moskale, idąc do ataku, musieli schodzić z małej pochyłości, co ich odkrywało przed powstańcami; biegli kupkami po czterech. Przypuszczeni na kilkadziesiąt kroków i przywitani gęstym ogniem, zmięszali się i cofnąć musieli. Zaledwie powstańcy broń swą nabili, nowy atak, nowe *hura!* ale już bez wezwania do poddania się. Narbutt, z rewolwerem w ręku, obchodzi swoich, zimną krew i niespieszenie się ze strzałami nakazuje. Przypuszczeni znowu na kilkanaście kroków, Moskale powtórnie cofnąć się musieli. Wtenczas wódz litewski ruch ną-

przód nakazał i już formujących się do trzeciego ataku Moskali sam spotkał i szyki ich rozbił.

„Ale lewe skrzydło powstańców nie zdołało wytrzymać naporu i już się zaczynało cofać. Uwiadomiony o tem Narbutt, wstrzymuje swoich, zmienia front i wsparłszy swoje lewe skrzydło, omyła nieprzyjaciół i o kilka wiorst odchodzi, gdzie strudzonemu walką oddziałowi daje odpocząć i rannych opatrzyć. Straty powstańców wynosiły zaledwo kilkunastu ludzi, kiedy Moskale przynajmniej dziesięć razy większe ponieśli.— Była to najświetniejsza potyczka Narbutta, w której dowiódł zimnej krwi, odwagi i przytomności umysłu osiwiatego w bojach wodza.

„Po łąsztuciańskiej potyczce było znowu kilka mniejszych utarczek. W kilka dni później, nie mogąc obciążać rannymi obozu przy ciągłych zmianach miejsca, zostawił ich we wsi Molino, a sam postanowił dostać się do puszczy grodzieńskiej. Po kilku tygodniach ranni ci, odkryci przez Moskwę, powiązani, odesłani do Wilna, prawie wszyscy dostali się na Sybir.

„Puszczę grodzieńską oddziela od miejsca, gdzie się znajdował Narbutt, kilkumilowa piasczysta i bezleśna przestrzeń. Przebyć ją było nie łatwym zadaniem. Ścigani przez Moskali powstańcy ciągle z nimi w otwartym polu ucierać się musieli. Upał w tym roku, w ostatnich dniach kwietnia, nadspodziewanie silnie dokuczał, piasek głęboki marsz utrudniał, wszakże powstańcy, lekko ubrani, mieli w marszu nad obładowanym żołnierzem, przewagę. Gdzieniedzie napotykanę kępki

brzeziny dawały dla odpoczynku chwilowe schronienie, kawalerya zaś atakować ich nie miała odwagi.

„Tak dotarli do rzeczki głębokiej i błotnistej, którą przeszli po kładkach — a gdy te zrzucili, poczuli się bezpiecznymi. Wojsko rzeki prędko przejść nie mogło, powstańcy więc mieli kilkanaście godzin przed sobą, które wystarczały dla dojścia do grodzieńskiej puszczy. Przeszedłszy trochę dalej, znowu natrafili na głębokie piaski. Dla zatarcia śladów Narbutt kazał oddziałowi maszerować tyłem po pół kilometra a czasem i więcej, i udało mu się wybornie, bo Moskale zmieni zupełnie, zaledwo po dniach kilku powzięli o powstańcach wiadomość, a on mógł dać przez ten czas wypocząć oddziałowi i nowe jeszcze zgromadził i uorganizował siły.

„Doszła go wiadomość, że w okolicach, które świeżo opuścił, utworzone nowe oddziały czekają jego powrotu, chcąc się z nim połączyć. Dowódca postanowił podać im rękę i znowu zawraca do puszczy Nackiej. Przybywszy szczęśliwie pod miasteczko D u b i c z e, zajmuje pozycję nad Kotrą, ale uwiadomiony o nadsięgnięciu wielkich sił moskiewskich, zręcznym obrotem zmienia stanowisko, myli nieprzyjaciela rozpalonemi ogniskami, które za obóz powstańczy biorą, a sam przebywszy na jazach błotnistą rzeczkę i oddzielony od Moskwy tą naturalną przegrodą, na drugim brzegu rozkłada prawdziwy obóz.

„Mniemał się tam bezpieczny, lecz dowódzca Moskali, pułkownik gwardyi T i m o f i e j e w, miał

szpiega, który mu o obrotach Narbutta doniósł. Przebrany za rybaka, na łódce podpłynął pod sam obóz i pozycję jego dokładnie poznał. Urządził zasadzkę i 13 maja z przeciwnej strony zaalarmował powstańców. Uszykowanych prowadził Narbutt do niedalekiego brzeźniaku, kiedy przechodzących przez głębokie błoto spotkały pierwsze kule nieprzyjacielskie; wróg zaczął raził okropnie, a wkrótce oddział został otoczony ze wszystkich stron do koła. Bój był zacięty. Narbutt na czele zagrzewał swoich, wydawał rozkazy, zawsze przytomny, zdawał się mnożyć wśród niebezpieczeństwa. Raniony w nogę, podtrzymywany, a później niesiony przez sześciu swoich nie przestawał kierować walką. Tę to chwilę wybrał Andriolli, aby przedstawić ostatnie chwile litewskiego bohatera w znanym swym obrazie.

„Zgromadzona około wodza garstka zwróciła uwagę Moskali, którzy wszystkie strzały swoje na ten punkt skierowali. Już dwóch z pomiędzy sześciu upadło, nareszcie sam Narbutt, ugodzony kulą w piersi, skonał, ściskając rękę towarzyszy i mówiąc do nich: *miło jest umierać za Ojczyznę!* Obok niego poległo jedenastu najwaleczniejszych, reszta zaś rozproszyła się po lasach, aby znowu na innem miejscu zebrać się do dalszej walki.

„Wieść o zgonie ukochanego wodza, otoczonego aureolą kilku szczęśliwych potyczek, rozbiegła się szybko po okolicy. Nazajutrz na plac boju zeszło się wielu włościan i ciała poległych ze łzami przeniesiono do skromnego w Dubiczach

kościółka. Przybyła tam i siostra Ludwika, pani Teodorowa Mączyńska, która przez cały czas tej kampanii ułatwiała mu komunikacye, nieraz dostarczała żywności; z nią razem przyjaciółka jej, panna Antonina Tabeńska, która potem w więzieniu umiała cierpieć za swój patryotyzm i pomimo młodości swej i płci, dostąpić zaszczytu, służącego dotychczas tylko mężczyznom — skazaną została na kilkanaście lat ciężkich robót w kopalniach syberyjskich. Zapytana przez Moskali, czy i ona ma brata pomiędzy poległymi, odpowiedziała śmiało: *wszyscy walczący za Polskę, są moimi braćmi!* Widok czarno ubranych, a boleścią uświęconych kobiet, cześć ludności dla zgasłego wodza, samo nareszcie męstwo poległych, wszystko to razem skłoniło rosyjskiego pułkownika, że na odprawienie żałobnego nabożeństwa zezwolił. Może rad był przekonać nacznie ludność miejscową, że wódz, na którym pokładano tyle nadziei, istotnie zginął. Dwanaście trumien ustawiono w maleńkim kościółku, najwyżej stojąca była pokryta kirem żałobnym i zawierała zwłoki Narbutta. Między innymi były ciała dwóch braci Brzozowskich i Leona Kraińskiego, któremu nieraz dowództwo oddzielnych oddziałów poruczane było. Nabożeństwo odbyło się wśród łkania modlącego się ludu, który później jedną wspólną dla wszystkich usypał mogiłę. Na piaszczyste miejsce przywieziono z daleka darniny, miłość ludu darniną wyłożyła ten kopiec, otaczając go czcią prawdziwą, i tak trwał on do czasu, kiedy Murawiew rozrzucić go ka-

zał, mówiąc, iż ciała podobnych ludzi powinny być psom na pożarcie oddane!....“

Po śmierci Narbutta rozproszony oddział skupił się znowu i kilku kolejno miał dowódców, ale żaden z nich zmarłemu dorównać nie mógł. Imię jego było tak popularnem, zdolnościom jego tak wierzano, że pomimo publicznie odbytego pogrzebu długo wiary dać nie chciano, że go już nie ma. W kilka miesięcy jeszcze potem spotykano włościan, upewniających, że go widzieli. Ludwik Narbutt stał się ludową legendą i pamięć jego będzie długo świętą na Litwie.

S. p. Ludwik liczył lat 33 wieku, wzrostu za ledwie średniego, rysy miał regularne i ujmujące, czoło wyniosłe nosiło ślady trosk twardego bardzo życia. Spokojny zazwyczaj, w chwilach stanowczych umiał wydobyć z siebie wielką energię i głos jego wtenczas przybierał ton uroczysty, który jak prąd elektryczny przebiegał i wstrząsał obecnych. Słuchany jak wódz stary, kochanym był przez podwładnych jak brat i kolega; wśród ludu wiejskiego na szczególną dla siebie miłość zasłużyć umiał, a pierwszy na Litwie podniósłszy sztandar powstania, zginął w walce, z wiarą w oswobodzenie Ojczyzny, pośród pełnego poczucia osobistej swobody, a nie po długim — jak wielu późniejszych obrońców — więzieniu, na szubienicy. — —

* * *

Wspomnienie o siostrze Ludwika Narbutta i o jej towarzyszcę, nasuwa nam myśli o roli, jaką

odgrywały polskie kobiety w ostatniem naszym powstaniu. Komitety damskie, zawiązane na całej przestrzeni Polski, miały na celu zakupywanie, robienie i zbieranie bielizny dla żołnierzy narodowych, dla więźniów, dla rannych, opatrzenie szpitalów we wszystkie potrzeby, opiekę nad wdowami i sierotami, dostarczanie pokarmu więźniom itd. Żadna z narodowych instytucyj nie oddała tylu usług powstaniu, ile to stowarzyszenie kobiet. Praca i praca ciężka, abnegacya posunięta do męczeństwa, poświęcenie bez granic, miłość sprawy i gotowość dla niej na wszystko—takie były cechy robót damskich komitetów, które podawszy ręce tym, co pracowali na prowincyi, patryotyczną siecią pokryły kraj cały.

To nie wszystko. Wtedy, gdy mężczyźni przygotowywali broń, ostrzyli kosy i szable i lali kule, delikatne rączki dziewic naszych robiły ładunki, przygotowywały szarpie i bandaże. W niedziele i święta, gdy kościół nakazuje spoczynek, zbierały się one w różnych miejscach i z gorączkową skwapliwością cięły papier, nasypywały proch do ładunków i wklejały kule. Nie jedna już z nich straciła ojca, brata lub narzeczonego, nie jedna też smutnie wzdychała, lub kryła łzę, która mimowolnie pruszyła jej powiekę. Biedną dziewczę! wstydziło się pokazać, że obok miłości dla Ojczyzny, obok przywiązania do kraju, są jeszcze inne uczucia, drogie jej sercu. Głęboko religijne, one nie wierzyły, żeby Bóg opuścił sprawę naszą, żeby Najświętsza Dziewica, Królowa Polska,

zapomniała o narodzie swoim i każdą kulę żegnała, żeby broniła naszych a niosła śmierć wrogom.

Takiego poświęcenia, takich wzniosłych przykładów nie przedstawia historia żadnego narodu. Gdy powstaniu zabrakło pieniędzy, gdy środków niedostawało na kupno broni, którą nam tak często zabierano, Polki zrzucały z siebie kosztowności, drogie pamiątki, klejnoty rodzinne, nawet pierścionki ślubne i składały na ołtarzu walczącej Ojczyzny... Kto uwierzy na przykład temu, że jedna młoda, piękna kobieta, kosztem swym i staraniem dostarczyła tego wszystkiego, co potrzeba było na umontowanie oddziału złożonego z kilkuset ludzi? Kto uwierzy temu, że inna, zupełnie uboga, z zebranych składek, kupiła płótno i własnoręcznie uszyła więcej jak sześćset sztuk bielizny?

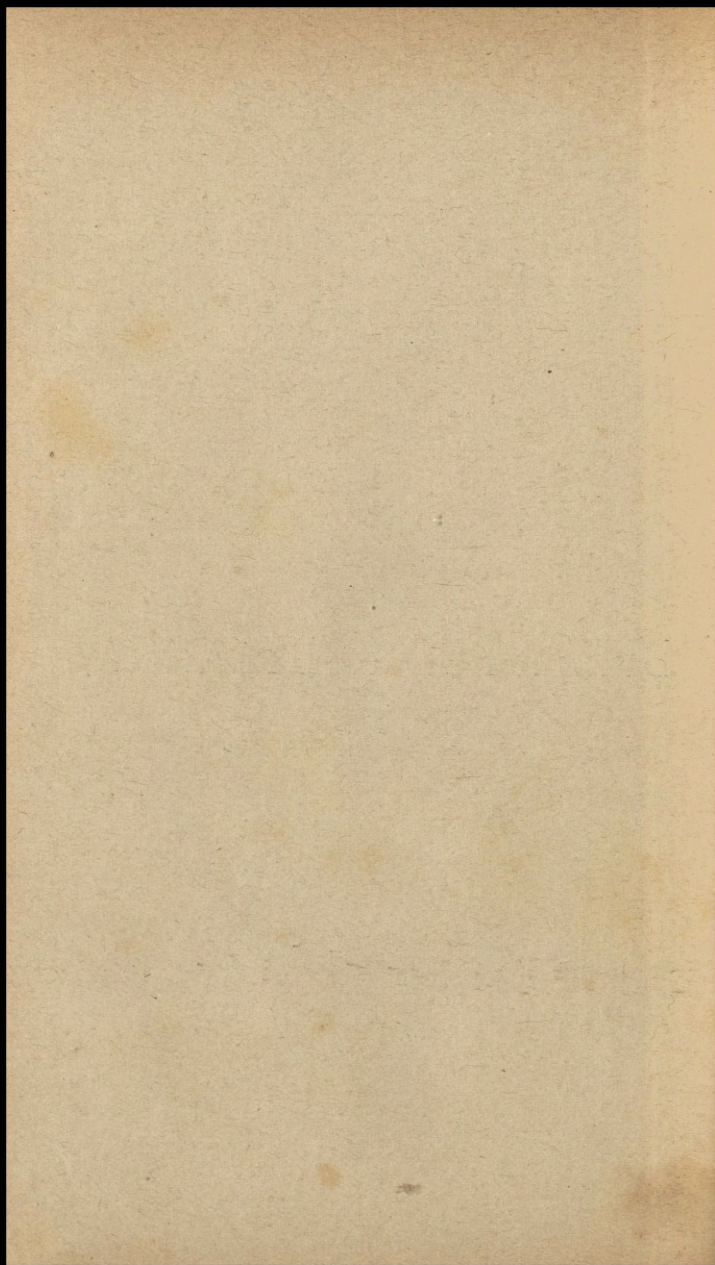
Kobiety podejmowały się najtrudniejszych poruczeń, najniebezpieczniejszych zleceń. Ileż to razy, gdy wszelkie środki komunikacyi z rządem narodowym były zerwane, kobiety przewoziły depesze do Warszawy i ztamtąd wracały z odpowiadaniem, przeszedłszy przez wszystkie rewizye i doznawszy takich nieprzyjemności, na których zniesienie nie odważyłaby się żadna kobieta innego narodu. Ileż to razy kobiety wyplakały życie nieszczęśliwym więźniom, którzy mieli być wydani na śmierć lub na wygnanie w lodowe stepy Azji? Ileż ucierpiały one stojąc po kilka godzin, po kilka dni w przedpokojach urzędników, znosząc naigrawania się, żarty, śmiech i grubiaństwo tych bestyokratów, którzy nieraz

wychodzili do proszących za ledwo nawpół ubrani. Wszystko, co jest drogim kobiecie, byt jej dzieci, byt drogich jej osób, dobrą sławę i imię oddawały one dla sprawy narodowej. Obrzydliwe, śmierdzące, brudne więzienia były ciągle odwiedzane przez wyznaczone od komitetu pań osoby. które dzień w dzień, rano i wieczorem musiały czekać na pozwolenie oddania więźniom odzieży lub pokarmu. Inne, od domu do domu, często od żyda do żyda, chodziły, żeby zbierać potrzebne dla więźniów rzeczy. Inne znowu przewoziły broń i ładunki, służyły jako kuryerki. Zdarzało się nawet, że w oddziałach powstańczych pojawiały się przebrane kobiety, które ani w trudach ani w odwadze nie ustępowały mężczyznom.

Cześć wam i sława matki i siostry Polki, które nas uczycie miłości Ojczyzny, nauczacie cierpieć i umierać za kraj!...

X.

BITWA POD KOBYLANKĄ.



Antoni Jeziorański, niedawno przez Langiewicza generałem mianowany a następnie przez Rząd Narodowy przeznaczony na naczelnika sił zbrojnych województwa lubelskiego, dał rozkaz kapitanowi Wiktorowi Wiśniewskiemu, aby zebrał ochotników, po wsiach rozlokowanych, udał się z nimi w lasy żołyńskie i tam uformował obóz. Tamże przesłana była broń i inne rekwizyta; generał Waligórski przywiózł z sobą skrzynię ładunków różnego kalibru, które zaczęto natychmiast przerabiać do *sztucerów*.

Dnia 20 kwietnia zaczęli zbierać się ochotnicy. Kapitan Kucza, oficer wojsk tureckich, był mianowany tymczasowym komendantem obozu, a Wiśniewski pomocnikiem i w razie potrzeby zastępcą.

D. 24 kwietnia przybył Jeziorański i już zastał obóz w porządku; było w nim 740 zebranych ludzi, a w tej liczbie 36 oficerów. Oddział był podzielony na ośm kompanij piechoty (po 68 ludzi każda), dwie kompanie saperów (po 30 każda); dwa oddziały kozaków (po 32 ludzi) i oddział ułanów (36 ludzi). Oprócz Jeziorańskiego byli w oddziale generałowie Waligórski i Smiechowski; szefem sztabu i duszą wszystkich działań zaeny i zdolny Tomasz Winnicki;

majorami Leszek Dąbcański, dzielny oficer, mężny żołnierz i przytomny dowódca, Kazanecki, słynny z olbrzymiej siły i odwagi, Grudziński i Lepkowski. Każda kompania miała kapitana, porucznika, dwóch podoficerów i jednego furjera. Kozakami dowodzili Leniecki i Wyleżyński, ułanami zaś Maliszewski. Porządek w obozie był wzorowy; broń, której dostarczył żyd Liban, bardzo dobra; dostawy żywności uregulowane, gdyż komitet lwowski, w którym przewodniczył ks. Adam Sapieha, niczego nie żałował i wszystkiego w swoim czasie dostarczył. Brak było amunicyi, ale tę obiecano przysłać do Kulna.

Z lasów żołyńskich wyruszono 26 kwietnia nad rankiem. Przewodnicy nie znając lasów błędzili, tak, że dopiero po dwóch dniach marszu, w czasie którego żołnierz musiał poprzestać na tem, co miał w tornistrze, 28 kwietnia pod Hutą Rożaniecką przekroczono granicę. Po chwili odpoczynku skierowano się do Kulna, gdyż tam, według doniesień organizacyi galicyjskiej, mieli znaleźć amunicję. Ale w Kulnie amunicyi nie było, a żołnierze mieli tylko po ośm ładunków i w rezerwie 800. Stawiło to oddział w bardzo trudnem położeniu i mogło zwichnąć całą wyprawę. Natomiast znaleziono narzędzia potrzebne dla saperów, które im natychmiast rozdano.

Z powodu braku amunicyi, zamiast spieszyć w głąb kraju, jak to miał sobie przez Rząd Narodowy poleconem, postanowił generał Jeziorański obrać dobrą pozycję na granicy i tu stoczyć bitwę.

Dnia 30 kwietnia przeszedł pod Borowę i o pół mili od tego miejsca pod Topiłami czyli Kobylanką, leżącą na północ od Lublińca, majątku br. Piotra Brunickiego, obrał pozycję tuż nad samą linią graniczną w lesie; na północ pozycja była okolona bagnami.

Na tej pozycji atakować mogli Moskale z dwóch stron: od strony Łysej Góry, gdzie szła droga dość szeroka, i od Janowa, drogą wąską, leśną. Obie te drogi prowadziły ku lewemu skrzydłu polskiego oddziału. Na drogach tych, na pozycjach starannie obranych i wzmocnionych, postawione były stráže przednie po 1½ kompanii, a przed niemi wysunięto konne wedety. Cały obóz stał na pozycji wzmocnionej zasiekami i bardzo dogodnej.

Do Czerwińskiego, który z oddziałem kilkuset ludzi stał o dwie mile od Borowej, posłał Jeziorański żyda Libana, wzywając go, aby przybył pod Kobylankę ze swoim oddziałem, do naczelnika województwa lubelskiego zaś list wyprawił z doniesieniem, że oddział nie ma amunicyi, nie może przeto wkroczyć w głąb kraju.

Wieczorem wrócił Liban do obozu, donosząc, że drogi zajął nieprzyjaciel, ale że list dojdzie do Czerwińskiego, jak i pismo do naczelnika województwa, posłał je bowiem przez żyda dostarczającego owies Moskwie. Postanowiono przyjąć bitwę.

Pierwszego maja o dziewiątej zrana padły pierwsze strzały w przednich strażach. W mgnieniu oka cały obóz był w pogotowiu.

Jeziorański posłał natychmiast jedną kompanię na pomoc i w miarę zwiększania się sił nieprzyjaciela, wprowadzał w bój coraz nowe siły, zalecając największą oszczędność w strzelaniu.

Po dwugodzinnej walce zaczęli Moskale słabnąć; — wtedy to Jeziorański kazał Grudzińskiemu, drożyną idącą w lewo, uderzyć z boku z dwoma kompaniami na nieprzyjaciela. Zaatakowany z dwóch stron Emano w zaczął bezładny odwrót, ale w tej chwili właśnie żołnierzom naszym rozdawano ostatnie ładunki z zapasowej skrzynki. Dlatego też piechota nie mogła go ścigać. Kawalerya poszła naprzód i tak przeraziła Moskali, że artylerya ich porzuciła jedną armatę ze złamaną lawetą, zagwoździwszy ją poprzecznie.

W potyczce tej mieli Moskale 1200 piechoty, dwa szwadrony dragonów, sotnię kozaków i cztery armaty. Na pobojowisku zostawili 23 zabitych, rannych zaś uwieźli. Polacy stracili pięciu zabitych i 28 rannych.

Poległych tak jednej jak drugiej strony pochowano obok siebie. Na mogile Polaków postawiono krzyż z napisem: „Tu spoczywają bohaterowie polegli 1go maja 1863 r.“ na większej zaś mogile zatknięty został krzyż moskiewski z napisem: „Tu leżą słudzy despoty“.

Jak tylko dowiedziano się w Galicyi o rezultacie bitwy i o braku amunicyi, przywiozła natychmiast panna Marya Topolnicka 2000 ładunków uzbieranych we Lwowie, a 3-go maja przybył do obozu ks. Adam Sapieha, właśnie

w chwili, gdy ksiądz przy oltarzu, ustawionym na mogile pięciu poległych, mszę świętą odprawił a powstańcy korne modły za Ojczyznę zanosili do Boga. Ksiązę wysłał natychmiast po żywność i amunicję.

W tenże dzień przybył do obozu Albert Potocki, kapitan z oddziału Langiewicza, przyprawiając 49 ludzi z Galicyi a Karol Siemianowski przywiódł 36 z Kongresówki.

Po tej świetnej majówce, którą wyprawili sobie Polacy, nieprzyjaciel przez pięć dni nie śmiał ich atakować, ale ścigał tylko wojska i armaty. Piątego maja ks. Sapieha dostarczył do obozu 50 000 ładunków, których oczekiwano z upragnieniem. Rozdawanie ładunków zajęło czas do wieczora.

W tymże dniu także złowiono agenta moskiewskiego, który u żyda, piekącego chleb dla powstańców, zatrzał całe pieczywo. Zatrute bochenki przywieźli do obozu, ale pocziwy żyd, piekarz, przybiegł jednocześnie i przestrzegł, że chleb jest zatruty. Agent po przeprowadzonym śledztwie, za wyrokiem sądu wojkowego, został skazany na śmierć.

Zaledwie ukończona była czynność rozdawania ładunków, przybył Liban do obozu, donosząc, że drogi już są zajęte przez nieprzyjaciela, któremu przybyła znaczna pomoc z Lublina, i że siły jego wynoszą do 3500 piechoty, oprócz kozaków, dragonów i ośmiu dział. Dowódcą tego oddziału był generał Chruszczow.

Majorowi Bobowskiemu, dowódcy saperów, nakazano ściętymi drzewami zabarykadować drogi wiodące do obozu. Pozycję Polaków mogli Moskale najlepiej zaatakować z prawego skrzydła — przeszedłszy granicę galicyjską i obchodząc bagna, leżące na skrzydle. Będąc przekonanym, że Moskale z pewnością naruszą granicę, dowódca polski nakazał przerąb, zrobiony w tem miejscu, zabarykadować grubemi kłodami drzewa, a gałęzie skierowane w stronę nieprzyjaciela przykryć ziemią. Obronę tej zasieki oddano Bobowskiemu i jego saperom. W rezerwie stała czwarta i siódma kompania, reszta wojska półkolem a kawalerya na skrzydłach.

Dnia 6go maja o pół do dziewiątej zrana zaatakował nieprzyjaciel lewe skrzydło polskie. Polacy ustąpili za zasieki i przyjęli nieprzyjaciela ogniem. Bitwa zawrzała.

Widząc, że na lewym skrzydle i z frontu nieprzyjaciel atakuje słabo, dowódca polski zostawił te części pod komendą Smiechowskiego, polecając mu, aby wstrzymywał nieprzyjaciół i nie angażował się w bój na bagnety — w obawie odcięcia jakiej części; sam zaś z szefem sztabu Winnickim, udał się na prawe skrzydło, był bowiem przekonany, że Moskale nie uszanują granicy i zaatakują ich z tej strony. Wskutek tego polecono majorowi Leszkowi Dąbezańskiemu, aby wzięwszy dwie kompanie i stanąwszy gdzie w pobliżu, poparł saperów, gdyby była tego potrzeba.

Rzeczywiście przeszli Moskale granicę i na ziemi galicyjskiej postawili swe działa, prążąc

z tej strony ogniem artylerii, i pod jej przykryciem ruszyli do ataku, z początku, o godzinie w pół do 11, na środek, a gdy tam byli odparci ze stratą, następnie po godzinnym wypoczynku, na prawe skrzydło — ze strony Galicyi.

Sapery ukryci za barykadą powstrzymali atak, który prowadził Emanow w zbitej kolumnie i zadali mu znaczne straty. Jeziorański posłał z rezerwy na pomoc saperom czwartą kompanię, lecz Moskale mieli zbyt przeważające siły w tem miejscu, tak, że Polacy poniosłszy znaczne straty, musieli zacząć ustępować. W tej krytycznej chwili major Leszek Dąbcański wyszedł z lasu i uderzył z boku na Moskali; atak ten zmieszał nieprzyjaciela i powstrzymał go, co widząc dowódca, zakomenderował do ataku na bagnety. Młode wojsko z krzykiem „hura!“ wyparło Moskali z zajętych pozycji; zaczęli ustępować bezładnie, topiąc się w błocie, które poprzednio obeszlili. Dowódca jednakże tego pięknego ataku, Dąbcański, został ciężko rannym w nogę.

Moskale cofnąwszy się na lewem skrzydle, zaczęli nowy atak w centrum. Jeziorański nakazał majorowi Łepkowskiemu z dwoma kompaniami odeprzeć nieprzyjaciela. Kompania Wiśniewskiego rozsypała się w tyralierkę i poszła naprzód. Moskale zaczęli ustępować; wtedy wysłano ostatnią, siódmą kompanię z rezerwy na pomoc Łepkowskiemu. Przyszło do starcia na bagnety. Major Kazaniecki z bagnetem w rękę, związał się na przedzie, pomimo, iż dwa razy ranny był w piersi; rzucił mu się na pomoc młody Waligórski, syn

generała i został zabity bagnetem; Wiśniewski ranny padł także, — a Polacy w dniu tym walczyli z taką odwagą, jak weterani doświadczeni w boju.

Nieprzyjaciel został odrzucony na całej linii. Wkrótce trąbki i bębny moskiewskie dały znak do odwrotu. O w pół do szóstej bój się już skończył; cztery szturmy nieprzyjacielskie odbito. — Była to jedna z najpiękniejszych bitew leśnych w powstaniu 1863 roku. W czasie bitwy przybyło do obozu 42 ułanów, którzy w ciągu boju rozwozili żołnierzom ładunki. Kozacy Wyleżyńskiego i Lenickiego ścigali nieprzyjaciół w odwrocie.

Chociaż Polacy zostali panami placu boju, na którym Jeziorański 24 godzin jeszcze obozował, lecz straty nasze w tej bitwie były bardzo dotkliwe, zabitych bowiem było 59, rannych do 150. Jeziorański był kontuzjowany; Winnicki, obecny wszędzie, gdzie groziło niebezpieczeństwo, był ciężko ranny kartaczem w głowę, major Kazaniecki zabity, major Dąbczyński ciężko ranny; kapitanowie: Wyszomirski, Zawadzki, Litwicki, Kurek, Sokolnicki i Wiktor Wiśniewski ciężko ranni, młody Waligórski, kapitan Lampe, porucznik hr. Tyszkiewicz i Urbanowski — zabici. Moskale, jako atakujący, z natury rzeczy musieli stracić więcej; mieli oni 273 zabitych i przynajmniej dwa razy tyle rannych.

Do późnej nocy grzebano zabitych, rannych zaś, tak Polaków jak i Moskali odwieziono do Cieszanowa do szpitala, założonego staraniem pań

polskich pod przewodnictwem księżnej Leonowej Sapieżyny.

Piękne to zwycięstwo, niestety, na nic się nie przydało. Przeszedłszy kilka mil w głąb Lubelskiego, z oddziałem prawie o połowę w Kobylance zmniejszonym, generał Jeziorański pod pozorem rekonesansu opuścił obóz tajemnie wraz ze sztabem a zostawiwszy dowództwo brygadyerowi Smiechowskiemu, wyjechał do Galicyi. W pamiętnikach swoich wyjazd ten uniewinnia generała chorobą. Smiechowski nie mógł w karności utrzymać zdemoralizowanych wyjazdem Jeziorańskiego żołnierzy i wkroczył z oddziałem do Galicyi, dając się tam rozbroić.

Tak błaho i nieużytecznie skończyła się ta krótka i dwoma zwycięstwami naznaczona wyprawa. Wyjazd ten generała i tajemne opuszczenie obozu po zwycięstwie, bardzo przypomina doradzony przez Jeziorańskiego wyjazd Langiewicza po zwycięskiej bitwie pod Grochowiskami. Langiewicza mogłyby usprawiedliwić jeszcze te powody polityczne, które były poruszone na radzie wojennej w Wełeczu, odjazd Jeziorańskiego niczem wytłumaczyć się nie daje. Nie usłuchawszy rozkazu Rządu Narodowego, który mu kazał nie na granicy, ale w głębi Lubelskiego walczyć, zbierać ochotników i ożywiać powstanie, zniszczył dobre skutki wygranej pod Kobylanką, a przez swój odjazd do Galicyi osłabił na dość długi przeciąg czasu ducha w mieszkańcach Lubelskiego i sparaliżował powstanie w tem województwie. Dlatego też Rząd Narodowy, pomimo całej

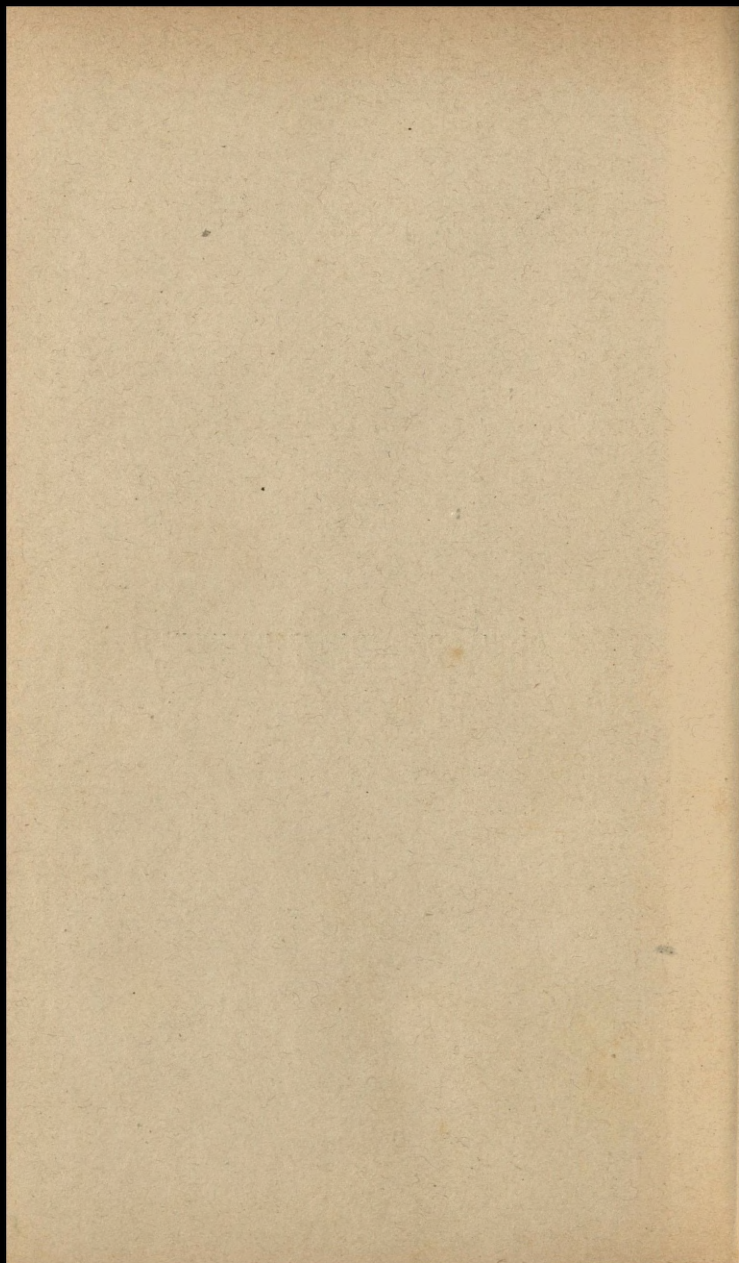
jego, jeszcze świeżej z pod Kobyłanki sławy, odebrał mu naczelne dowództwo lubelskiego województwa i oddał go pod sąd wojenny. Jakkolwiek sąd go uniewinnił, Rząd mu jednak już żadnego obowiązku nie powierzał.

Wkrótce potem został Jeziorański aresztowany przez władze austriackie i internowany w Meranie, w Tyrolu, z kąd po uwolnieniu udał się do Francji.



XI.

BITWA POD RADZIWIŁŁOWEM.



....Nie znając nikogo we Lwowie, błądziłem od rana prawie do wieczora po pięknych okolicach miasta. Brak towarzystwa ludzi znajomych, był niezmiernie dotkliwym dla mnie, nieprzywykłego do życia pustelniczego. Często wdarszy się na wierzchołek *Piaskowej Góry*, zwracałem oczy na północ, gdzie zostawiłem matkę i kochające mnie rodzeństwo,—a siedząc tak godzinami całem, czułem, że ulgę mi to przynosi w moim smutku i tęsknocie.

Dnia 29 czerwca 1863 roku otrzymałem wiadomienie, że mam się udać do Wysocka pocztą, a ztamtąd będę odesłany na punkt zborny. Jutro więc będę w oddziale, a pojutrze już się zetrzemy z nieprzyjacielem! Może to są ostatnie chwile życia, a wkoło ani jednej przyjaznej duszy, któraby rękę wyciągnęła na pożegnanie, ani jednego człowieka, któryby interesował się tobą; nikogo, ktoby chciał oddać moim drogim ostatni pokłon, ostatnie uściśnienie ręki... Boże! z jakiej miękkiej gliny człowiek jest ulepiony i jak mu potrzebna ta wiara, że jest życie za grobem...

Oddział generała Wysockiego, składający się z ośmiuset ludzi piechoty i około 200 konnicy, zaczął się zbierać w Berlińskich lasach 27 czerwca. Żyd faktor, który nam, a niestety za-

pewne i Moskalom służył za szpiega i pośrednika, urządził tak, że obiecano nam, iż nikt zbieraniu się przeszkadzać nie będzie... jeżeli organizacya oddziału będzie postępować szybko.

Nieznany nikomu, oprócz podszefa sztabu dowódcy wyprawy, przybywszy do oddziału dnia 30 czerwca popołudniu, znalazłem w obozowisku ogromny nieład i nieporządek. Większa część powstańców jeszcze nie była przydzielona do żadnej kompanii, nie miała broni i chodziła po obozie luźno, nie robiąc. Co chwila nadchodziły, nie wiedzieć z kąd, wiadomości, że wojsko austriackie jest już uwiadomione o naszym obozowaniu i niebawem zbliży się dla rozbrojenia oddziału. Szefem sztabu był pułkownik Domagalski, dowódcą piechoty major Mroczkowski; kawaleryą dowodził Kwaśnicki.

Ku wieczorowi wprowadzono nieco więcej ładu, przynajmniej wszyscy zostali przydzieleni pod czyjeś dowództwo. Większa z nich część nigdy broni w rękę nie miała.

W nocy 30 czerwca młode nasze wojsko było zaalarmowane dwoma wystrzałami, jednym w obozie, a drugim na wedetach, tak, że część nocy zesłała na niespokojnem oczekiwaniu zbliżenia się austriackich wojsk. O świcie wszystko stanęło na nogi i zaczęła się wczorajsza praca. Stuk młotów w polowej kuźni, gdzie nasadzano kosy i groty na lance, ostrzenie szabel, rzenie koni i musztra powstańców złały się w jeden hałas wojenny.

O szóstej z rana zebrał Wysocki radę wojenna i wydał dowódcom odpowiednie rozkazy. Dowiedziawszy się, iż przybyłem ze Lwowa, wezwał mnie do siebie i razem poszliśmy opatrywać obóz.

— Powiedz mi panie, czy Moskale umieją dobrze bronić miast?

— Tak jest, generale; pod Czetati, w 1854 r., cztery tysiące wojska moskiewskiego oparło się zwycięsko 26-tysięcznej armii tureckiej, a Turcy są dobrzy żołnierze.

— Więc nie doradzasz mi, dla podniesienia ducha młodego wojska, odnieść łatwe zwycięstwo, zaatakowawszy jakie pograniczne miasto?

— Nie, panie generale, bo żołnierz młody, a jeżeli atak się nie uda, demoralizacya zniszczy oddział. Według zdania mego, należy, przeszedłszy granicę, forsownym marszem rzucić się ku północy, w lasy Polesia, aby zostawić za sobą granicę jak najdalej; wtedy nowobrańcy, widząc niebezpieczeństwo, grożące ze wszystkich stron, będą trzymać się gromady, poznają dowódców, a ci ostatni swoich żołnierzy, włożą się do trudów wojennych, do robienia bronią, do istoty partyzantki, nabiorą ducha, wydobędą z siebie tę energię, którą obudza niebezpieczeństwo, tak, że straty i klęski już ich nie zdemoralizują.

— Powiem ci otwarcie pułkownik, że myślę zaatakować Radziwiłłów. Według doniesień szpiegów jest tam tylko rota piechoty liniowego wojska, rota garnizonowego batalionu i kilkadziesiątciu *objeźczyków*. Wzięcie miasta ze wszystkimi

wojskowemi składami tam znajdującemi się, wyrzuce dobre wrażenie na kraj i na oddział. Jednocześnie uderzą na Radziwiłłów Miniewski i Horodyński. Udać się musi.

— A jeżeli się nie uda? to wszystko będzie stracone! I jakąż to korzyść osiągniemy z wzięcia Radziwiłłowa? Za cztery godziny potem, przyjdą Moskale z przeważnemi siłami z Dubna i ze Starokonstantynowa na odsiecz i zostaniemy wyparci nazad za granicę. Przeciwnie zaś, posunąwszy się na północ, gdybyśmy nawet byli ścigani przeważnemi siłami, możemy przedrzeć się w Lubelskie i tam wzmocnić miejscowe powstanie.

— Chodź ze mną do namiotu mego, ja ci pokażę plan mój ataku Radziwiłłowa.... Oto jak widzisz — rzekł, gdyśmy usiedli na ziemi, i rozłożyli mapę przed sobą — oddział nasz zaatakuje miasto z południowej strony. Przy pierwszych strzałach Horodyński rzuci się na miasto z północy i przetnie odwrót. Jak pan to znajdujesz?

— Co do sposobu atakowania żadnego zarzutu zrobić nie mogę, lecz według zdania mego, nie należy wydawać bitwy na samej granicy, z obawy smutnych następstw... Wypowiedziałem zdanie moje panie generale i sambym tak postąpił, gdybym dowodził, tem więcej, że nie mam zaufania do skombinowanych ruchów, które zawodzą bardzo często.

— Już zmienić tego nie można, rozkazy są rozesłane, rozporządzenie zrobione — odrzekł

generał, widocznie niezadowolony, żem nie pochwalił jego planu.

Na tem się skończyła rozmowa nasza.

O 9 zrana nastąpiło poświęcenie broni i chorągwi przez kapelana obozowego. Przywyklszy do służby w regularnem wojsku, ze smutkiem patrzyłem na niedostateczne uzbrojenie naszych powstańców, na brak pojęcia o sztuce wojennej; przewidywałem, ilu z tych ludzi zginie dla tego tylko, że nie było czasu poduczyć ich choć trochę. Scena poświęcenia i rozdania chorągwi, nabożeństwo obozowe, mowa generała Wysockiego i komisarza Rządu Narodowego rozczuliły nas wszystkich do głębi duszy. Wszyscy gotowiśmy byli do największego poświęcenia... ale entuzjazm jest rzeczą chwilową, a prawdziwą siłę daje wojsku tylko dobra organizacya i wiara w broń i w siebie — tych zaś u nas nie było.

O godzinie 11 zaczęto rozdawać ludziom ostre ładunki i broń, którą tylko co ukończono naprawiać. Każdy miał pracy wiele, aby o niczem nie zapomnieć, gdyż chwila wymarszu mogła nastąpić niespodzianie. Rozdawanie broni przeciągnęło się aż do trzeciej godziny po południu. Następnie przystąpiono do gotowania obiadu, gdyż potrzebę posiłku czuliśmy wszyscy dotkliwie.

Zaledwo rozniecono ogień i ustawiono kotły, usłyszeliśmy wystrzał w awanpostach i krzyk: „do broni“. Austryackie wojsko zbliżało się i patrol huzarów już się pokazał w lesie. Potrzeba było albo dać się rozbroić, albo natychmiast wyruszyć w drogę. Zebraliśmy się prędko, rzuciliśmy

niedogotowany obiad i parci przez następujące wojsko, skierowaliśmy się ku granicy.

Generał Wysocki, mając zamiar zaatakowania Radziwiłłowa o czwartej zrana i dawszy odpowiednie rozkazy Horodyńskiemu i Miniewskiemu, organizującym się w innych miejscach, musiał tak maszerować, żeby nie przekraczać granicy przed czasem i nie alarmować Moskali, dopóki ruch skombinowany nie będzie ukończony. Wybrał więc okólną drogę mimo wioski Berlina. Maszerowaliśmy do zmierzchu, mając ciągle austryaków na piętach. O godzinie 10 wieczorem zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby spocząć i posilić się. Ulewny deszcz, burza z piorunami i zmrok nie pozwoliły zająć dobrego miejsca dla odpoczynku. Stanęliśmy więc jak kto mógł i zjedliśmy po kawałku chleba, który, występując w drogę, schowaliśmy do kieszeni. Ten mały odpoczynek był przerwany rozdawaniem ostrych ładunków których jeszcze nie otrzymali wszyscy.

O północy znowu wyruszyliśmy w drogę. Noc była pochmurna i tak ciemna, że o kilka kroków nie można było nic widzieć. Przyszło iść w bród przez jakąś rzeczkę, a następnie przez takie bagniste miejsca, że dla wyciągnięcia fur naszych, zagrzęźłych w błocie, potrzeba było użyć pomocy już bardzo pomęczonych ludzi i wyprzęgać konie z jednych fur, a przypręgać do drugich. Wszystko to tak opóźniło marsz nasz, że po 15 godzinnym pochodzie stanęliśmy pod Radziwiłłowem dopiero o 7 godzinie z rana, za-

miast o czwartej. O Horodyńskim i Miniewskim nie było żadnej wiadomości.

Młodzi żołnierze byli nadzwyczajnie zmęczeni, Wysocki jednak kazał natychmiast dwom kompaniom strzelców zająć lasek pod Radziwiłłowem i wziąć języka. Strzelec przebiegł szybko lasek i złowili moskiewskiego majora von Taube z *objeźczykiem*, którzy się schowali w lesie. Major stchórzył okropnie, nie wiedząc, jaki los go czeka. Błady i przestraszony, obiecał szczerze wyznać wszystko o co go zapytamy. Dowiedzieliśmy się od niego, że w Radziwiłłowie znajdują się tylko dwie roty regularnej piechoty, rota rekrutów, rota inwalidów, szwadron kargopolskiego dragońskiego pułku i kilkudziesięciu objeźczyków. Następnie drżącym głosem zaczął upewniać nas pan major, że zawsze kochał Polaków i zawsze mówił, iż należy im dać to, czego żądają, że obchodził się z ludźmi dobrze; nareszcie chcąc nas lepiej jeszcze przekonać o dobrem obchodzeniu się z podwładnymi, rzekł do pojmanego z nim objeźczyka:

— Powiedz ty tym panom, czym cię bił kiedy po mordzie?

— *Nikak niet!* — odpowiedział objeźczyk.

Z obrzydzeniem patrzeli wszyscy na tego tchórza.

Siły moskiewskie, jak widzieliśmy, równały się siłom naszego oddziału, ale licząc na atak Horodyńskiego i Miniewskiego można było odważyć się na bitwę. Na komorze celnej wojsko posiliło się cokolwiek i odpoczęło godzinę. Schwytny

został raport dowodzącego moskiewskim oddziałem w Radziwiłłowie pułkownika Krejtera, w którym donosił przełożonemu swemu o siłach naszych i planach, według wiadomości otrzymanych od konsula z Brodów i od wojskowych austriackich, którzy mu udzielili wiadomości o ruchach polskich oddziałów.

Potrzeba było przyspieszyć atak na Radziwiłłów przed nadejściem odsieczy. Zerwawszy druty telegraficzne, Wysocki posunął się naprzód i przeszedłszy las, leżący na prawo od gościńca, rozpoczął atak na lewe moskiewskie skrzydło, które zajęło przedmieście zwane *Lewiatyn*. Jak tylko wyszliśmy z lasu, kule posypały się jak grad. — Dowódca piechoty, *Mroczkowski*, padł ugodzony kulą w nogę, a z nim około czterdziestu innych. Młody żołnierz nie wytrzymał ognia i cofnął się do lasu. Tymczasem, najlepsza część oddziału, strzelcy, zajęli się wypędzeniem Moskali z domów i o władnęli mostem przerzuconym przez błotnistą rzeczkę, a rozsypawszy się w tyralierkę, zaczęli odpowiadać na rżęsiły ogień Moskali. W jednym z domów, stojących osobno, usadowili się Moskale i ze strychu posyłali niechybną śmierć atakującym. Strzelcy zapalili ten dom i w półgodziny budynek spłonął ze wszystkim co w nim było.

Generał Wysocki posłał wtedy na bagnety dwie kompanie strzelców *Krzyżanowskiego*. Natychmiast kilkanaście trupów moskiewskich pokryło ziemię. Na wzmocnienie posłano strzelcom 25 kosynierów. Ten maleńki oddziałik tak na-

straszył Moskali, że pomimo płażowania szablami przez oficerów, żołnierze nie chcieli iść naprzód. Wkrótce jednak z tej garstki dzielnych kosynierów, została zaledwie połowa. Lewiatyn był wzięty, lecz w tejże chwili otrzymał generał wiadomość, że Horodyński zaatakował miasto o czwartej godzinie z rana, że oddział jego został rozbity, dowódca zginął a oddział poszedł w rozsypkę...

Piechota stojąca w lesie i zdemoralizowana strzałami nieprzyjacielskimi, gdyż świst kul słyssała po raz pierwszy, nie chciała iść naprzód dla poparcia strzelców. Na domiar nieszczęścia zaczął padać taki deszcz ulewny, że ładunki strzelców, którzy je mieli w płóciennych torbach, zamokły. Straty nasze były wielkie, szczególnie w oficerach. W samym sztabie Wysockiego padło czterech. Żołnierze byli zmęczeni nadzwyczajnie. Wszystko to razem zmusiło Wysockiego nakazać odwrót do lasu.

W tej chwili, galopen jakiś przyleciał z fałszywą wiadomością że Wysocki, zdobywając chałupy, został ranny. Szef sztabu pojechał, żeby objąć po nim dowództwo, lecz zaledwo pokazał się, został ranny w rękę i w nogę. Biedak padł w lesie. Wysocki zrozpaczony, że plany jego tak się nie powiodły, wysunął się naprzód i stanął w narożniku lasu, gdzie najgęściej padały nieprzyjacielskie strzały. Widocznie szukał śmierci, — starcowi wstyd było przegranej.

Podjechałem ku niemu, zapytując co dalej zamysła robić? Na to mi Wysocki odpowiedział:

— Czy też ja kulię dla siebie nie znajdę!.....

Przyznam się, że egoistyczna ta odpowiedź oburzyła mnie nadzwyczajnie; odrzekłem więc:

— Generale, nie masz prawa narażania się, gdyż jesteś odpowiedzialny przed krajem za tylu ludzi, którzy poddali się jego dowództwu! Nie jeszcze nie stracone; co doradzałem z rana, można jeszcze wykonać.

— Pułkowniku! Domagalski jest rauny, frobię cię szefem sztabu na jego miejsce. Idź i ściągnij oddział ku komorze celnej.

Skoczyłem natychmiast do łańcucha strzelców, nakazałem zaprzestać ognia i odstępować ku komorze, gdzie znajdowali się ranni nasi.

Straty nasze w tym pięciogodzinnym boju były znaczne. Cała przestrzeń między miastem a laskiem była pokryta zabitymi i rannymi, mnóstwo ludzi rozbiegło się po lesie i zabłądziło w nim, krew świeża parowała w powietrzu, bagnety, szable, karabiny połamane leżały na ziemi. Atak jednak tak zaimponował Moskałom, że nie ośmielili się wyjść za nami z miasta.

Po wyprowadzeniu z lasu, kazałem dać ludziom zakąsić i wypić po kieliszku wódki, a jednocześnie rozstawiłem oddział tak, żeby mógł nieco odpocząć, będąc zarazem w gotowości na wypadek pojawienia się nieprzyjaciela.

O Miniewskim nie było żadnej wiadomości, a Wysocki chciał się z nim połączyć przed posunięciem się w głąb Wołynia.

O godzinie pół do czwartej otrzymano wiadomość, że już nadsięgają posiłki Moskałom z Dubna i Krzemieńca. O czwartej pokazała się nie-

przyjacielska pikieta. Przyjąć bój ze świeżymi siłami nieprzyjaciół, wtedy, gdy żołnierz był tak zmęczony, że zaledwo stał na nogach, było rzeczą niepodobną. Wyruszyliśmy więc z miejsca w porządku, dążąc ku południowi dla połączenia z Miniewskim. Marsz nasz trwał do 8 wieczorem.

Ludzie byli tak znużeni, że iść dalej nie mogli. Potrzeba było dać nowy odpoczynek. Rozlokowałem więc oddział w lasku na górze, w bardzo dogodnej pozycji. — Tu otrzymał Wysocki wiadomość, że oddział Miniewskiego z powodu niedokończenia organizacyi, z miejsca nie wystąpił.

Objechałem nasz oddział dla porachowania się z siłami; mieliśmy jeszcze do 500 ludzi, ale nie więcej jak po dziesięć nabojuów dla każdego. Żołnierze byli tak zmęczeni, że niepodobna było ruszyć naprzód. Ani proźby, ani groźby już nie pomagały: spał oddział, spały warty, spały awanposty. Gdyby w tej chwili napadli na nas, nikt by nie ocalał. Po 28-godzinnym marszu i pięciogodzinnym boju potrzeba było przynajmniej dwóch dni odpoczynku. Tymczasem w dwie godziny po naszym wymarszu z pod Radziwiłłowa przybyło 4 tysiące wojska z 8 armatami. Odcięto więc nam drogę na północ, ku południowi zaś zaczynała się okolica otwarta, w której moskiewska kawaleria mogła nas otoczyć i zagładzić.

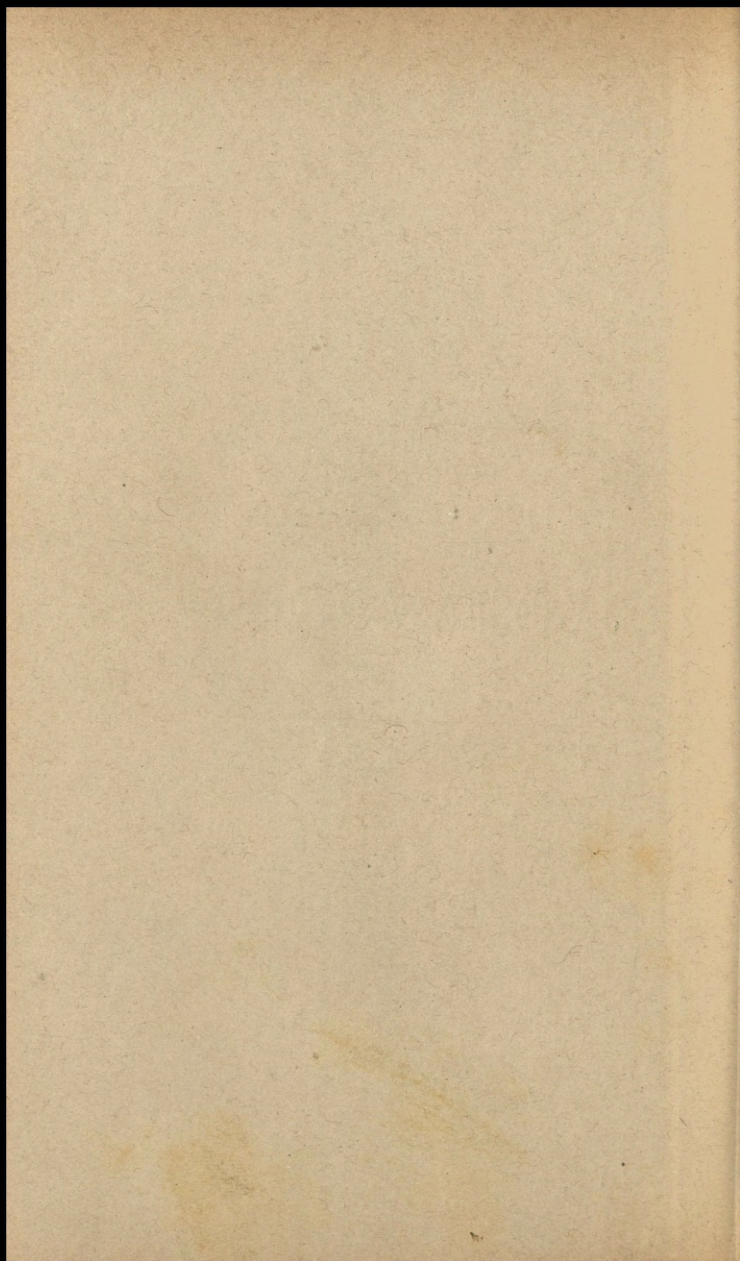
W tem położeniu zebrał Wysocki radę wojenną. Zdecydowano, aby przekroczyć granicę napowrót, a ukrywszy broń, zachować możność wystąpienia znowu do boju przy lepszych okolicznościach. Granicę przeszliśmy blisko Brodów,

w Klekotowie. Broń i konie kawaleryi zostały oddane na przechowanie, a ludzie rozprószyli się po Galicyi, dążąc do nowo tworzących się oddziałów. Wysocki pojechał do Lwowa, gdzie zdradzony przez człowieka, któremu zaufał, dostał się do więzienia austriackiego.



xii.

JAROSŁAW DĄBROWSKI.



W późnej jesieni 1865 r. przybył do Genewy Jarosław Dąbrowski, natychmiast po ucieczce z przymusowej podróży na Sybir. Nie znałem go poprzednio, ale słysząc o nim wiele dobrego, pragnąłem poznać.

Jarosław Dąbrowski był małego wzrostu, szczupły, z twarzą prawie pozbawioną zarostu; ruchy jego były żywe, pewne, świadczące o energii i stanowczości charakteru. Dzienniki tylko co rozniosły były po świecie wieść o jego prawie cudownej ucieczce z Moskwy; z tego więc powodu, gdy pierwsze lody znajomości naszej były przełamane, prosiłem, aby mi opowiedział szczegółowo, jak odzyskał swobodę.

Dziś, gdy ziemia przykryła zwłoki tego człowieka, gdy głosy nienawiści, zazdrości i potwarzy już zamilkły, — sądzę, iż jest moim obowiązkiem powtórzyć jego opowiadanie; może ono przekona, iż nie był to tuzinkowy człowiek, lecz genialna osobistość, która przy sprzyjających okolicznościach mogła odegrać bardzo ważną rolę. —

Miładowski, były oficer inżynierji, aresztowany w Wilnie, wyspiewał w więzieniu

że w czasie pobytu swego w Petersburgu bywał często u Jarosława Dąbrowskiego, gdzie się zbierano dla pomówienia o różnych sprawach, a szczególnie o zachowaniu czystości obyczajów i godności imienia Polaka. Murawio w zażądał natychmiast od Berga, namiestnika Królestwa Polskiego, aby aresztowano Dąbrowskiego, (będącego wówczas kwatermistrzem przy sztabie wojsk, stojących w Warszawie), i aby mu go przysłano dla przeprowadzenia z nim śledztwa. Ton, w jakim to wezwanie było stylizowane, nie podobał się Bergowi, — bo między nim a Murawiewem istniała niechęć i zawiść. Kazał więc aresztować Dąbrowskiego, 13 sierpnia 1862 r., lecz zarazem w odpowiedzi na to wezwanie Murawiewa, zażądał, aby tenże mu przysłał akta śledcze, gdyż jurysdykcya nad oficerem, służącym w Polsce, do niego należy. Murawiew połknął pigułkę i nie odpowiedział.

Aresztowanie oficera, znanego ze zdolności i bardzo lubionego przez kolegów, zrobiło dość wielki rumor w wojsku pomiędzy oficerami. Potrzeba było uzasadnić to rozporządzenie; polecono przeto policji odszukać dowody winy.

Policya warszawska, dla pochwycenia wątku spisku, już od kilku miesięcy rzuciła się na dość cynny pomysł: nakazała agentom swoim nawiązywać stosunki miłosne z kucharkami i służącymi, żeby za ich pomocą dowiadywać się, co się w jakim domu działo. Dawna służąca Dąbrowskiego, wydalona ze służby za złe prowadzenie się, uwiadomiła swego policyjnego kochanka, że

u jej pana zbierali się często nieznani młodzi ludzie i naradzali się do późna w nocy. Komisya śledcza, otrzymawszy takie doniesienie, zawezwała oskarżonego, aby rzecz wyjaśnił. Dąbrowski był już uwiadomiony przez Rząd Narodowy o grożącym mu niebezpieczeństwie i przygotował się do obrony.

W komisyi przywołano służącą, która wobec obwinionego powtórzyła zeznanie swoje, że u niego co wieczór zbierali się jacyś podejrzani ludzie, że ją zawsze wtedy odsyłano do kuchni i przy niej nie rozmawiano.

— Co pan powiesz na swoją obronę? — zapytał przewodniczący.

— Odpowiem, że dopóki jestem oficerem, dopóki noszę order, otrzymane za zasługi w bitwach na Kaukazie, nie macie panowie prawa stawić mnie do konfrontacji z nierządnicą, wypędzoną z domu mego za złe prowadzenie się. Złość i zemsta podyktowały jej obwinienie, tak niebezpieczne dla mnie w terażniejszym czasie. Panowie wiecie sami dobrze, że zbieranie się wielu ludzi w jednym domu i to w nocy, gdy nikt nie może wyjść na ulicę bez latarki, nie mogłoby ujść baczności policyi, tem więcej na ulicy tak uczęszczanej jak ta, na której mieszkałem. Więcej nie mam do odpowiedzenia na oskarżenie tej dziewczki i odpowiadać więcej nawet nie myślę!

Stanowczy i spokojny ton, odwołanie się do praw swoich, których jeszcze nie był pozbawiony, zaimponowało sędziom. Kazano go odprowa-

dzić napowrót do celi więziennej dziesiątego pawilonu cytadeli warszawskiej.

Od tego czasu przeszło wiele tygodni i miesięcy. Policya, robiąc rewizyę w pomieszkaniu podejrzanej o stosunki z powstańcami panny Zgliczyńskiej, mieszkającej z ciotką swoją p. Piotrowską — znalazła u nich portfel, w którym były wszystkie papiery i dokumenta służbowe Dąbrowskiego, razem z kwitami na odebrane pieniądze, przeznaczone na kupno różnych rekwizytów wojskowych. Panna Zgliczyńska, zapytana, z kąd się wzięły te papiery, wyznała, że kwity doręczone jej były do przechowania przez osobę nieznaną, i że nie wiedząc, co robić z niemi, złożyła je do portfela, gdzie leżały papiery Dąbrowskiego, oddawna dane jej do przechowania jako krewnej, żeby się nie zatraciły w czasie nieustannych przenosin, na które narażeni byli wszyscy wojskowi w czasie toczącej się wojny.—O tym wypadku i o odpowiedzi panny Zgliczyńskiej Rząd Narodowy natychmiast zawiadomił Dąbrowskiego, posiadał bowiem nawet i w cytadeli agentów swoich, za pomocą których utrzymywał nieustanną komunikacyę z więźniami.

W kilka dni po tem nowem odkryciu został więzień powtórnie wezwany przed komisyę. Na stole leżał jego portfel i wszystkie znalezione w nim papiery. Przewodniczący zapytał go, czy poznaje ten portfel?

— Jest to mój — odpowiedział spokojnie Dąbrowski.

— A! — rzekł ucieszony inkwizytor, sądząc, że już go złapał. — Są tu papiery służbowe pańskie i różne kwity, dowodzące, żeś pan przygotowywał powstanie zbrojne. Zkąd się te kwity wzięły?

— Portfel dałem do przechowania krewnej mojej, pannie Zgliczyńskiej, ją więc pytać należy, zkąd się one tam wzięły.

— Więc pan powiadasz, że nie dawałeś tych kwitów do przechowania? — rzekł prezes z uśmiechem niedowierzania.

— Powtarzam, że oprócz papierów moich, wtedy gdy oddawał go do przechowania, w portfelu nie było.

Ta zgodność odpowiedzi z oświadczeniem panny Zgliczyńskiej, zbija z tropu badającego, który kazał więźnia znowu odprowadzić do celi.

Tymczasem w więzieniu wileńskim, Oskar Awejde, były członek Rządu Narodowego, upadły fizycznie i moralnie pod wpływem długiego więzienia i męczarni — powtórzył zeznania Miładowskiego o roli Dąbrowskiego, jaką tenże odgrywał dla przyciągnięcia jaknajwiększej liczby młodzieży do ruchu powstańczego. Chciwy krwi Murawjow, nie mogąc dostać w ręce winowajcy, przesłał akta śledcze dotyczące się tej sprawy do Warszawy.

Dąbrowski był zgubiony. Nic go już nie mogło uratować od śmierci. Zrećność, z jaką się bronił, przytomność umysłu, znajomość praw moskiewskich, którą wszyscy podziwiali, już mu do niczego nie posłużyła. Nic nie pozostało, jak za

pomocą pieniędzy starać się odwlec, ile można, chwilę wyroku, w nadziei, że okoliczności się zmieniają. Krewni więc i przyjaciele, a także Rząd Narodowy, udali się do tego środka, dość łatwego przy znanem przekupstwie Moskali.

Wiedząc o stanie rzeczy i chcąc zabezpieczyć przyszłość swej narzeczonej, panny Pelagii Zgliczyńskiej i zrobić ją spadkobierczynią swego majątku — Dąbrowski skomunikował się z nią i zapytał, czy gotowa z nim wziąć ślub w cytadeli; w razie, jeżeli się na to zgodzi, polecił jej podać o to prośbę do hr. Berga, za pośrednictwem generała Trepowa, oberpolicmajstra warszawskiego, w którego sercu tlały jeszcze resztki ludzkich uczuć.

Prośbę tę przedstawił Trepow osobiście namiestnikowi i uzyskał pozwolenie na ten szczególny ślub, mający się odbyć w celi więziennej w cytadeli warszawskiej. Wezwany do tego obrzędu ksiądz, połączył stulą ręce dwojga kochanków, z których on miał być wkrótce stracony, a ona zesłaną w głąb Moskwy na osiedlenie. Wzruszony kapłan błogosławił ze łzami w oczach młodą parę. Rząd, w nieograniczonej swej dobroci, pozwolił małżeństwu pozostać razem całe dwie godziny, ale pod dozorem żołnierza, postawionego na warcie, i nie spuszczałającego z oczu dwojga kochanków.

Gdy godzina rozstania wybiła, pani Dąbrowska udała się wprost z cytadeli do Trepowa, żeby mu podziękować za jego wstawienie się do namiestnika. Generał moskiewski był wzruszony:

— Pani — rzekł do niej, — dotychczas od Polaków i Polek słyszałem tylko przekleństwa; pani jesteś pierwszą, która mi dziękujesz. Daję pani słowo, że dopóki żyć będę, mąż pani także żyć będzie; może Bóg pozwoli, że i dla was szczęśliwsze dni zabłyszczą.

Natychmiast po wyjściu pani Dąbrowskiej, kazał generał wezwać do siebie oheraudytora sądu wojennego i prosił, żeby mu dał znać, gdy wyrok na Jarosława Dąbrowskiego będzie przedstawiony namiestnikowi do zatwierdzenia.

Pani Dąbrowska, jako żona więźnia, uzyskała pozwolenie widywania się z mężem wobec świadków, w komisji. Okoliczność ta, dla energicznego i przedsiębiorczego człowieka, jakim był więzień, stała się podstawą planu, który ułożył w głowie. — planu zmierzającego do oswobodzenia się z więzienia, razem ze wszystkimi więźniami politycznymi, znajdującymi się w cytadeli.

Nasamprzód zażądał od Rządu Narodowego nominacji na komendanta cytadeli warszawskiej, z poddaniem pod swoje rozkazy wszystkich więźniów tam się znajdujących.

Otrzymawszy żadaną nominację, wydał natychmiast odezwę do współwięźniów, wzywając ich do posłuszeństwa i do ścisłego wykonania wszelkich rozkazów, które od niego otrzymają.

Komunikacja między więźniami odbywała się za pomocą stukania w ścianę, lub pewnego miejsc, w którym zostawiano w pewnym schowku, znanym każdemu, rozkaz na piśmie. Papier i ołówek dostarczyła Dąbrowskiemu żona w przyto-

mności oficera tak zręcznie, iż ten ani się spostrzegł.

Plan Dąbrowskiego był następujący: w dzień oznaczony miały być wszystkie drzwi od cel za pomocą ręcznych piłek tak przepiłowane, żeby jednym uderzeniem nogi można było je wysadzić.

Hasłem wybuchu powstania miał być wystrzał z rewolweru w celi Dąbrowskiego. Jak wiadomo każdemu, kto czytał opisy więzień moskiewskich, w celi każdego więźnia zapala się wieczorem łożówka i świeci się aż do rana. Gdy łożówka wypadkiem zgaśnie, żandarm wchodzi do celi i zapala ją znowu, a żołnierz z karabinem zbliża się wtedy do drzwi otwartej celi. — Otóż Dąbrowski zamierzał zgasić świecę, a gdy żandarm wejdzie do celki, strzelić w łeb żołnierzowi stojącemu na warcie. Na wystrzał jego, Szwarz, który siedział w celi naprzeciwko, miał wyłamać drzwi i pochwycić karabin. Posiadając karabin i rewolwer, obaj mieli się rzucić na najbliższego żołnierza chodzącego po korytarzu i odebrać mu broń. Na hasło dane wystrzałem, wszyscy uwięzieni powinni byli wyłamać drzwi i rzuciwszy się masą na żołnierzy, rozbroić ich. Zyskawszy w ten sposób kilkanaście sztuk broni i uszykowawszy się w korytarzu pod dowództwem Dąbrowskiego, mieli wybiedz na plac, na którym stała rota piechoty na warcie i rzucić się na nią. Część zaś oddziału pod dowództwem jednego podoficera artylerji, który siedział w więzieniu i miał być skazanym na śmierć za udział w powstaniu,

powinna była, korzystając z zamieszania, rzucić się ku północnej bramie, otworzyć ją i umożliwić w ten sposób ustępującym więźniom wyjście z cytadeli. Żeby jednak zatrzymać goniących, podoficer wspomniany miał rozkaz: podłożyć lont zapalony pod skład prochu, znajdujący się tuż koło bramy, a uczynić to z takim wyrachowaniem, żeby polscy więźniowie mogli być już za bramą w czasie wybuchu. Dla przyjęcia i poparcia uciekających, lub nawet dla owdzięcia cytadeli, jeżeliby okoliczności na to pozwoliły, miał jeden z oddziałów operujących na prowincyi zbliżyć się do miasta i czekać na alarm w cytadeli, w czasie którego miał się podsunąć pod samą fortecę. Na dzień powstania obrano Wielkanoc, w nadziei, że żołdactwo moskiewskie i oficerowie spiją się według zwyczaju i nie będą w stanie bronić się należycie.

Plan cytadeli warszawskiej otrzymał Dąbrowski od Rządu Narodowego i stosownie do niego zaczął robić potrzebne przygotowania. Nasamprzód należało dostać dość znaczną ilość piłek i rozdać je więźniom. Piłek tych dostarczyła żona Dąbrowskiego. Następnie potrzeba było rewolweru.

Gdy pani Dąbrowska usłyszała z ust męża żądanie, aby mu przyniosła rewolwer i naboje, zbladła z wzruszenia — bo wiedziała dobrze, że gdyby znaleziono broń u jej męża w czasie której z owych rewizyj, odbywanych codziennie w każdej celi, natenczas już żadne środki nie pomogłyby do ocalenia go od śmierci a i ją samą

zresztą narażałoby to odkrycie na okropne następstwa. Biedna kobieta wahała się dać żadaną obietnicę ukochanemu swemu, lecz gdy ten oznajmił stanowczo, że tak być musi koniecznie, zdecydowała się na to, czegoby oprócz Polki nie zrobiła żadna kobieta na świecie. Przy następnej wizycie, na zapytanie męża, czy przyniosła to, o co ją prosił, wskazała mu oczyma zarękawek, położony na krześle. Żegnając się z żoną, wziął tedy Dąbrowski ostrożnie zarękawek do rąk, żeby go jej podać, i w oczach asystującego oficera, zręcznie wyjąwszy rewolwer i naboje, wpuścił je do kieszeni swego oficerskiego paltotu, w którym zawsze chodził w więzieniu.

Po przybyciu do celi potrzeba było obmyśleć sposób, jak schować broń przed okiem czujnych stróżów więziennych. W jednym z kątów celi, dla podparcia stropu stał słup, w którego kapitelu zrobiła się szpara. Słup ten przytykał do ściany. Otóż w tej szparze u góry postanowił więzień schować swój skarb i całą nadzieję urzeczywistnienia planu.

Długo pracował nad tem, żeby wdrapać się na górę, ale nie było to łatwo, bo nie mógł słupa objąć nogami, z powodu bliskiego położenia około ściany. Nareszcie po wielu trudach dotarł do celu, dzięki gimnastycznym ćwiczeniom, których się uczył w szkole kadetów, i rewolwer znalazł bezpieczne ukrycie, w którym mógł leżeć, bez obawy, aby go tam kto szukał, bo nikomu nie przyszłoby do głowy myśl, żeby możebnem było wdrapanie się na słup aż do wierzchu.

Przygotowawszy wszystko, Dąbrowski doniósł Rządowi Narodowemu o szczegółach swego planu, żądając, żeby Rząd rozkazał jednemu z prowincjonalnych oddziałów powstańczych w dzień Wielkiejnoey zbliżyć się do cytadeli. Wszyscy więźniowie, wierząc w genialność Dąbrowskiego i jego niezłomną energię, oddali mu się bezwarunkowo, obiecując punktualnie spełnić wszystkie jego rozkazy, tem więcej, że dla przeważnej części ich nie było wyboru, bo czekała ich śmierć lub katorżna robota do końca życia.

Lecz tu zaszedł wypadek niespodziewany, a przecież tak często powtarzający się w historii naszego narodu... Niedarowane gadulstwo zepsuło plan cały. Rząd Narodowy, zamiast żeby dla zachowania największej tajemnicy, nakazać jednemu z oddziałów, operujących na północ od Warszawy, współdziałać w wykonaniu planu więźniów, polecił utworzyć w samej stolicy, oddział tak zwanych „Dzieci warszawskich“ i powierzyć im spełnienie tego tak ważnego przedsięwzięcia. Gotowanie się do wyprawy tylu ludzi nie mogło ujść baczności policyi moskiewskiej, a chociaż o planie nic się nie dowiedziało, doleciało jednak do niej słów kilka: *cytadela... Wielkanoc...* Wskutek tego, na głównym posterunku w cytadeli, zamiast jednej roty, postawiono pół batalionu, a w dzień Wielkiejnoey nakazano być niezmiernie czujnym, zwiększyć baczność na więźniów i żołnierzom nie pozwolić pić wódki.

Oddział *Dzieci Warszawskich* wyszedł wprawdzie z miasta, uformował się na północy Warsza-

wy i zbliżył się do cytadeli, lecz Moskale, śledząc co się w tej stronie działo, wysłali przeciwko niemu znaczne siły i pomimo zaciętej walki rozbili oddział i rozproszyli go jeszcze przed Wielkanocą.

O tej porażce i o wzmocnieniu wart w cytadeli uwiadomił Rząd Narodowy natychmiast Dąbrowskiego. Plan jego został zwichnięty, gdyż szaleństwem by było odważyć się na powstanie w więzieniu, bez żadnej nadziei powodzenia. — Dąbrowski musiał wydać rozkaz powstrzymania się ze wszystkimi nakazanymi czynnościami, aż do chwili stosowniejszej. Lecz chwila ta już nie nadeszła, gdyż w tym czasie zapadł wyrok skazujący Dąbrowskiego na rozstrzelanie.

Zastanawiając się nad tym planem, nie można go nazwać szaleństwem, historia bowiem wszystkich czasów przekonywa, że najdziwniejsze pomysły udawały się nieraz właśnie dlatego, że nikt się ich nie spodziewał, nikt nie mógł przewidzieć. Owszem, najmocniej wierzymy, że gdyby ten plan, dobrze obmyślany, został uskuteczniony, udałby się niechybnie i pozwoliłby w historii naszej dopisać jeszcze jedną, krwawą, lecz świętą kartę. —

Generał Trepow dotrzymał obietnicy. Dowiedziawszy się o dniu zatwierdzenia wyroku, udał się do namiestnika i przedstawiając mu różne dzienniki cudzoziemskie, w których z największym oburzeniem mówiono o barbarzyństwach Moskali i pastwieniu się nad Polakami, rzekł w końcu:

— Ekscelencyo, nie podpisuj tego wyroku śmierci! zamień go raczej na roboty w kopalniach na całe życie; jest to człowiek wątłego zdrowia, zginie więc po roku lub dwóch ciężkiej pracy, a wasza ekscelencya nie dasz powodu do nowych krzyków i rekryminacyj. dziennikom zagranicznym, które ośmielają się waszą ekscelencyę porównywać z generałem Murawiowem!

Berg, który bał się tego porównania, usłuchał rady. Dąbrowski dnia 18 listopada 1864 roku, został skazany na pozbawienie rangi, orderów, praw stanu i na 15 lat katorżnej roboty w kopalniach Syberyi.

Na tydzień przedtem zapadł już wyrok na panią Dąbrowską i jej ciotkę. Za przechowywanie rewolucyjnych papierów, obie te kobiety zostały skazane na wywiezienie z kraju i osiedlenie w Ardatowie, gubernii Niżegrodzkiej. Biednym kobietom zaledwo dali czas wybrać się w drogę, tak spieszenie było Moskałom pozbyć się ich z Warszawy.

Z końcem roku 1864 partya skazańców, w liczbie przeszło stu osób, wyruszyła na Wschód, dążąc do lodowatej Syberyi... W partyi tej znajdowało się wiele kobiet, wielu niedorostków, którzy nie doszli jeszcze lat młodzieńczych, — kilku księży, a nareszcie Dąbrowski. Dobry humor, energia, wesołe usposobienie i pewność siebie, nie porzuciły go ani na chwilę. Więzień nie ukrywał zamiarów swych przed współkolegami i odzywał się z tem bardzo często, że ucieknie, jak

tylko mu się przedstawi jakakolwiek tego możebność.

Wychowany w kadeckim korpusie, gdzie od lat dziecięcych, pod ferułą wojskowej dyscypliny niszczą się zarodki najpiękniejszych uczuć młodzieńczych, Dąbrowski zapatrywał się na stosunki ludzkie z punktu widzenia tak zwanych ludzi *praktycznych*, to jest: wierzył tylko w interes wiążący ludzi, a poświęcenia bez interesu żadnego uważał za rzecz tak rzadką i wyjątkową, że nigdy nie brał je w rachubę. Pochód na Sybir pogodził go z ludźmi, bo między towarzyszami niedoli znalazł takich, o jakich nigdy nie marzył.

Na trzecim noclegu przystąpił do niego chłopiec lat czternastu, jeszcze dziecko zupełne, i prosił go nieśmiało o chwilę rozmowy:

— Panie — rzekł, gdy odeszli na stronę, — słyszałem, że chcesz próbować ucieczki. Wiem, jaką rolę odgrywałeś w organizacyi; wiem, że życie twoje potrzebne jest dla kraju i dla tego proszę przyjąć odemnie te dwieście rubli, które mi matka wsunęła do rąk przy ostatniem pożegnaniu. Mnie nic nie potrzeba, ja nie pożytecznego zrobić nie mogę, obejdę się bez wszystkiego; ty zaś panie, uciekając, będziesz potrzebował pieniędzy. Niech ci więc służą!

Dąbrowski był wzruszony do głębi duszy, ze łzą w oku podziękował dziecku, lecz nie przyjął ofiary, bo miał kilkaset rubli schowanych między podwójnemi podeszwami butów.

Na następnym noclegu przystąpił do niego staruszek ksiądz i wsunął mu do rąk 150 rubli.

— Weź, — rzekł, — jam stary, mnie już nie wiele żyć pozostaje, obejdę się bez nich, ty zaś potrzebujesz do ucieczki. Weź i nie odmawiaj, bo zrobisz mi przykrość największą!

Na nie się nie zdały protestacye Dąbrowskiego. Staruszek rozgniewany, ofuknął go za dumę i zarozumiałość i zmusił do przyjęcia pieniędzy.

Nie będziemy opisywać podróży przez Rosyę. Był to czas, kiedy Katkow, ten arcykapłan Murawiova, pijany krwią, którą bóstwo jego przelewało, z pianą na ustach rzucał się wściekle na wszystko, co było polskie, głosząc w dzienniku swoim, czytany w całym państwie, że Polacy są „podpalaczami“, „zbójcami“, „zbrodniarzami“. Pospółstwo, odczytawszy się tych potwarzy, spotykało partye więźniów polskich przekleństwem, obelgą i szyderstwem. Współczucia nie znajdowali nigdzie nieszczęśliwi skazańcy.

Podróż etapami na Sybir znana już dokładnie z opisów i opowiadań tych, którzy wrócili z tej ziemi przekleństwa, — nie będziemy więc powtarzać rzeczy wiadomych....

W każdym *etapie* więźniowie lokowali się na noc na tak zwanych *narach* czyli *pryczach* w jednej wielkiej sali. Polacy, po przyjsciu na nocleg, zwykle brali siłą jeden z kątów sali, żeby tam nie dać się ulokować pospolitym zbrodniarzom, pędzonym razem z nimi na Sybir — i urządzali rodzaj namiotu dla kobiet polskich, które szły z partyą, żeby uszanować delikatność ich uczuć

i wstyd niewieści i oszczędzić im widoku tych wstrętnych scen, nieuniknionych w żadnym zgromadzeniu wyrzutek społeczeństwa, których nie powściągnie obecność niewiast od wysoków wyrafinowanej rozpusty i rozbestwienia.

Na każdej stacyi, w każdym domu etapowym, opatrywał Dąbrowski miejscowość, badał okna, drzwi, podwórza i częstokoły w zamiarze ucieczki, — lecz nigdy nie mógł znaleźć zręczności do wypróbowania szczęścia. Tak ubiegał dzień za dniem. Partya zbliżała się do Moskwy. Dąbrowski nie wiedział dokąd zesłano jego żonę, słyszał tylko, że do jakiegoś miasta, leżącego za Moskwą. Należało więc pospieszyć z ucieczką, bo w razie gdyby przechodził przez miasto, gdzie się żona jego znajdowała, mogłaby ona uprosić, aby jej pozwolono iść z nim razem na Sybir, a wtedy ucieczka stałaby się niemożliwą lub nadzwyczajnie trudną, — Dąbrowski bowiem nie porzuciłby żony na pastwę rozwścieklonych ucieczką jego Moskali. Wszystkie więc myśli jego, wszystkie siły ducha wyteżone były do jednego celu, do jaknajprędzszego odzyskania swobody.

Znajdując się na czele listy, jako największy zbrodniarz, był zawsze najbaćniej strzeżony, a gdzie tylko na noclegu nadzorcom się zdawało, że więzienie wspólne nie daje dość bezpieczeństwa wobec tak wielkiego przestępcy, tam osadzano go w osobnej celi osamotnionej.

Tak się też zdarzyło na jednym z etapów, na kilka stacyj przed Moskwą. Rozpatrując się w celce swojej i robiąc różne kombinacye, zmęczony mar-

szem Dąbrowski, usiadł na łożku i siedząc zaczął drzemać. Wtem ucho jego, przywykłe do śledzenia szmerów więziennych, usłyszało w sąsiedniej celi wystukane zapytanie: „kto jesteś?” — Zerwał się i odstukał: „Dąbrowski. A ty kto?” Sąsiad odstukał nieznane mu moskiewskie nazwisko, z dodatkiem, iż siedzi obwiniony o współnictwo z nim. Zaciekawiony tem Dąbrowski, zażądał objaśnienia, jakim się to stać mogło sposobem, kiedy on go nawet nie zna z imienia. Nieznajomy odrzekł:

— Żyłem w Smoleńsku. Miałem kochankę, którą porzuciłem. Z zemsty doniosła Murawjowowi, że byłem z tobą w ciągłych stosunkach. Za to mnie uwięziono, a potem zesłano na Sybir. W więzieniu wileńskim nauczyłem się mowy więźniów, za pomocą stukania. Po wywiezieniu kochanka moja poczuła zgryzoty sumienia i zeznała, że przez zemstę złożyła fałszywą na mnie denuncyację. Wskutek tego zatrzymano mnie w drodze i uwiadomiono, że wkrótce będę wolny. Złaje się, że może jutro nadejdzie rozkaz uwolnienia... A ty na jak długo jesteś skazany?

— Na piętnaście lat katorżnych robót — odpowiedział Dąbrowski.

— Co myślisz robić?

— Uciec z drogi.

— Czy masz znajomych w Moskwie?

— Nie mam.

— Więc ja ci dam adres poczciwych ludzi, którzy ci dopomogą.

Dąbrowski natężył uwagę.

— W Moskwie udaj się do publicznej biblioteki, na takiej to a na takiej ulicy i tam zapytaj o panią N., która jest niezmiernie zacną osobą. Poproś ją o udzielenie ci do czytania *drugiego tomu historyi Karamzina*; ona już będzie odemnie wiedzieć, co to ma znaczyć i ukryje cię.

Dąbrowski podziękował i adres ten dobrze zachował w pamięci.

Wkrótce partya przybyła do Moskwy. Więźniów policzono i oświadczone im, że wszystkim dadzą tu dniówkę, żeby wypoczęli po trudach marszu. Ostróg więzienny, zwany *kałamannyj dwer*, był otoczony wysokim murem. Nadzorca mieszkał w osobnym domu, znajdującym się niedaleko furty, wiodącej do więzienia. Dąbrowski, obejrawszy miejscowość, zdecydował się tu właśnie próbować ucieczki i ułożył plan. Jedna z Polek, idących na Sybir, darowała mu jakąś kolorową spódnicę, a druga czerwoną chustkę; w więzieniu zaś, u aresztantki Moskiewki kupił kożuszek mały, zwany *ogrzejduszką*. Za pomocą dobrze wyostrzonego scyzoryka, ogolił niewielki zarost twarzy, a że był małego wzrostu i wyglądał jak dziecko, przebranie się za kobietę było bardzo łatwe.

Więźniom, którzy mieli pieniądze, pozwolono dla pokrzepienia się kupić wódkę, którą sprzedawał u siebie dozorca więzienia. Na tej okoliczności oparł Dąbrowski plan ucieczki. Przed dwunastą, kiedy mieli iść na wódkę, ubrał się w spódnicę i podkasawszy ją, schował pod kożuszek, a czerwoną chustkę ukrył w zanadrzu. Z jednym

ze współwięźniów zaś ułożył się, że ten włoży na siebie płaszcz jego i czapkę, w chwili kiedy będzie mu potrzeba ich się pozbyć.

O dwunastej istotnie otworzyła się furtka więzienia i więźniowie, naprzód Polacy, a za nimi pospolicci zbrodniarze, szli jeden za drugim do mieszkania dozorca, między dwoma rzędami żołnierzy, strzegących ich pilnie jak oka w głowie, z bagnetami nasadzonemi na karabiny.

W mieszkaniu tem otwarta była tylko mała sionka i pokój, gdzie sprzedawano wódkę. Wszedłszy do sionki i przytuliwszy się do ściany, tak, żeby nie być widzianym przez żołnierzy, Dąbrowski spuścił szybko spodnicę i zarzucił czerwoną chustkę na głowę, w sposób, jak to robią dziewczęta moskiewskie; poczem oddał czapkę i płaszcz koledze, a zobaczywszy stojący w kącie garnek z popiołem, nachylił się, wziął go oburącz i niosąc, zbliżył się ku wyjściu. Doszedłszy do łańcucha żołnierzy, rzekł słodkim głosem: *Propusti słuźiwij!* — a żołnierz będąc pewnym, że to służąca nadzorcy, przepuścił go za linię. Dąbrowski powolnym krokiem szedł dalej, dopóki się nie skrył za przyległemi do więzienia domami— potem rzucił garnek i przyspieszył kroku. Na szczęście zoczył fiakra, którego wezwawszy, kazał się zawieść na rogatkę przeciwległą tej stronie miasta, w której było więzienie.

Ucieczki tej dokonał około godziny pierwszej po południu. W tym miesiącu w Moskwie słońce zachodzi po czwartej wieczorem. Obawiając się, żeby go nie zaaresztowano gdzie w tem mieście,

którego prawie nie znał, zbieg nasz postanowił jeździć nieustannie aż do piątej, zmieniając ciągle fiaków, aby zmylić poszukiwania, gdyby policya wpadła na jego ślad. Jeżdżąc tak po ulicach, zmęczony a przytem znużony niepewnością, obawą i nawałem najróżnorodniejszych uczuć, które mu się tłoczyły w piersi, doczekał się wreszcie zmroku. Wtedy to, kupiwszy kilka bułeczek dla zaspokojenia głodu, udał się według adresu udzielonego mu przez sąsiada w więzieniu, do wskazanej biblioteki.

Przy wejściu do domu zapytał:

— Czy tu się znajduje biblioteka pani N.?

Stróż, słysząc głos mężki, który Dąbrowski zmienić zapomniał, ze zdumieniem popatrzał na niego i mierząc go od stóp do głowy, rzekł:

— Czy ty mężczyzna, czy kobieta?

Dąbrowski przeraził się niezmiernie tem zapytaniem, które go spotkało przy zetknięciu się z pierwszym człowiekiem, do którego przemówił po ucieczce. Spostrzegł nieostrożność swoją, lecz że nie tracił nigdy przytomności i wiedział, czem można zaimponować Moskalowi, zmieniawszy głos obrzucił go według zwyczaju ludowego całym zapasem przekleństw i wymyślań za takie ubliżenie porządnej dziewczynie.

— Nie gniewaj się, *sudarynia*, na mnie; cóż ja winien, że masz głos taki gruby. Idź po tych schodach, *sudarynia*, na pierwsze piętro, drzwi na prawo, tam znajdziesz panią N.

Według danej wskazówki wbiegł Dąbrowski na schody i wszedł do czytelnicy. Zastał panią N.

zupelnie ubraną do wyjścia na ulicę; miała już iść do domu.

— Przychodzę tu prosić panią o pożyczenie drugiego tomu historyi rosyjskiej Karamzina.

— Nie mamy tej historyi w bibliotece — odrzekła spokojnie pani N., zabierając się do wyjścia.

Widząc z odpowiedzi, że pani N. nie była uprzedzona o wizycie, Dąbrowski zbliżył się do niej i rzekł:

— Pani! ja nie jestem dziewczyną; jestem Jarosław Dąbrowski, skazany na śmierć i ułaskawiony do ciężkich robót na lat piętnaście, a dziś zbiegły z turmy... Przychodzę do pani z prośbą o pomoc i schronienie.

Pani N. cofnęła się przerażona.

— Panie... jestem pod dozorem policyi i nie mogę dać panu schronienia u siebie; zgubiłabym i pana i siebie!

— Więc daj mi pani list do jakiego znajomego, któryby mi dopomógł... a nie zdradził — rzekł Dąbrowski.

Pani N. zrazu wymawiała się, że nie zna nikogo, tarła czoło, bladła i rumieniła się naprzemian. Nareszcie wzięła papier, napisała słów kilka i rzekła:

— Idź pan i oddaj kartkę tę według adresu... Może mój krewny dopomóż panu...

Z otrzymaną kartką udał się zbieg natychmiast do wskazanego domu. Wszedłszy do pomieszczenia, zastał tam mężczyznę jeszcze młodego, w któ-

rego ruchach i twarzy malował się jakiś niepokój czy oczekiwanie. Podaną mu kartkę czytał dość długo, przewracał na różne strony, nareszcie odezwał się:

— List ten jest od mojej krewnej, ale nie nie rozumiem, o czym ona tu pisze...

— Ja panu zaraz wyjaśnię. Jestem Jarosław Dąbrowski, zbiegły dziś z więzienia, proszę pana o gościnność, opiekę i pomoc!

Jak piorunem tknięty upadł Moskał na krzesło, stojące obok niego.

Po długim milczeniu i namyśle rzekł wreszcie:

— Panie! mam w domu żonę niebezpiecznie chorą. Nie mógłbym ukryć przed nią, kto jest gościem naszym, bo nie jesteśmy bogaci i szczupłe mamy pomieszkanie, a przytem znane jej są stosunki moje i wszyscy znajomi moi. Gdyby zaś do choroby jej przyłączyła się obawa o męża i dzieci, zabiłbym ją niechybnie. Muszę więc odmówić panu gościnności u siebie... lecz — dodał — nie zostawię pana bez opieki; chodź pan ze mną, zaprowadzę cię do jednego z krewnych moich, studenta, on się zajmie panem.

Moskwa jest miastem czysto tatarskiem co do budowy swojej; mnóstwo w niej placów, ogrodów i rynków, a z tego powodu rozległość jej jest niezmiernie wielka. Dąbrowski jednak ze swym towarzyszem jechać nie mogli z obawy obudzenia podejrzenia w fiakrze, gdyby przyzwolicie ubrany mężczyzna siadł do powozu razem z dziewczką wiejską. Musieli iść pieszo. Przyszli więc już dość późno do mieszkania studenta.

Na szczęście zastali go w domu, ale już był w progu i miał właśnie wyjść do miasta. Dowiedziawszy się o co idzie, był bardzo zakłopotany, miał bowiem gości u siebie — matkę i siostrę, które przybyły z rana tego dnia i którym tymczasowo ustąpił mieszkanie swoje. Właśnie w tej chwili zamierzał wyjść z domu dla odszukania noclegu dla siebie u kogobądź z kolegów.

— Biorę jednak pana w opiekę! — rzekł do Dąbrowskiego; — pójdźmy razem; potrzeba będzie szukać noclegu dla mnie i dla pana.

— Nasamprzód jednak — rzekł mu Dąbrowski — daj mi pan jakie ubranie i kapelusz, bo chodzić w spodnicy nie chcę.

Student wszedł do pomieszkania i wkrótce wyniósł ztamtąd palto i kapelusz.

Pożegnawszy pierwszego przewodnika swego, a rzuciwszy spodnicę i chustkę do rzeki, Dąbrowski oddał się w opiekę studentowi. Poszli szukać noclegu. Lecz los jakby się uwziął: błędzili po całej Moskwie do późnej nocy a nikogo z przyjaciół studenta w domu nie zastali.

— Jak pan sądzisz? — zagadnął go wreszcie student — czy spostrzeżono ucieczkę pańską w ostrogu?

— Wątpię, bo raz tylko na dzień czytają spis więźniów. Zdaje mi się, że nie spostrzegą wcześniej, jak jutro o godzinie ósmej z rana, przy apelu.

— Wybornie więc! Do żadnego hotelu zajść nie możemy, bo wszędzie pytają o papiery, lecz jest tu traktyernia, nazywająca się *Rzymem*,

w której zbierają się włóczęgi z całej okolicy i noc przepędzają za tanie pieniądze. Zajdziemy tam, nikt nas tam nie będzie pytać o paszporta, a jutro z rana matka moja i siostra wyniosą się z mego mieszkania, wtedy przyjdiesz pan do mnie. W Rzymie weźmiemy numer, każemy podać sobie ponczu i przedrzemiemy się do godziny szóstej z rana, a potem wyruszymy dalej. — Gdyby nas schwytano, powiesz pan, że mnie nie znasz, żeś mnie spotkał na drodze i prosił o pokazanie, gdzie można tanio przenocować, a gdym cię zaprowadził do Rzymu, z grzeczności kazałeś podać ponczu, nad którym zdrzemnęliśmy się trochę. Radzę jednak, żebyś nie wiele mówił ze służbą, jakkolwiek bowiem dobrze mówisz po rosyjsku, z akcentu jednak poznać można, że nie jesteś rodowitym Rosyaninem.

Umówiwszy się o dalsze postępowanie, udali się do tej znanej złodziejskiej traktyerni i tam przy ponczu przepędzili noc całą. Nad ranem udali się do pomieszkania studenta, z którego matka i siostra wyjechały już w dalszą drogę.

Tymczasem w ostrogu z rana, do sali zajętej przez więźniów, wszedł nadzorca ze spisem w ręku, i kazał im stanąć w szeregu, do apelu. Dąbrowski skazany był na największą z całej partyi ilość lat ciężkich robót, nazwisko więc jego stało na czele listy.

— Jarosław Dąbrowski! — przeczytał nadzorca. Nikt nie odezwał się.

— Jarosław Dąbrowski! — powtórzył znowu. Milczenie.

— Gdzie jest Dąbrowski? — zawołał przestraszony.

Zadnej odpowiedzi.

Zrobiono alarm, rozesłano ludzi po wszystkich kątach ostrogu szukać więźnia. Nigdzie go nie znaleziono; jak w ziemię zapadł! Nieszczęśliwy nadzorca wysłał bezzwłocznie do oberpoliemajstra i do generałgubernatora raport o ucieczce więźnia. Natychmiast polecono policji przetrząść wszystkie hotele, traktyernie i zajazdy a przede wszystkim traktyernię Rzym i aresztować wszystkich podejrzanych tj. nie posiadających żadnych dokumentów. Przeszło dwustu ludzi, po większej części złodziei i włóczęgów, przyprowadzono do policji. Zbiega między nimi nie było. Zatelegrafowano do Petersburga i do wszystkich stacyj wzdłuż dróg żelaznych, idących z Moskwy; rozesłano dokładny rysopis Dąbrowskiego i wydano polecenie baczego śledzenia wszystkich przejeżdżających. Zbieg znikł jak kamfora.

W parę dni potem odszukał Dąbrowski komisarza Rządu Narodowego na Moskwę i przy pomocy jego dostał papiery jakiegoś dymisyjonowanego porucznika. Widzimy go teraz w wykwin-tnem ubraniu, w pięknem futrze i z pierścieniem brylantowym na palcu. Dąbrowski, znając doskonale Moskali, wiedział, że dla nich powierzchowność i bogactwo jest najlepszym atestatem, starał się więc ubrać jak elegant i człowiek majątny. Potem najął pomieszkanie u jakiegoś popa, żeby być bezpieczniejszym od rewizyj policyjnych, bardzo częstych w tym czasie, i osiadł w Mo-

skwie na czas dłuższy. Uczynił to z wielorakich powodów: naprzód dla tego, żeby tam przecze-kać czas najgorętszych poszukiwań, — następnie, żeby się dowiedzieć o miejscu pobytu żony, — a nareszcie dla porozumienia się z członkami tajemnego towarzystwa *Ziemia i Wola*, które w tym czasie było zupełnie zdeorganizowane przez rząd, wskutek aresztowania najczynniejszych członków.

Wszystkie jednak jego starania, aby się wy-wiedzieć, gdzie znajduje się żona, nie dopięły celu. Za to, kilkakrotnie będąc na zebraniach partyi rewolucyjnej moskiewskiej, wlewał w nią ducha, łączył i wiązał, to co się rozluźniło i roz-zerwało ze strachu przed prześladowaniem.

Aby zmylić poszukiwania moskiewskiej policyi, postarał się za pomocą komisarza Rządu Naro-dowego, że francuskie dzienniki napisały o jego ucieczce i o przybyciu do Paryża. Manewr ten udał się wyśmienicie. Moskale przeczytawszy o tem, poprzestali poszukiwać, łamiąc sobie głowę, w ja-ki sposób więzień dokonał uciezki.

Przesiedziawszy kilka miesięcy w Moskwie, zdecydował się Dąbrowski pojechać do Peters-burga, żeby tam zaczerpnąć wiadomości o żonie. Przed wyjazdem jednak, z niestęchaną śmiało-ścią udał się osobiście do kancelaryi generał-gu-bernatora, prosząc o paszport zagraniczny, — wie-dział bowiem, iż w Moskwie łatwiej mu przyj-dzie go otrzymać, niż w Petersburgu.

Sekretarz kancelaryi, widząc elegancko ubrane-go człowieka i zobaczywszy piękny brylantowy pierścień na jego rękę, z największym pośpiechem

i grzecnością wypełnił blankiet według przedstawionych dokumentów i doręczył go proszącemu.

Mając wszystko, czego mu było potrzeba, pojechał do Petersburga.

Tu najął trzy pomieszkania w trzech różnych częściach miasta, żeby na wypadek jakiego niebezpieczeństwa mieć możność ukrycia się natychmiast. Potem obaczył się z komisarzem Rządu Narodowego na Petersburg i otrzymał od niego trochę pieniędzy, nadesłanych z Warszawy, bo tam już wiedziano nietylko o jego ucieczce lecz i o miejscu pobytu.

Od komisarza Rządu Narodowego dowiedział się, że żona jego wraz z ciotką została wysłana do Ardatowa, lichej mieściny niżgorodzkiej gubernii. Dowiedział się również, że jeden ze znanych dowódców powstańczych, znajdujący się w więzieniu w *ordynanshausie* petersburskim, oczekuje wyroku śmierci. Znając dobrze Petersburg i stosunki miejscowe, polecił Dąbrowski komisarzowi, aby natychmiast uwiadomił Jundziłła, żeby udał chorego. Chorych przestępców umieszczają zwykle w wojskowym szpitalu, z którego ucieczka łatwiejsza. Jundziłł zastosował się do danej mu rady, a w szpitalu spuścił się w nocy z drugiego piętra na ręcznikach i dostał się na swobodę. Potrzeba go było wysłać za granicę jak najprędzej. Dąbrowski oddał mu papiery swoje i paszport zagraniczny, a w chwili, gdy policya zarządziła poszukiwania za tym zbiegiem w Pe-

tersburgu, ten już się znajdował w drodze do Francji.

Powstanie polskie już było upadło. Mnóstwo zbiegów, poszukiwanych przez rząd moskiewski w Polsce, uciekło do Petersburga, szukając środków dostania się za granicę. W oczekiwaniu odpowiedzi od żony, Dąbrowski założył w jednym z pomieszczeń swoich formalne biuro paszportowe. Sam zfabrykował pieczęć państwową i inne, jakie były potrzebne do tego rodzaju dokumentów i zajął się wysyłaniem skompromitowanych za granicę. Paszporty te były tak doskonale podrobione, że ani jeden ze zbiegów nie został zatrzymany.

Porozumiał się Dąbrowski także i w Petersburgu z członkami towarzystwa rewolucyjnego moskiewskiego, udzielił im wiadomości o tem, co się zrobiło w Moskwie, a wlawszy w nich otuchę i energię, po sześciomiesięcznym od chwili ucieczki pobycie w Rosyi, zaczął myśleć o wyjeździe za granicę. Dłuższe zatrzymywanie się w stolicy stawało się coraz niebezpieczniejszem, z powodu bardzo silnej reakcyi, która nastąpiła po upadku powstania polskiego.

Nie chcąc jednak narażać się na niebezpieczeństwo wyjazdu z podrobionym paszportem, zdecydował się Dąbrowski popróbować i w Petersburgu środka, który się udał w Moskwie, to jest otrzymać paszport legalny wprost z kancelaryi generał-gubernatora.

Trudno nie podziwiać niezrównanej odwagi Dąbrowskiego w tym wypadku. Trzeba zważyć,

że on w Petersburgu ukończył kurs nauk wojskowych, w Petersburgu uczęszczał do akademii generalnego sztabu, w Petersburgu miał mnóstwo znajomych... Na każdym kroku mógł być poznanym i już nie przez zdradę, lecz przez najmniejszą nieostrożność czyją, wpaść w ręce czujnej policji. Ale Jarosław wierzył w swoją gwiazdę, i liczył na własną przytomność umysłu, która go dotąd nigdy jeszcze nie zawiodła.

Ubrawszy się elegancko, tak jak niegdyś w Moskwie, w samo południe udał się do kancelaryi generał-gubernatora, przynosząc z sobą dokumenta, dostarczone mu przez komisarza Rządu Narodowego, znowu na imię jakiegoś dywisyonowanego oficera.

Bogate ubranie i dystynkeya wywarły w kancelaryi petersburskiej taki sam wpływ, jak i w Moskwie. Lecz w chwili, gdy urzędnik doręczał mu gotowy paszport, Dąbrowski usłyszał za sobą brzęk ostróg a odwróciwszy się, spostrzegł dawnego koleżę swego, Moskala, byłego adjutanta w sztabie Berga, który przybył do kancelaryi w jakimś interesie. Adjutant wytrzeszczył oczy, obaczywszy człowieka, o którego cudownej ucieczce trąbiły wszystkie dzienniki. Dąbrowski zrobił mu znak mileżenia. Kolega zrozumiał i odwróciwszy się, zaczął przypatrywać się obrazom wiszącym na ścianie, a Dąbrowski spokojnie wyszedł z pokoju, wsiadł do doróżki i popędził do domu. Był on jednak w największej obawie, aby go ów kolega, namyśliwszy się, nie wydał; dość było ski-

nienia, aby go zgubić. Na szczęście dawny kolega był uczciwym człowiekiem...

Przyjechawszy do domu, zastał tam Dąbrowski kartkę od żony, że jest już uwiadomioną o jego ucieczce, i że przygotowała się na zrobienie wszystkiego, co mąż uzna za stosowne. Nie było czasu do stracenia; siadł więc na kolej żelazną i wyruszył na Moskwę do Ardatowa. Nie zatrzymał się jednak w tem mieście, ale pojechał o dwie stacye dalej na wschód, do małego miasteczka, z którego chciał porozumieć się z żoną i nakreślić plan uciezki.

Zamieszkał w hotelu i za pomocą znajomych, z którymi już poprzednio wszedł w porozumienie, polecił żonie, aby dnia następnego udała się na przechadzkę za miasto i tam około rogatki oczekiwała jego przejazdu. Ułożonem było, że skoro ujrzy pojazd, będzie machać chustką, żeby się zatrzymał, i prosić o odwiezienie do najbliższej stacyi.

Nazajutrz z rana wyruszył Dąbrowski z powrotem ku Moskwie. Na ostatniej stacyi przed Ardatowem najał konie nie do Ardatowa, ale o jedną stacyę dalej, a to w tym celu, żeby woźnica wrócił nie do Ardatowa, ale dalej na wschód, coby utrudniło poszukiwania, w razie, gdyby ucieczka pani Dąbrowskiej została wykryta. Nie było jednakże obawy, aby to tak prędko nastąpić mogło, gdyż zesłana z ciotką do tej miejsciny, chociaż była pod dozorem policyi, mieszkała jednak w domu prywatnym.

W pobliżu roгатki oczekiwała tedy pani Dąbrowska, ubrana bardzo skromnie z małym tylko zawiniątkiem w rękę, gdy ukazała się trójka pocztowych koni, wiozących jej męża. Według umowy zaczęła pani Dąbrowska machać chusteczką. Dąbrowski kazał woźnicy zatrzymać konie.

— Czy nie będzie pan łaskaw — zbliżając się rzekła po moskiewsku — odwieść mnie do następnej stacyi?

— Dobrze, moja pani, jeżeli tylko woźnica zgodzi się na to. Co chcesz za odwiezienie tej pani do następnej stacyi? — zapytał.

— Dajcie pół rubla; powiozę za to prędko....

— Dam pół rubla — rzekła pani Dąbrowska siadając do wózka.

Woźnica świsnął na konie, kurzawa otoczyła powóz — a oni oboje, nie śmiąc do siebie przemówić, żeby się nie zdradzić — ściskali się tylko za ręce, unoszeni jak wiehrem po gościńcu.

Na następnej stacyi, gdy woźnica, który ich przywiózł, odjechał, Dąbrowski najał — konie i pod wieczór z żoną, dla której przygotowany miał paszport, był już na stacyi kolei żelaznej. Z tamtąd, nie zatrzymując się już nigdzie, dojechali do Petersburga.

W stolicy nie zatrzymywali się długo; dni kilka jednak minęło na zakupieniu bielizny i ubrania dla żony na drogę, bo wyjechała z miejsca wygnania prawie bez niczego.

Mając doskonałe paszporta, najał Dąbrowski dwa miejsca na szwedzkim statku, płynącym do Sztok-

holmu, a w trzy dni potem odetchnął już pełną pierśią na gościnnej ziemi szwedzkiej.

Wkrótce nadeszło do stolicy doniesienie gubernatora niżgorodzkiego, generała Odińcowa, o zniknięciu pani Dąbrowskiej. Zaczęły się nowe poszukiwania, indagacye i aresztowania, sądzono bowiem, że odkryją ślad Dąbrowskiego.

Dowiedziawszy się o tem z dzienników, już na wyjeździe do Francyi, 15 czerwca 1865 roku, posłał Dąbrowski list do generała Odincowa, uwiadamiając go, że już od kilku dni jest na swobodzie. W krótkości opisał mu w tym liście całą ucieczkę swoją i porwanie żony, prosząc go, aby zaniechał śledztwa, które mogłoby dotknąć niewinnych tylko, gdyż całe owo porwanie on sam załatwił bez żadnych pomocników. W zakończeniu tego pisma dodał, że, „choć ten wypadek nie jest generałowi przyjemny, jako naczelnikowi kraju, to jako człowiek pocieszyć się może myślą, że ta mała jego nieprzyjemność stanie się źródłem szczęścia dla ludzi, którzy już bardzo wiele wycierpieli.“

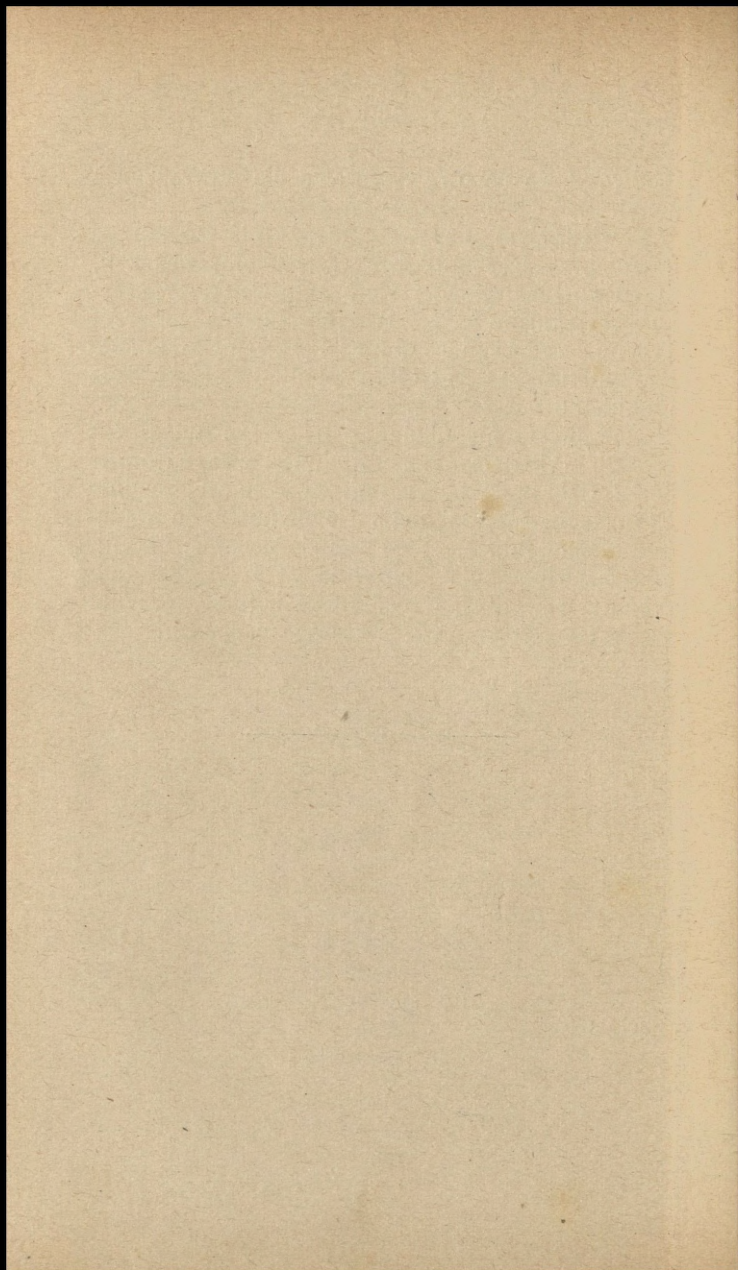
Nikt chyba nie zaprzeczy, że romantyczna ta ucieczka dowiodła niesłychanej odwagi, hartu duszy, pewności siebie i poświęcenia. Któż bowiem ze zbiegów, tak jak on skompromitowanych, wyrwawszy się na wolność a mając nieustannie miecz nad głową, byłby przedłużał i zaostrzał niebezpieczeństwo położenia i, zamiast wydostać się jaknajprędzej za granicę, spędzał tyle miesięcy na organizowaniu rewolucyjnych spisków moskiewskich, na urządzaniu biura paszportowego

i odważył się na ową wyprawę dla wykradzenia żony!

Powiedziałem na wstępie, że nie znałem go dawniej, — lecz gdy w czasie wojny pruskiej, przed komuną, przeczytałem jego wojskowy artykuł, krytykujący czyny i rozporządzenia generała Trochu, tego blagiera na wielką skalę, — musiałem mu przyznać nietylko talenta wojskowe, lecz i genialne pomysły.

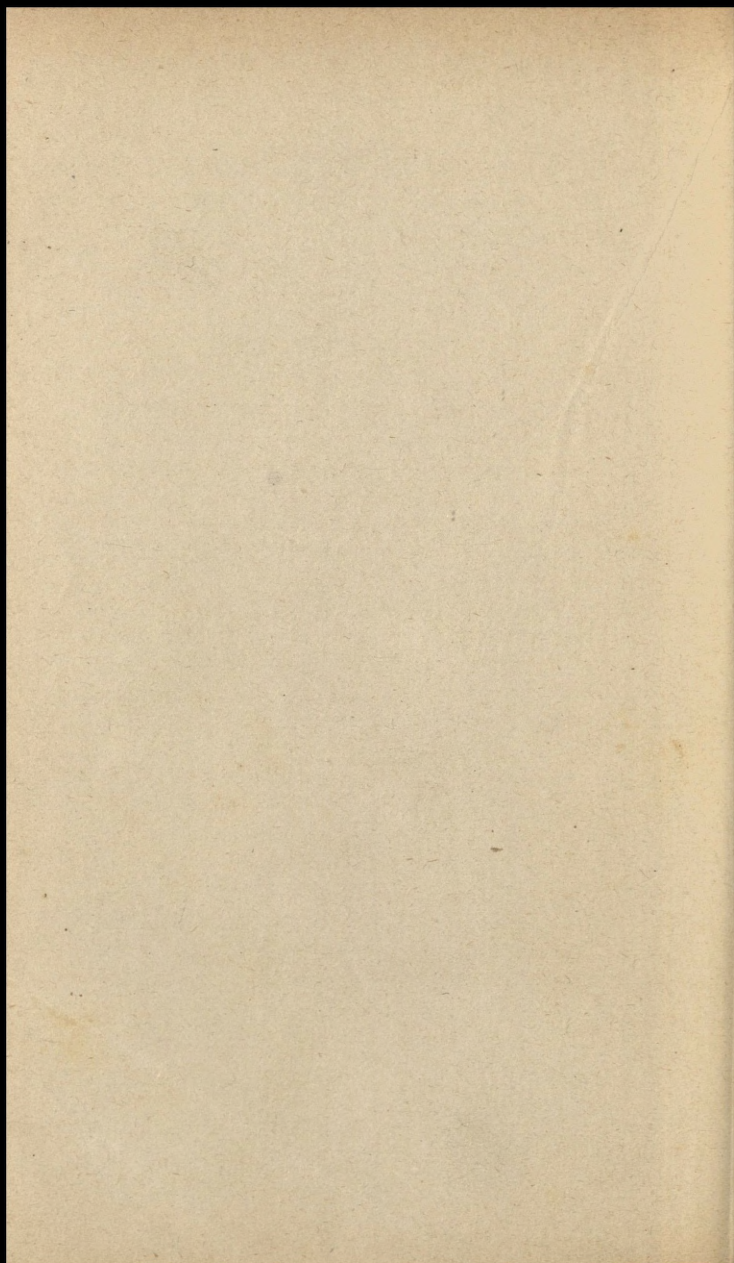
Niezaprzeczenie ubolewać należy, że umysł tak wysoko wykształcony, że zdolności swe ogromne oddał Dąbrowski na usługi w domowej wojnie Francuzów, — lecz godzi się podnieść, że w całym zachowaniu się jego, aż do ostatniej chwili, gdy francuska kula pozbawiła go życia, — spotykamy zawsze godność i szlachetność, przynoszącą zaszczyt krajowi, z którego pochodził.

BIBLIOTEKA
JÓZEFA MADERA



XIII.

ALEKSANDER CHMIELEWSKI.



Są ludzie, których życie całe od kolebki do grobu jest czyste jak łaża, a zasady twarde jak stal, dla których miłość kraju nie jest dekoracją odświętną, lecz codziennem ubraniem, nieskalanem najmniejszym odstępstwem nawet w rzeczach bagatelnych. Do takich należał Aleksander Chmielewski.

Chmielewski urodził się w roku 1814 w powiecie szawelskim, na Żmudzi, we wsi Dowbaliżki, z rodziny niezamożnej, szlacheckiej. Zaściankowa szlachta na Litwie zawsze była skarbnicą, z której ojczyzna czerpała najzdrowsze swe soki, najzacieńszych i najlepszych swych synów, gotowych poświęcić dla niej krew swą i mienie, i nie zapominających, że ojczyzna dając szlachcie pewne przywileje, włożyła na nią święty obowiązek żyć dla niej i umierać. Tak też pojmował Chmielewski przywilej szlachecki. Ukończywszy szkoły w Krózach, tych Krózach, które rozlewały światło nauki na Żmudzi, Aleksander, mając 16 lat, zaciągnął się w szeregi powstania listopadowego pod dowództwo Ezechiela Staniewicza i od był w oddziale jego kampanię 1831 r.

Po upadku powstania brak środków do dalszego kształcenia się zmusił Chmielewskiego do wstąpienia do służby w kancelaryi. Sumiennosc, praca, piękny charakter, niezwykle rozgarniony umysł, zwolna utorowały mu drogę. Został sekretarzem marszałka szlachty powiatu szawelskiego, sekretarzem izby cywilnej w Wilnie, a z tej posady 1842 r. został powołany do służby przez generał-gubernatora, z początku jako sekretarz, następnie jako urzędnik do szczególnych poleceń. Na tej ostatniej posadzie zostawał do roku 1855. Urzędnik przy trzech satrapach w Wilnie! Jakkolwiek zakres czynności jego był ograniczony do spraw cywilnych, jednakże kto tylko wie, co to jest służba rządowa w carstwie, ten się zapewne zadziwi, że o tym człowieku z taką czcią mówimy. Jakiegoż to hartu duszy potrzeba, aby wyjść czystym z tego błota, które służbą rządową w Rosyi się nazywa!

Człowiek wyższych zdolności, pracowity, ścisły w wypełnianiu obowiązków, pozyskał nie tylko uznanie swoich zwierzchników, lecz nawet prawdziwą życzliwość ostatniego z nich, generała *Nazimowa*. I ten to wzorowy urzędnik rządu moskiewskiego, nie tylko nie splamił się żadnym dwuznacznym postępkim, ale nawet i cień podejrzenia nie padł nigdy na jego przekonania, jako obywatela i Polaka.

Cichy i łagodny, lecz charakteru niezłomnego, raczej zamknięty w sobie niż wymowny, w kole bliższych znajomych swoich szerzył on zawsze zasady, których ścisłe sam przestrzegał przez ca-

łe życie, godne obywatela, kochającego swój kraj nadewszystko.

W 1855 r. wakował w gubernii kowieńskiej urząd najważniejszy, bo prezesa izby cywilnej. Zwykle urząd ten zajmowali obywatele zamożni, z dawnych rodów, a znani ze światła, zasług i z charakteru. Koledzy szkolni Chmielewskiego, wtedy już poważni obywatele, podnieśli jego kandydaturę. Trzeba wiedzieć, że szlachta litewska, a przedewszystkiem żmudzka, jest bardzo konserwatywna; tam każdy swój i każdy znany, a rodzinne stosunki i odwieczne sejmikowe partye, także jeszcze istniały. Przeszło trzystu zamożnych obywateli głosowało i to na każdego kandydata przez oddzielne wota, białe i czarne. Wielkiej potrzeba odwagi, ażeby ubiegać się tam o urząd z wyboru, i wielkich wpływów, ażeby znaczną większość uzyskać. Chmielewski został wybrany prawie jednomyślnie. Chmielewski, urzędnik, nie mający ani piędzi ziemi, zostaje wybranym przez szlachtę od wieków osiadłą, zamożną — i nikt nie nazwał go obcym. Konserwatyzm szlachty litewskiej gruntuje się przedewszystkiem na przechowaniu zasad narodowych, uszanowaniu dla zasługi i rozumu. Wybór Chmielewskiego, jeżeli świadczył wymownie o jego zdolnościach i charakterze, to jest zarazem piękną kartą w dziejach wyborów szlacheckich.

Chmielewski nie zawiódł zaufania współziomków; z całą sprężystością i znajomością prawa zajmował on przez lat ośm tę ważną posadę. Gdy w Kownie poruszono kwestyę włościańską, Chmie-

lewski, nie posiadając własności ziemskiej, z taktem cechującym go zawsze, unikał namiętnych rozpraw. Lecz wpływ jego jasnego umysłu i szarych zasad wciąż się szerzył pomiędzy jego dawnymi kolegami i znajomymi, tak, iż powoli przychodzili do jego przekonania, że rozwiązanie kwestyi włościańskiej jest najważniejszą sprawą narodową.

W 1858 r. Chmielewski nie podzielał entuzjazmu szlachty, z jakim ta witała Aleksandra II, a w roku 1860 brał czynny udział w redakcyi szczerego adresu.

Zbliżyły się też pamiętne lata... Ożywił się duch narodu, następnie wybujał — i smutną katastrofą zburzył długoletnie prace ludzi cichych, lecz świadomych celów, do których dążyli.

W Kownie, jeszcze w początkach 1861 roku, za pozwoleniem miejscowego gubernatora, zebrał się zjazd marszałków komitetu do spraw włościańskich i wszyscy *pośrednicy* — razem przeszło 50 osób. Wspólnie przejrzeni oni ustawę włościańską i nakreślili program jednomyślnego działania. Co miesiąc odbywały się zjazdy w powiatach, a potem w Kownie, gdzie już z całej gubernii zbierano się dla wspólnego porozumienia. Na zjazdach tych, licznie uczęszczanych przez obywateli, dokonano wyboru ludzi posiadających zaufanie w swoich okolicach. Początkowo, oprócz marszałka, wybierano z powiatu dwóch obywateli, następnie dodano jeszcze jednego z tak zwanej inteligencji, nie posiadającej własności ziemskiej. Ze zjazdu gubernialnego wybierano do Wilna,

oprócz marszałka gubernialnego, czterech przedstawicieli, a ponieważ prowincya miała sześć gubernij, zjazdy prowincjonalne z 24 składały się osób. Zjazd ten, na czas między dwoma zebra- niami, poruczał zarząd spraw krajowych komiteto- wi z sześciu osób złożonemu.

Gdy wybuchło powstanie, Wydział uznał za konieczne iść za ogólnym narodowym prądem. Potrzeba było w województwach wybrać ludzi znanych z energii i powszechnego zaufania. — W Kownie najwybitniejszą postacią był Chmie- lewski. Wezwano go do Wilna i zamianowano wojewodą żmudzkiem. Chmielewski, wezwany do tej czynności, głęboko się zamyślił, lecz pojmu- jąc, że nadeszła chwila, w której wszelkie waha- nie winno ustąpić mężkim czynom, odrzekł: „Niech się dzieje wola boża!“ Przystąpiono też zaraz do mianowania naczelników powiatowych, a żaden z wybranych nie splamił się brakiem obywatel- skiego poświęcenia.

Chmielewski wrócił do Kowna, do ciężkiej pra- cy. Wszystkiego tam brakło — a jednak w ko- wieńskiej gubernii lepiej szły rzeczy, aniżeli gdzie- indziej, bo cztery miesiące ciągłego niebezpie- czeństwa ani na chwilę nie złamały energii Chmielewskiego. Miał on dzielnego pomocnika w Napoleonie Nowickim, niegdyś towarzyszu Konarskiego, starcu, który lat 20 przebył w Sy- beryi, a po powrocie, gdy spostrzegł, że go oszczę- dzają, zaprotestował przeciwko pominięciu go w pracy narodowej, mówiąc, że „spoczynek dla

nas tylko w grobie.“ — Bóg mu dozwolił na własnej ziemi ziożyć kości.

Chmielewskiego, po zjeździe lutowym w Kownie, wezwał generał Nazimow do Wilna, lecz go nie aresztował; — pozwolił mu wrócić, chociaż 12 obywateli z gubernii kowieńskiej aresztowano, osadzono w Dynaburgu i poroższano do Rosyi i na Syberyę. W liczbie tej był i syn prezesa, dr. Konrad Chmielewski. Młodszy syn, dzieciak, ze szkół poszedł do oddziału.

W lipcu 1863 r. wysłano Chmielewskiego do gubernii Ufimskiej, za Ural. Lecz w 1864 roku wrócono go żandarmami do komisji śledczej kowieńskiej. Można sobie wyobrazić, jakie to uczucie jeść dni kilkanaście bez przerwy dniem i nocą, aby stanąć przed indagacją murawioskich siepaczy!

Położenie Chmielewskiego w komisji było bardzo trudne, znaleziono bowiem w obozie papiery, o których ludzie najbliżsi Chmielewskiemu przyznali, że są pisane jego ręką. Tylko świadectwo rosyjskiego generała, który przedstawił pisarza, naśladowującego do niepoznania każde pismo, zeznania członków wydziału litewskiego, że wojewodą w Kownie był Lubomir Gadon (zbiegły za granicę), a przedewszystkiem własna zimna krew i przytomność umysłu ocaliły Chmielewskiemu życie. Skazano go na mieszkanie do Tomsku, z pozbawieniem niektórych praw. — W przejeździe przez Petersburg, dzięki zacnemu Suwarowowi, wypoczął Chmielewski kilka miesięcy. Pragnął on tam doczekać ukończenia spra-

wy członków wydziału litewskiego i zobaczył się z tym, który na głowę jego włożył obowiązek wojewody kowieńskiego. Chmielewski witając go ze łzami, rzekł: *Nunc dimitte domine servum tuum.*

W Tomsku, dokąd przybyła żona z dwoma małymi synkami, gdzie mieszkał też jako wygnaniec syn najstarszy, Chmielewski znalazł pracę, był opiekunem, doradcą i jakby patriarchą całej polskiej kolonii.

W 1873 r. pozwolono mu wrócić do Warszawy a następnie do Kowna.

Gdy młodsi synowie pokończyli szkoły, Chmielewski zamieszkał w folwarku żony, w powiecie kowieńskim, w Borku, pod Wendzigołą. Tam też i umarł 13 kwietnia 1882 r.

Zjazd na pogrzeb nie był liczny. Lud tylko wiejski, z okolicznych wsi zebrany, uczcił pamięć tego, który tak ten lud ukochał. Słowa kapłana, proste a rzewne, wskazały pozostałym drogę prostą obowiązku, którą szedł zmarły...

Wielu w powstaniu naszym było ludzi rozumu i nauki, zacnych ojców rodziny i wiernych synów ojczyzny, lecz nie było drugiego człowieka, któryby w takiej harmonii łączył te wielkie zalety, jak Aleksander Chmielewski. Zdobył on wybitne stanowisko żelazną pracą i wytrwałością, a nie zawahał się ani na chwilę przed ofiarą wszystkiego. Sam surowy dla siebie, jasno pojmujący usterki i błędy, — dla ludzi błędzących miał serce wyrozumiałe.

Doświadczył on najboleńszego zawodu w życiu, bo ci, dla których w części cierpiał, nie umieli uszanować siebie, opuszczając Chmielewskiego w ostatnich chwilach jego życia. Bolało zawsze jego serce, ale głosu skargi i zwątpienia nikt nie słyszał.

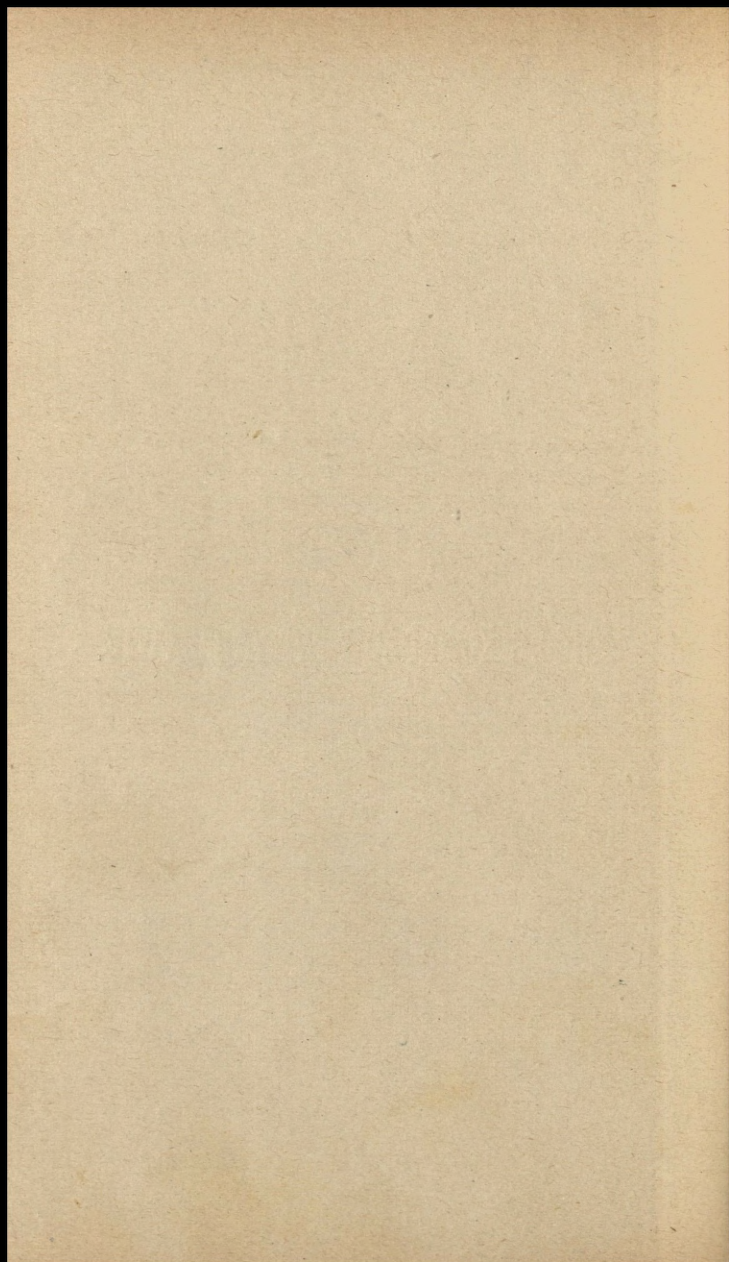
W rodzinnem też życiu nie umiemy znaleźć słów uwielbienia dla tego stosunku, jaki łączył ojca z synami. Syn czterdziestoletni, z wyrobionym charakterem i zdobytem własną pracą stanowiskiem, zawsze ojca całował w rękę, ojciec go do piersi przyciskał — i to z takim uczuciem, jakby się witali po długim niewidzeniu. A taka zawsze na ich twarzach malowała się miłość i jedność, że i patrzącym rosło serce na ten widok naszego dawnego polskiego obyczaju i polskiej cnoty.

Nad grobem tego zacnego patrioty śmiało można umieścić epitafię:

Oto wzór dla was, pozostali!

XIV.

ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW W WARSZAWIE.



Opuszczeni przez monarchów i ludy Polacy, idąc za wewnętrznym natchnieniem, szukali pomocy u Boga, przed którym stanęli z pieśnią, modlitwą i gotowością do wszelkich ofiar. Kierunek ten musiał wprowadzić duchowieństwo na czoło wypadków, bo gdy sprawa oparła się o Boga i kościoły, świątynie musiały się dla niej otworzyć, a duchowieństwo nie mogło odepchnąć narodu od wrót świątyni i musiało go w niej przytulić. Łączność kościoła z narodem wytworzyła ten długi, piękny i nadzwyczajnie poetyczny poemat, jakiego jeszcze dzieje nie widziały nigdy: poemat walki siły fizycznej z siłą moralną, z wiarą, miłością i poświęceniem, w której każda przegrana wzmagała siłę zwyciężonego, każde męczeństwo wlewało nowe życie. To też kapłani polscy będąc kością z kości, a krwią z krwi nieszczęśliwego ludu, umieli czuć, jak czuł kraj cały, a lud czcił i kochał kapłanów, którzy zrozumieli posłannictwo swoje. Jednym z takich był arcybiskup warszawski, Antoni Melchior Fijałkowski. Pogrzeb tego ukochanego pasterza obchodziła Warszawa 10 października 1861 r.

Dzień ten stał się nietylko dniem oddania czei i hołdu wielkim zasługom zmarłego, ale i dniem gorącego zbratania się wszystkich wyznań i stanów stolicy. Są czasy w życiu narodów, w których jedna chwila podnosi, kojarzy i staje się źródłem wielkich faktów. Takimi momentami w Polsce były chwile smutku i żałoby. Krew pomordowanych i ich jęki stały się zdrojem ożywczym narodu. Trumny i groby nie upadek ducha, ale wzrost jego powodowały... O! potrzeba było widzieć, trzeba było patrzeć na wypadki, przesuwające się w tym czasie, oddychać ówczesną atmosferą i być świadkiem wewnętrznego odradzania narodu, aby pojąć całą wartość, całą wspaniałość i wzniosłość tych chwil!

Wskutek tego stanu rzeczy w Warszawie na wniosek Płatonowa i Wielopolskiego dnia 14-go października 1861 r. wprowadzony został z całą surowością stan oblężenia. Nie zdziwiło to i nie przstraszyło ludności warszawskiej, bo mieszkańcy już byli przyzwyczajeni do aresztowań bądź to za noszenie pasów, konfederatek i krawatek przez rząd nie aprobowanych, bądź za śpiewy; przywykli do potrącań na ulicy przez żołdactwo, do bicia batami przez kozaków, rozpędzających wszelkie zebrania czy to kupujących i sprzedających, czy rozmawiających z sobą znajomych; narreszcie przywykli do stania wobec łuf karabinów niosących śmierć mieszkańcom stolicy nieszcześliwej Polski.

Cóż mógł więcej przynieść stan oblężenia? To też ogłoszenia namiestnika, generał-gubernatora

i ober-policmajstra, z których każdy groził ludności aresztem lub śmiercią, przyjęto zupełnie obojętnie. Nikt się nie trwożył i nie lękał; mieszkańcy stolicy byli dobrej myśli i gotowi byli znieść raczej prześladowanie i śmierć, niż zejść z drogi narodowej, na której stanęli wszyscy, co się czuli Polakami. Pomimo patrolów, co sto kroków jeden za drugim postępujących, ruch publiczności na ulicach był ten sam, co dnia poprzedniego. Kościoły były napełnione pobożnymi i rozlegał się wszędy śpiew religijno-narodowy pomimo kar, któremi grożono. Ani najmniejszego upadku na duchu, twarze spokojne, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo nie groziło miastu. Wszyscy byli oswojeni z uciskiem i prześladowaniem, a głęboko przeświadczeni, że lud polski nie może zmienić postępowania. Nie już nikogo nie mogło zatrwożyć.

Na placach biwakuowało wojsko, teatr zajęli żołnierze. — Na każdym kroku generał, oficer, kozak, czerkies, policyant lub żandarm, spoglądali wyzywająco, bo nastąpiło ich panowanie, bo im wolno było robić, co się im podobało: ludność cała, jej mienie i życie, były w ich ręku, mogli aresztować, mogli bić, mogli zabijać. Któż z nich zdolnym był pojąć, że w pewnych epokach życia społeczeństw ruch narodowy wypływa z natury rzeczy, z usposobień całego narodu, że jest potrzebny, że jest konieczny, że uczucie narodowe przepełniało istotę każdego, kto w tym czasie żył w Warszawie, w Królestwie Polskiem lub na Litwie. A uczucie to było tak silne, tak zaraźli-

we, że nietylko Polacy, lecz żydzi a nawet Niemcy przyjmowali udział w manifestacjach, w objawach zewnętrznych tego, co się działo w duszy nieszczęśliwego ludu, który zatęsknił za utraconą swobodą, tem najwyższem dobrem na ziemi. Manifestacye te były narodowe, a nie rewolucyjne, nie było więc żadnego rozumnego powodu do ogłoszenia stanu oblężenia. Wynaleziono więc upragniony powód w chorągwiach, w oznakach narodowych i w adresach, proszących o autonomię narodową!...

Ludziom stojącym zdala od tego ruchu, nie łatwo podnieść się w duchu i dostroić do tego moralnego usposobienia do tej odwagi i siły, które naród żyjący w niewoli, w ucisku i więzach, czynią duchowo wolnym, które tysiące ludzi obojej płci, wszystkich stanów, wyznań i różnic wieku, dzieci i starców, prostaczków i mędrców, bogaczy i nędzarzy czynią gotowymi do wystawienia każdej chwili otwartej i bezbronnej piersi na strzały i ciosy wroga, za wiarę i nadzieję w bliską, szczęśliwszą przyszłość narodu.

Nieprawdę mówili ci, co pisali o nieporządkach, anarchii i nadużyciach naruszających bezpieczeństwo i spokojność publiczną. Jeżeli jakie były, to źródła ich nie w ludności, lecz w braku taktu istniejącej władzy i w bezładnych jej rozporządzeniach szukać należy; nigdy nie miała ona ani planu, ani celu, konsekwencji ani logiczności w postępowaniu i w wykonaniu. Wszystkie niby to reformy zdawały się być tylko na pozór przedsiębrane i na chwilowy efekt obrachowane; każdy

środek był dobry, byle władza na zewnątrz zdawała się usprawiedliwioną, a cała wina tak zwanych nieporządków spadała na lud.

Ale kto badał istotę ducha ludzkiego, kto się zastanawiał nad wielkimi objawami wewnętrznego życia narodów, ten wie: że chwile powszechnego zapału i entuzjazmu, chwile rozplamienia się serc jednym świętem uczuciem, chwile zjednoczenia się wszystkich umysłów ku jednemu wielkiemu celowi, są z natury swej nieprzyjemne i nieprzystępne wszelkim anarchicznym, nieszlachetnym i zbrodniczym dążnościom i uczynkom. Gdzie sto pięćdziesiąt tysięcy ludu obchodzi z takim wzorowym porządkiem, z taką spokojnością i uroczystością pogrzeby, nabożeństwa i pamiątki narodowe, jak to w ciągu 1861 roku po trzykroć stało się w Warszawie, tam tylko złość i zła wiara oskarżać mogą naród o publiczne nadużycia, o przestępstwo wicherzenia, o skłonność do anarchii i o samowolność.

Ogłoszenie więc stanu oblężenia w Warszawie i w Królestwie, zapowiedziane oddawna, chociaż istniejące rzeczywiście od lat wielu, nie mogło być środkiem utrzymania publicznego porządku, lecz nowym tylko, pozornym aktem usprawiedliwienia przed Europą systemu ucisku, przyodzianego w szatę liberalnych wewnętrznych ulepszeń i reform, które życie narodu zadowolnić nie mogły, bo półśrodkami nie można ustalić nowego porządku rzeczy. Stan więc podbudzenia, stan nerwowy całej polskiej społeczności musiał trwać

dalej, pomimo wszelkich materyalnych usiłowań wrogiego rządu.

W ogłoszeniu stanu wojennego czytano: a) „Zabrania się wszelkiego rodzaju zgromadzeń i schadek na ulicach i placach, nawet w niewielkiej liczbie ludzi. W razie nieusłuchania policyi, zabrani rozproszeni będą natychmiast siłą oręża, a winni zostaną aresztowani; b) wszelkiego rodzaju manifestacyj i demonstracyj politycznych, jeżeli na takowe władza wojskowa nie udzieliła pozwolenia na piśmie; c) śpiewania w kościołach i zewnątrz tychże, zabronionych hymnów i modlitw przez kościół zabronionych.“

„W razie oporu, siła wojskowa i policya, zmuszone użyć oręża, nie ulegają odpowiedzialności za następstwa, a uznaniu wojennych naczelników pozostawia się użycie wszelkich środków policyjnych, jakieby uznali za potrzebne dla przywrócenia i utrzymania porządku.“

Przy znanym braku taktu policyi i przy wielkiej ochocie żołnierzy popróbowania, czy nie da się za pomocą grozy dopiąć uspokojenia ludności, można było przewidzieć, że lada chwila nastąpi starcie wojska z ludnością.

Na drugi dzień po ogłoszeniu stanu wojennego w Warszawie i w Królestwie całym, przypadła rocznica śmierci Kościuszki. Cała ludność Warszawy udała się do kościołów, a wszystkie sklepy od rana były zamknięte, pomimo ogłoszenia oberpolicmajstra plakatami w nocy, że kto zamknie sklep, zapłaci sto rubli kary i dostanie egzekucję.

We wszystkich kościołach zaczęło się nabożeństwo żałobne, a najuroczystsze w katedrze, w kościele Św. Krzyżkim, Bernardynów i Ewangelickim. W katedrze celebrował ksiądz Benjamin Szymański, biskup podlaski; tam też zebrała się największa ilość ludzi. Po skończeniu mszy zaczęto śpiewać: „Przed twe ołtarze“ i inne hymny przez kościół dozwolone. Wtenczas, na rozkaz generała Gerstenzweiga, któremu hr. Lambert, namiestnik ówczesny, pozwolił robić co uzna za stosowne, wojsko otoczyło kościoły: Św. Krzyża, Katedrę, Bernardynów i Ewangelicki i zamknęło wszystkie wyjścia. Lud, chociaż dowiedział się, że kościoły otoczone, kończył swe śpiewy najspokojniej.

Po skończonem nabożeństwie u Św. Krzyża, gdy przekonano się, że główne wyjścia są obstawione i wojsko wypuszcza tylko kobiety, mężczyźni zaś zatrzymuje, lud wyszedł bocznymi drzwiami na ogród a ztamtąd różnymi przejściami wydostał się na przyległe ulice. Dowiedziawszy się, że lud wychodzi tylnymi drzwiami, wyrąbało wojsko boczną bramę kościelną, żeby dostać się do środka klasztoru, lecz było już zapóźno i zdołano zaarrestować tylko czterech księży.

Tymczasem w Katedrze i u Bernardynów nie mogąc wyjść swobodnie z powodu ścisłego otoczenia, lud nie wychodził wcale z kościoła i zostawał w oblężeniu.

Równocześnie ulicami puszczono kozaków i patrole, po większej części bez oficerów, dla rozpe-

dzenia ludności i aresztowania, kogo uznają za potrzebne.

Te ruchome kolumny puściły się ulicami i pędziły przechodzących przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i przyległe im ulice, oraz Stare Miasto, szarżując końmi na bezbronnych, bijąc kolbami, dzidami i tratując ludzi. Wszystkich ubranych w żałobę, czamarki i konfederatki, tak mężczyzn jak i kobiety, aresztowano i wleczono do więzień. Stan ten trwał od 11 z rana aż do wieczora. W Ewangelickim kościele zbito duchownego tak, że stracił zmysły.

Po oczyszczeniu wreszcie ulic z ludzi, zamknięto wojskiem Krakowskie Przedmieście obok Bernardyńskiej ulicy, ulicę Senatorską i Stare Miasto, i jeszcze bardziej ściśnięto zamkniętych w kościele Katedralnym i Bernardyńskim.

O godzinie dziewiątej wieczorem posłano do Katedry parlamentarza, ażeby lud tam zamknięty zdał się na łaskę, czemu jednak odmówiono.

O godzinie trzeciej po północy nakazano wojsku brać katedrę szturmem.

Żołnierze weszli do kruchty. Zastawszy kratę, dzielącą kościół od kruchty, zamknęta, zaczęli ją łamać. Po długich usiłowaniach i przekleństwach, wywaliło wojsko kratę i wpadło do kościoła. Tu się zaczęły oburzające sceny.

Lud, klęczący przed ołtarzami, nie chciał wychodzić z kościoła, żołdaci więc rozsypali się po kościele, zaczęli płazować pałaszami, bić kolbami i nahajkami obdzierając z kosztowności, pieniądze i sukien, nie zważając na płeć, wiek i stan;

wywrócili wielki katafalk od pogrzebu arcybiskupa stojący, wywrócili tron arcybiskupi. Krew poranionych mężczyzn i kobiet zbroczyła posadzkę kościoła. Poczem wypuściwszy po części obdar- te i pobite kobiety, wojsko wyprowadzało ma- mi oddziałami mężczyzn i między nimi księży, a bijąc i kolbując, pędziło ich do cytadeli. Na- stępnie kościół przetrząsnęto aż do dachu.

Do kościoła Bernardynów wdarli się żołnierze przez klasztor i sprawili się tak samo, jak się stało w katedrze. Kozacy zrabowali wiele srebr- nych wotów i usiłowali oderwać skarbonkę; to im się jednak nie udało. Zbito i tu jednego księ- dza przed wielkim ołtarzem a kobiety okładano batami, kładąc na ławki.

We środę, 16 października, kościoły te przed- stawiały smutny widok. Wszędzie szmaty podar- tej odzieży, ławki i podłoga zanieczyszczone śla- dami krwi, świadczyły, że domy boże, domy do modlitwy przeznaczone, sprofanowano.

Wojsko cofnięto na dawne posterunki. Aresz- towano więcej niż trzy tysiące osób, tak, że gdy już nie było miejsca w cytadeli i w okolicznych warowniach, zapchano więźniami koszary Aleksan- drowskie. Około południa zaczęto wypuszczać z cytadeli starców i dzieci, lecz przeszło dwa ty- siące zostało w więzieniach. Więźniom, którzy już wprzód przez dwadzieścia godzin byli w ko- ściele zamknięci, jeść nie dawano; dopiero po południu pozwolono sobie kupić żywność od soł- datów i zaczęto więźniów sortować na kategorie. Do nocey, na rozkaz hr. Lamberta wypuszczono

jeszcze paręset osób z twierdzy a zatrzymano głównie akademików, studentów i rzemieślników, obiecując im, iż będą oddani w żołdacy.

Między zbitymi i poturbowanymi w kościołach ludźmi znajdowało się wielu cudzoziemców, a między nimi jeden Anglik, George Mitchel, który tak był zбитy okrutnie, że zaniesiono go do domu ledwo żywego.

Zgromadzona kapituła archidyecezyi zaprotowała uroczyscie przeciw popełnionym gwałtom, wydając 16 go października podpisany przez administratora archidyecezyi, ks. Białoobrzeskiego, rozkaz zapieczętowania Katedry i kościoła Bernardynów, jako sprofanowanych przez żołnierzy i zbuczonych krwią, — a zarazem zamknięcia wszystkich kościołów w Warszawie — z obawy, aby gromadzącego się w nich na modlitwę ludu nie narażać na nowe gwałty.

Ale wróćmy jeszcze do wypadków dnia poprzedniego.

Straszny dramat dnia tego jeszcze się nie skończył. Ostatni akt jego odbył się na zamku.

Z rana 15 października toczyły się tam ożywione narady, jak postąpić należy. Lambert obawiając się skandalu, był przeciwnym oblężeniu kościołów. Gerstenzweig i Chrułow nalegali. Wskutek tego Lambert nakoniec ustąpił. O tej decyzji doniesiono telegrafem do Petersburga, ale tam nikt nie wiedział co robić, więc zapytanie: czy się zgadzają na to — zstało bez odpowiedzi. Tymczasem kościoły napełni-

ły się i rozpoczęło się nabożeństwo. Lambert jeszcze się wahał, lecz gdy Gerstenzweig całą odpowiedzialność wziął na siebie, a nadto Lambert dostał krwotoku, Gerstenzweig i Chrulow, poparci przez Platonowa, poczęli rozpędzać ludzi na ulicach i zarządzili oblężenie kościołów. Zamknięcie się publiczności w świątyniach popsuło plany Gerstenzweiga; zbliżyła się noc, wreszcie i północ nastąpiła, a z Petersburga na zapytanie „co robić“ żadnej odpowiedzi nie było. Wtedy to Gerstenzweig postanowił siłą wdrzeć się do kościołów i całą zebraną tam ludność zapędzić do cytadeli. Jak się to działo, już widzieliśmy.

Rano, 16 października, hr. Lambert, dowiedziawszy się szczegółowo o tem, co zaszło, był bardzo niezadowolony i wezwawszy generała Łowszyna, kazał mu wypuścić z więzień jak najwięcej ludzi. Łowszyn zażądał rozkazu na piśmie i otrzymał go. Gdy Gerstenzweig dowiedział się o rozkazu, rozgniewał się niezmiernie; pojechał do cytadeli, zawrócił nazad część wypuszczonych więźniów, zbęształ Łowszyna, a odebrawszy od niego otrzymany rozkaz pisemny, pojechał do zamku. Tam zaczął wyrzucać Lambertowi takie postępowanie, nazwał je słabością, a nawet zdradą. „Oddałeś mi całą sprawę w ręce, jam obiecał odpowiedzieć za nią, a ty dajesz rozkaz wypuszczenia więźniów. Słabość twoja, wahanie się i niedotrzymanie obietnicy, przekonywa mnie, że jesteś podłym“.

Świadkiem tej rozmowy był Chrulow. Lam-

bert mocno obrażony i rozgniewany wyzwiał Gerstenzweiga na pojedynek i chciał, aby rozprawa między nimi odbyła się natychmiast. Na przedstawienie jednak Chrulowa o niestosowności takiej rozprawy, zgodzono się na amerykański pojedynek: miał się zastrzelić ten, który wyciągnie węzełek. Chrulow wyjął chustkę i zawiązał jeden koniec. Dwaj przeciwnicy, dawniejsi przyjaciele, chwycili za końce — i gwałciciel świątyń, Gerstenzweig, wyciągnął wyrok śmierci, który miał sam na sobie wykonać.

Błądy i zmieniony wrócił do pałacu Brühlowskiego. Około południa przybył do niego generał Pauluzzi, z żądaniem, aby polecił wydać słomy do cytadeli dla uwięzionych, których bez pokarmu i posłania w zimnie pozostawiono. Pora była obiadowa. Gerstenzweig wysłuchał Pauluzziego, a powtarzając: „słoma“, „cytadela“, wyszedł do drugiego pokoju i tam dwa razy do siebie strzelił. Uczynił to tak niezręcznie, że się męczył jeszcze prawie trzy tygodnie, nim wyzionął ducha.

Siostry Miłosierdzia. Polki, pielęgnowały samobójcę aż do ostatniej chwili jego życia. —

Znałem generała Gerstenzweiga osobiście i widziałem się z nim w Petersburgu wtedy, gdy generał otrzymał nominację na generał-gubernatora Warszawy.

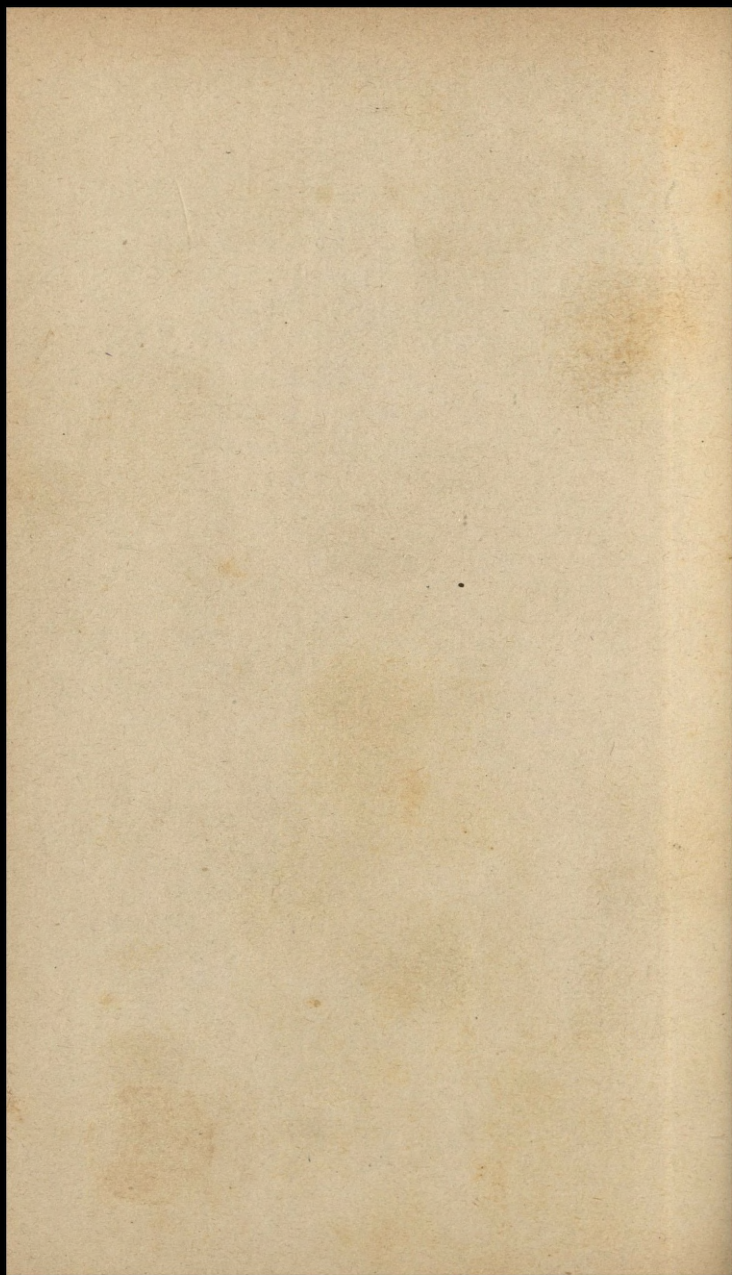
Bardzo ciekawie rozpytywał mnie o to, co się działo w Królestwie i na Litwie. Usłyszawszy zdanie moje, że ruch ludowy nie da się zaspokoić byle jaką koncesyjką, lecz że potrzebne są

reformy daleko sięgające, ważniejsze, aniżeli te, które dotychczas obiecywano, odrzekł:

— Oni tam nie wiedzą, jak należy postępować z taką niespokojną ludnością. Ja dam sobie z nią radę, skoro przybędę do Warszawy.

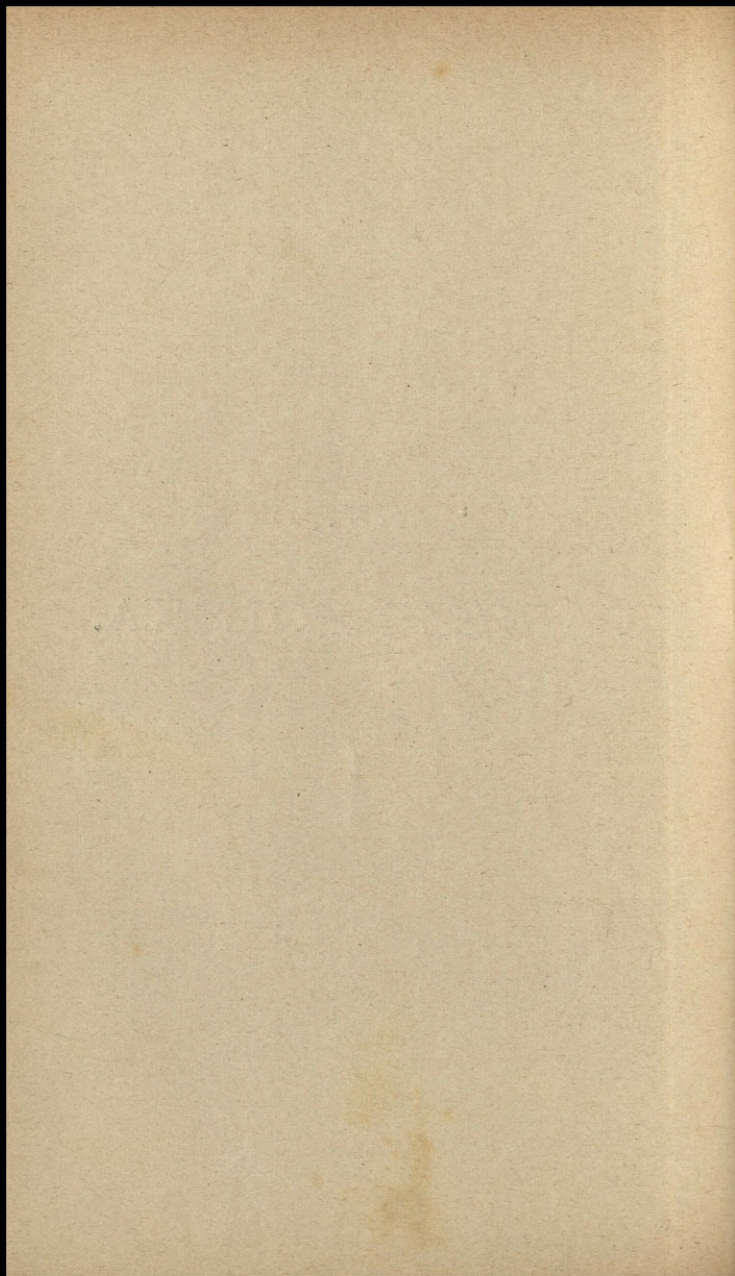
Następstwa okazały, że wiara ta jego w siebie — zawiodła.





XV.

PAPIEŻ i POLSKA.



Dnia 22 kwietnia 1863 r. papież Pius IX wystosował do cara Aleksandra II list następujący:

„Najjaśniejszy panie! Nie powinno zadziwiać WCMości, jeżeli wśród klęsk straszliwych, którym obecnie jest na łup wydane Królestwo Polskie, jak niemniej wśród objawów żywego zajmowania się przez rządy i ludy przyszłością tego narodu, i my także, wzruszeni takimi i tylkrotnemi nieszczęściami, udajemy się do WCMości, w celu zwrócenia jego uwagi na główne powody tych wstrząśnień, równie jak i na środki, które uważamy za najskuteczniejsze i najwłaściwsze do rychłego uspokojenia umysłów wzburzonych walką tak straszną i tak uporczywą. Wymaga tego po nas obowiązek naszego apostolskiego urzędu, wymaga miłość, którą żywimy w sercu dla pełnego sławy i szlachetności narodu polskiego, skłania nas wreszcie do tego kroku sama troskliwość WCMości o szczęście i spokój jego państwa. Pozwól więc Najjaśniejszy Panie, abyśmy głosem czystej prawdy i sprawiedliwości, głosem wolnym od wszelkich względów świeckiej polityki i wszelkiej chytryści, wyłczyli Ci, na jakich to faktach

zasadzają się ciągle zażalenia tego uciśnionego narodu i abyśmy raz jeszcze zanieśli do Ciebie prośby i upomnienia nasze, w przekonaniu, że gdybyśmy tego zaniedbali, stanęlibyśmy jako winowajca przed nieubłagany trybunałem Boga.“

Następnie papież użala się na zamachy rządu rosyjskiego przeciw religii katolickiej począwszy od rozbioru Polski i kończy:

„Niechaj, Najjaśniejszy Panie, jęki boleści tego narodu, które się po całej Europie rozległy i poruszyły serca dotąd dla religii obojętne, dojdą do tronu i wnikną aż do wspaniałomyślnego serca Twojego. Jedno słowo Twoje może przywrócić szlachetnemu narodowi utracony spokój i bezpieczeństwo i zatamować nieustanne źródło zaburzeń i niezgód... Roztrząśnienie przed sobą samym powodów tej krwawej walki, które zechce zrobić WCMość, nadewszystko zaś sprawiedliwość i wspaniałomyślność serca WCMości są nam szczęśliwą wróżbą błogiej przyszłości tego Królestwa. My tymczasem przekonani, żeśmy dopełnili apostolskiego naszego świętego obowiązku i posłannictwa, modłami naszemi przyspieszać będziemy rychły i szczęśliwy skutek tych przedstawień naszych, które w każdym razie zdejmują z nas ciężką odpowiedzialność, jaka przed Bogiem i ludźmi na nas ciąży w chwilach tak ważnych dla całego kościoła katolickiego.“

Na list ten car odpowiedział przysłaniem Murawjowa „wieszatiela“, który w krótkim czasie strumienie krwi wytoczył z nieszczęśliwej Litwy i zamienił ją w jeden wielki cmentarz, arezto-

waniem ks. Felińskiego i ks. Stanisława Krasin-
skiego, a także wywiezieniem wielu kapłanów na
Sybir.

Gdy prośba do cara zawiodła, Pius IX we
wrześniu 1863 r. nakazał modlić się za Polskę:

„Jest wolą Ojca świętego, ażeby zanoszono oso-
bne modły za nieszczęśliwą Polskę, którą widzi
z boleścią wydaną w tej chwili na łup tyłu mor-
dów i krwi przelewu.“

Gdy ucisk w Polsce nie ustawał, ale z każdym
dniem przybywało ofiar, bo już do 1go stycznia
1864 roku naliczyło rosyjskie ministerstwo wojny
19.860 zabitych a 31.573 deportowanych Pola-
ków, wśród powszechnego milczenia Europy, ode-
zwał się znowu Pius IX i rzucił gromy na prze-
śladowców. Było to 24 kwietnia 1864 r. w ka-
plicy *Collegium urbanum* Propagandy. Obchodzo-
no tam uroczystość św. Fidelisa męczennika, na
której był obecny sam papież, czternastu kardy-
nałów, arcyksiążę Wiktor Ludwik, infant portu-
galski, wielu prałatów i cudzoziemców. Po uro-
czystości powstał papież z tronu i ze łzą w oku,
z rumieńcem gniewu na twarzy, głosem drżącym
od wzruszenia zawołał:

„Uroczystość dzisiejsza przypomina mi, że za
dni naszych są również męczennicy cierpiący i
umierający za wiarę. Dusza moja ścieśniona jest
srogim niepokojem za sprawą potężnego monar-
chy niekatolika. Monarcha ten używa całej potęgi
swojej, aby zniszczyć prawdziwą wiarę, a bierze
za pozór powstanie, które zgnieść zamierzył.
Módlmy się, aby pan Bóg raczył go oświecić i

dał mu umiejętność rządzenia ludami, z których część pobudzona prześladowaniem, uciekła się do źle obmyślonego powstania.

„I niechaj nikt się nie myli. Przemawiając, jak przemawiam, nie czynię się obrońcą rewolucyi. Umiem odróżnić między dobrem i złem. Tutaj przecie cóż widzę? Oto dowiaduję się, że rzeczony monarcha (jakże bym chciał przypuszczać, że to fakt nieprawdziwy, ale niestety mam powody mniemać, że jest rzeczywisty), przywłaszczył sobie prawa, jakich nie posiada żaden panujący, a tem mniej panujący nieprawowierny, i że odbiera arcybiskupowi już wygnanemu jego jurydykę duchowną. Niebaczni! Zapominają, że biskup ma tę samą władzę przy jasności dziennej i kiedy cześć go otacza, jak w ciemnicy i wśród okropności katakumb.

„Módlmy się za tego monarchę, aby go pan Bóg oświecił. Módlmy się także, módlmy się przede wszystkim za te liczne, a nieszczęśliwe rodziny, które idą na wygnanie w strefy północne, podczas gdy dobytek ich i ziemię rozdają cudzoziemcom innego wyznania. Módlmy się, aby aniołowie stróże dostarczali tym utrapionym pomocy duchownej, której szczególnie potrzebować będą, kiedy się ujrzą pozbawionymi księży i kościółów.

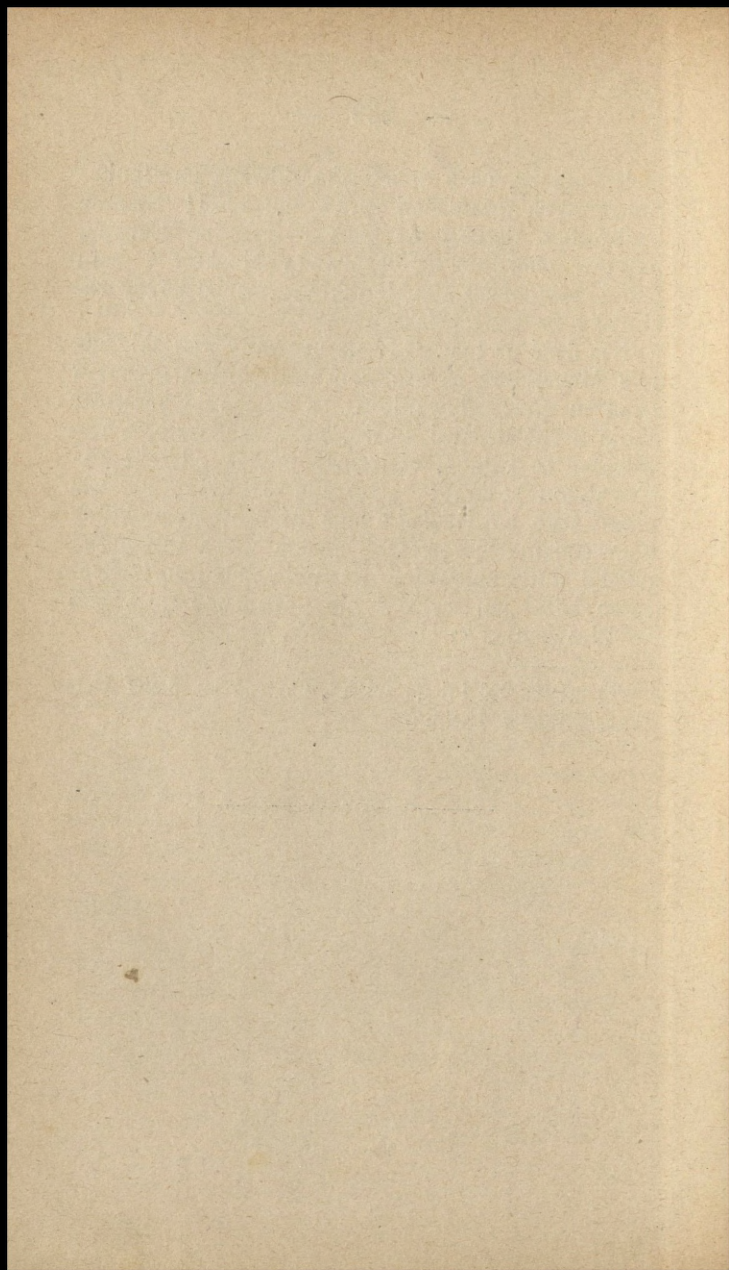
„Co mówię tutaj, mówię dla ulgi mego sumienia, abym, kiedy przyjdzie wielki dzień sądu, nie miał powodu stosować do siebie tych strasznych słów: *Vae mihi, quia tacui.*“—

Potężne to słowa, godne następcy tych wiel-

kich papieży, co z apostolską odwagą karcili ukoronowanych gwałcicieli praw ludzkości! Starzec bezbronny, wzniósł się ponad wyrodną Europę, patrzącą obojętnie na bezprawia Moskwy i sam jeden zażądał od moskiewskiego samodzierżcy rachunku ze krwi polskiej.

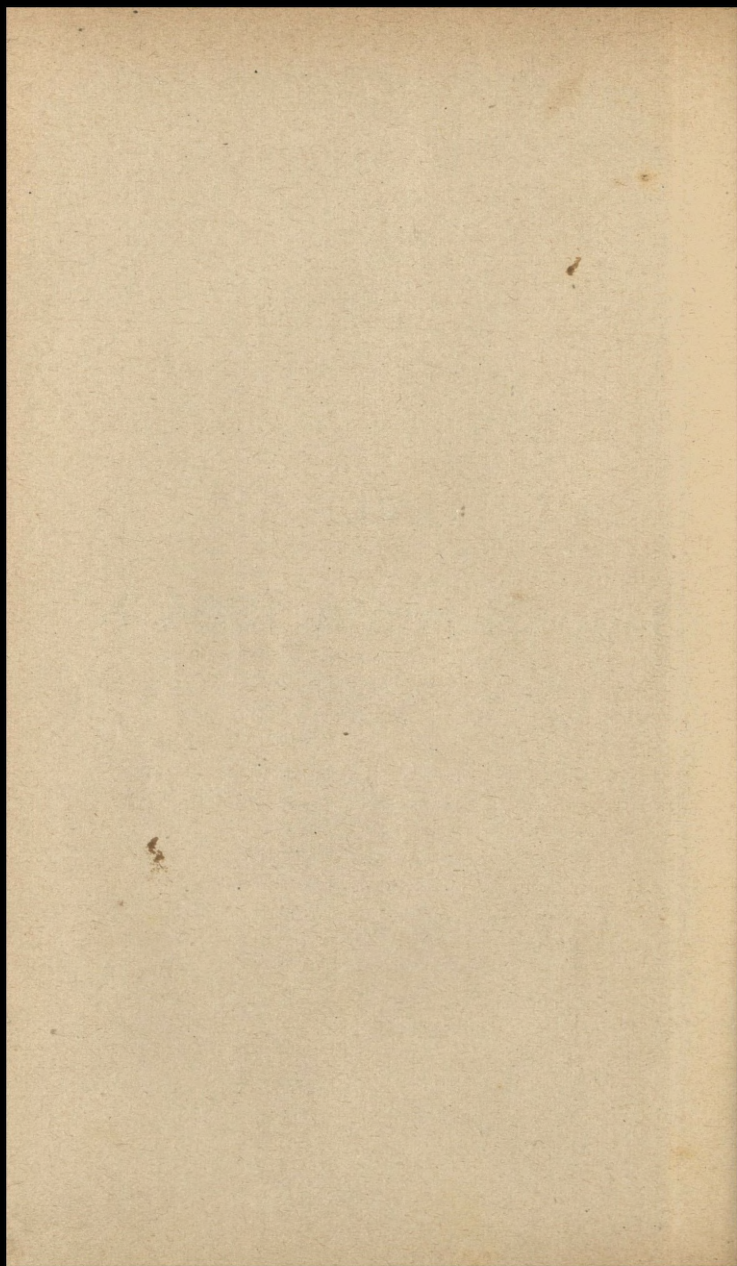
Nie dość na tem. Gdy umocowany rosyjski, baron Mayendorf, na osobnem posłuchaniu przeczył znanym prześladowaniom, a następnie pozwolił sobie wypowiedzieć słowa, że „katolicyzm, a rewolucya to jedno“, oburzony papież odrzekł zuchwałemu posłowi: „Szanuję JCMość, ale nie mogę tego powiedzieć o jego umocowanym, który bezwątpienia wbrew woli swego monarchy, przychodzi mnie znieważać w moim gabinecie!“ Późem kazał mu wyjść i nie pokazywać się więcej w Watykanie. *)

*) „Pius IX i jego wiek“, napisał ks. Józef Pelczar. Kraków 1880.



XVI.

5-go Sierpnia 1864 r.



W październiku 1863 roku ster Rządu Narodowego objął generał Romuald Traugut, Litwin, i jako prezes Rządu otrzymał prawie dyktatorską władzę. W organizacyi Rządu zaszła tylko ta zmiana, że przybył prezes, którego dawniej nie było, a członkowie Rządu, kierujący ministerstwami, byli tylko doradcami prezesa. Harmonia jednak, jaka panowała pomiędzy prezesem a dyrektorami ministerstw otworzyła i tym ostatnim wpływ bardzo znaczny na kierunek spraw całego powstania.

Była to epoka upadku powstania. Moskale rozwinęli ogromne siły militarne i zastosowali środki najbardziej barbarzyńskiej represyi przeciwko powstaniu, wobec bowiem mowy Napoleona i zajęcia się Europą losem nieszczęśliwego, upadającego w walce ludu, chcieli zdusić ruch powstańczy, aby między sobą a idącymi na pomoc położyć ofiarę już zamordowaną. Środki te zaczęły skutkować, nie tyle może z powodu postrachu, jaki budziły, ile dla tego, że organizacya narodowa, kilkakrotnemi zaburzeniami i zamachami osłabiona, licznemi aresztowaniami uszczuplona,

coraz słabszy opór moskiewskiemu prześladowaniu stawić była zdolna. Były to najtrudniejsze dla Rządu Narodowego chwile: działania wojenne wskutek wysileń trzech mocarstw rozbiorowych już się rwały, oddział przepadał za oddziałem, broń całemi transportami przechodziła w ręce nieprzyjaciół. Wewnątrz kraju ucisk moskiewski doszedłszy do najwyższych rozmiarów, łamał całą działalność dalszą, pozbawioną poparcia siły zbrojnej; ośmielone szpiegostwo podniosło ohydną głowę i czyhało na wszystkich ścieżkach organizacji narodowej, a stanowisko Rządu Narodowego stało się tak niebezpiecznem, że trzeba było nadludzkiej odwagi i siły ducha, aby się nie zniechęcić i nie dać zgasnąć poświęceniu w piersi, tak zbliżka uciskanej przez wroga, denuncyanta i szpiega, tam, gdzie niemożliwą już była rachuba na jakąkolwiek obronę. Kilku członków z ówczesnego składu Rządu Narodowego zdołało ująć przed poszukiwaniem; inni zaś, chociaż znuzeni i coraz bliżej naciskani, oświadczyli, że cokolwiek ich czeka, oni nie ustąpią z powierzonego im stanowiska. I dotrzymali słowa.

Wszystkie wysiłki Rządu Narodowego zwrócone były głównie na ratowanie tego, co było do uratowania i zapełnianie luk w rwącej się administracji. Traugutt starał się uporządkować siły wojenne powstania; Krajewski, kierujący komisją spraw wewnętrznych, pracował nad tem, ażeby administracja służyła sile zbrojnej i dostarczała jej co należy. Siła ta jednak codzien się zmniejszała a w lutym 1864 r., na kilka ty-

godni przed aresztowaniem Rządu, z organizacji administracyjnej zaledwo szczątki pozostały. Tajemnica zaś, jaką Rząd Narodowy w Warszawie był przysłonięty, stawała się coraz przeźrocystsza.

Upadek ducha, który zwykł poprzedzać upadek sprawy, sprawiał, że gdy przed kilku miesiącami jeszcze szpiegi nie wytropić nie mogli, a zeznania więźniów w cytadeli nie mogły policyi na ślad Rządu naprowadzić, — teraz przy utracie nadziei i wiary w powodzenie powstania, szpiegi więcej odkrywali i więźniowie przed komisją śledczą tajemnicy zachować nie umieli. Zeznania jednego z urzędników niższych Rządu Narodowego naprowadziły komisję śledczą na ślad Rządu. Józef Toczyski, dyrektor komisji skarbu, Roman Żuliński, dyrektor komisji ekspedycyj, Jan Jeziorański, dyrektor komisji komunikacyj i Rafał Krajewski, dyrektor komisji spraw wewnętrznych w Rządzie Narodowym, zostali aresztowani 6-go marca 1864 roku a wkrótce potem i prezes Rządu, Romuald Traugut osadzony został w cytadeli.

Wszyscy, bez wyjątku, zachowali się wobec komisji śledczej z godnością i tajemnicy osób nie zdradzili. Komisya śledcza, a zwłaszcza jej prezes, pułkownik Tuchołko, używał najrozmaitszych sposobów, ażeby zmusić uwięzionych do spodenia się i skompromitowania niewięzionych patriotów. Romana Żulińskiego i Rafała Krajewskiego kazał bić, głodzić i utrzymywać w zgniłej ciemnicy, jednakże żadną torturą nie doprowadził do upadku. Inni członkowie Rządu

okazali również w tej strasznej, ostatecznej próbie, moc i zacość charakteru tak szczytną, tak górowali moralnie nad swymi siepaczami, że ci przejęci byli dla nich mimowolnym szacunkiem.

Z uwiezionych Traugut był podpułkownikiem dymisyonowanym inżynierem moskiewskiej i odznaczał się niezmierną odwagą i energią. Krajewski był budowniczym wielkiego talentu i smaku; wzniesione przezeń budowle w Warszawie, cenną zostaną pamiątką. Żuliński, były profesor gimnazyalny, był bożyszczem młodzieży; słodycz jego i szlachetność charakteru niezatarte wspomnienia zostawiły w sercach przyjaciół, których liczył wielu. Józef Toczyski, w 1848 roku był zesłany na Sybir, a wróciwszy ztamtąd za amnestyą, natychmiast wstąpił do organizacyi. Jan Jeziorański, najmłodszy, znany z gorącej duszy i czystości charakteru. Najstarszy z nich Józef Toczyski miał 37 lat.

Jakiego to rodzaju byli ludzie, najlepiej może poświadczyć list jednego z nich (Rafała Krajewskiego), który za pośrednictwem żandarmów i stróżów więziennych zdołał się skomunikować z siostrami swemi, których był opiekunem.

„Moi najmils! Otóż i dobiegłem do mety — już dziś ostatni dzień mojego ziemskiego żywota! I cóż wam w tych ostatnich chwilach powiem? Teraz wiem, że wierzę w Boga i kocham go, wiem, że do niego idę. Wszak i wy w niego wierzycie, więc nie żałujcie mnie, bo nie ginę, jeno gorsze życie na lepsze zmieniam. Żal wam będzie, że mnie pośród siebie mieć nie będzie-

cie; o nie, ja będę z wami, choć niewidzialny, bo uczucia, co na ziemi w Bogu początek biorą, nie ustają ze śmiercią.

„Ja będę w myślach waszych i uczuciach, ale pamiętajcie, że wtędy ten brat już będzie omyty z ziemskiej niedoli; nie płaczcie więc mnie ziemskim, gorzkim żalem. Będziemy tęsknić do siebie, będziemy głosem duszy rozmawiać ze sobą, Bóg będzie naszym pośrednikiem — niechże uczucia nasze będą godne jego obecności.

„Widziałem was, — czuję, że dusza moja wyrwała się z ciała, żeby obcować z wami tak, jak to zawsze czynić będziemy. Dałem wam już wszystko, com miał — dałem wam na zawsze.

„Już tylko cztery godzin; przyjąłem sakramenta święte; — ufam Bogu, że doda mi sił do ostatka.

„Kto się czuje na siłach, niech przyjdzie na egzekucję, po to spojrzenie pożegnalne, co jest ostatnią nutą pieśni życia, ale tylko silni niechaj przyjdą; pamiętajcie, że taka śmierć — to czyn; pomóżcie...

„Módlcie się za mnie. Już z tego świata dla was nic nie mam. Do widzenia — tam....

Rafał.“

Ludzie ci szli śmiało na spotkanie śmierci, na Golgotę, czyści w sumieniu, pogodzeni z Bogiem, podniesieni miłością rodziny, Ojczyzny.

W dniu piątym sierpnia, w obliczu szeroko rozłożonej Warszawy, Moskale wzniesli rusztowanie a na niem szubienicę dla pięciu ostatnich członków Rządu Narodowego. Od rana ulice wio-

dące ku cytadeli przepelnione były ludem; przed godziną 9 z rana do 20 tysięcy ludzi obojej płci i wszystkich stanów zaległy obszerny plac przed szubienicą.

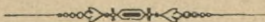
Rząd moskiewski egzekucyę odbyć postanowił z całą pompą katowską. Kilkanaście tysięcy wojska stanęło w około szubienic — generałowie i dygnitarze moskiewscy zajęli miejsca tuż przy szafocie. Policya i żandarmerya trzymały lud w odaleniu.

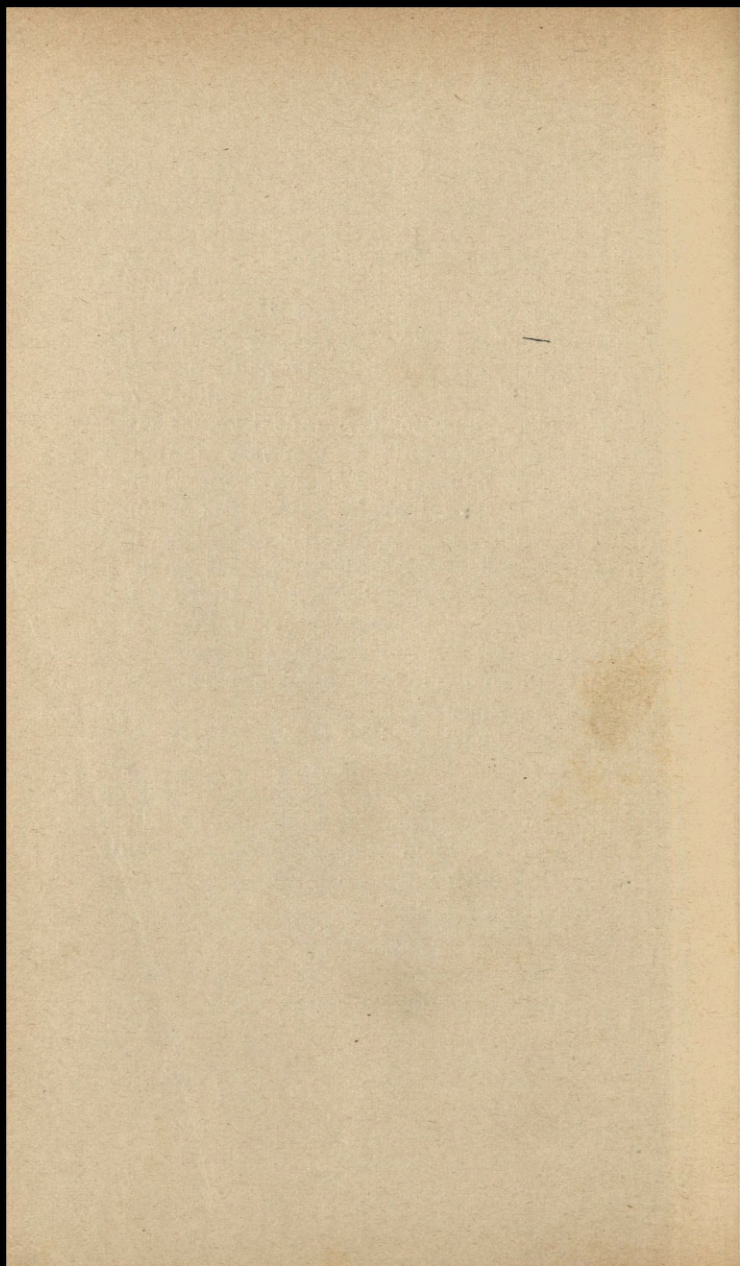
Na wschodniej stronie nieba wznosiła się para w powietrzu, zasłaniając słońce. Poranek sierpniowy wstawał smutny i ponury, jakby płacząc przed nędzą tej ziemi nieszczęśliwej. Wtem, około ósmej z rana, zaczęło się wyjaśniać i naokoło słońca wytworzyło się dziwnie piękne i ogromnej siły świetlne koło. Niezwykłe to zjawisko wywołało ogromne wrażenie, nietylko na Polakach, ale i na Moskalach: patrzcie zbrodniarze, wołał lud głośno ze wszystkich stron: Bóg zsyła aureole męczennikom, robi ich świętymi swymi.

Uderzyła dziesiąta godzina. Z ponurych bram cytadeli wysunął się smutny orszak. Członków Rządu Narodowego wieziono na nędznych wozach, dla większej pogardy. Obok skazanych byli księża, a w około żandarmi, wojsko i kaci. Jadący pogodną twarzą i ukłonami żegnali ludność. Pięciu wolnych synów ziemi, krwią tylu ofiar nasiąkłej, szło na śmierć męczeńską po pięciomiesięcznych cierpieniach, których wyobrażenie dać by mogła chyba tylko inkwizycya. . . . Szli na śmierć wymyślnie przygotowaną przez wroga,

szli spokojnie z krzyżem przebaczenia w rękę, wobec ojców, matek, sióstr i braci, pośród wielotysięcznego tłumu rodaków, łkających na ten widok rzeczywiście przypominający Golgotę, szli umierać za swoją ideę i wiarę, na odkupienie grzechów ojców naszych. Nieludzka ceremonia czytania długich wyroków wywołała głęboki jęk z piersi zgromadzonych. Kobiety padły na kolana, głosy modlitwy wzniosły się do nieba. Zagrzmiały bębny, ujrano Jeziorańskiego, jak szybko wbiegł na rusztowanie i pierwszy zawisnął; za nim wstąpił Żuliński i z zimną krwią własnoręcznie powróż założył około szyi. Tak wstępował jeden po drugim członkowie ostatniego rządu polskiego pod swoją szubienicę, kat zarzucał kaptur na oczy, podrywał schody i wkrótce w powietrzu zawisło pięć trupów, których Polska nigdy nie zapomni. Płacz i łkania z tysiąca piersi wtórowały hucznej muzyce moskiewskiej, która grała obok rusztowania.

Przez dwie godziny ciała pięciu wisały obok siebie na jednej wspólnej szubienicy. W pół godziny po skonie ich znikło świetlne zjawisko na wschodniej stronie nieba. O godzinie 12 zdjęto ich i powieszono. Gdzie ciała ich zakopano — nie wiadomo, lecz imiona ich nazawsze zostaną wyryte w sercach rodaków.





XVI.

RZĄD NARODOWY.

1877

W. WOODMAN & CO.

Spiewy religijno - narodowe w r. 1860 były pierwszym objawem życia budzącego się kraju, iskrą, z której wybuchł następnie ogień i ogarnęła całą społeczność polską. Strzały wrogów i pierwsza krew, wylana 27 lutego 1861 roku na bruku warszawskim, były tym posiewem cudownym, który rozniecił uczucia narodowe i dał początek wzniosłej rewolucyi moralnego odrodzenia. Stolica zaś Polski, Warszawa, odrazu stała się jej ogniskiem.

Od pierwszej chwili obudzenia się społeczności z letargu, w którym tak długo przebywała, oczy wszystkich zwróciły się na Towarzystwo Rolnicze, bardzo w kraju popularne, które właśnie w tym czasie odbywało w stolicy swe doroczne posiedzenie. Towarzystwo to było przeważnie złożone ze szlachty a szlachta miała wówczas jeszcze stanową organizacyę, co dawało jej możność przemawiania publicznie w sposób legalny i pozwalało przez Komitet rozpościerać wpływ swój na kraj cały.

Instytucya ta jednak z natury swej była konserwatywną i bojaźliwą. Wypadki ostatnie zasko-

czyły ją niespodziewanie i przeraziły niezmiernie. Wpływowi członkowie Towarzystwa chcieli zrazu wpłynąć na uspokojenie ludności i stłumić wybuch jej niezadowolenia, lecz było to już niełatwym zadaniem na rozpalonym warszawskim bruku. Chcąc-niechcąc musieli więc przyjąć udział w wypadkach, przezco odrazu zjednali sobie entuzyastyczną ludność warszawską, która w pierwszej chwili okrzyknęła szlachtę „ojcami narodu“. Była nawet chwila, że ludność stolicy stała się zupełnie powolną tym przewodnikom szlachty, którzy wówczas mogli nią pokierować według swej woli. Kroki łącznie poczynione wobec ówczesnego namiestnika, ks. Gorczakowa, powiodły się nadspodziewanie, i ośmieliły przywódców szlachty do tego stopnia, że zaczęły krzątać się około dalszej akcyi.

Jednocześnie pojawił się na scenie margrabia Wielopolski, ten Kain polski, i wystąpił ze swym projektem adresu do cara. Projekt ten nie utrzymał się. Przyjęto projekt Towarzystwa Rolniczego, redagowany przez Edmunda Stawiskiego. Wystąpieniem swem jednak zaniepokoił stronnictwo szlacheckie margrabia Wielopolski, żarty antagonisty Andrzeja Zamojskiego, prezesa Towarzystwa Rolniczego i przywódcy szlachty.

Ta okoliczność, a głównie zapal młodzieży, udzielający się całej ludności Warszawy, skłoniły szlachtę do ustanowienia tajemnego komitetu, zwanego „Dyrekcją obywatelską“, który, stojąc pod sztandarem hr. Andrzeja Zamojskiego,

miał na celu — z jednej strony objęcie steru we wszystkich wypadkach, a z drugiej tłumienie objawów zbyt gorącego uczucia ludności i niedopuszczenie do wybuchu powstania.

Organizacya ta, przezwana „białą“, objęła żywiły spokojniejsze, weszły do niej osoby starsze, poważniejsze. Do niej przymknęła także inteligencya miejska, mająca na czele Edwarda Jürgensa, człowieka wielkiego rozumu i ogromnego wpływu w mieście. Nie wierząc w skuteczność rewolucyi, organizacya ta propagowała pracę organiczną dla skonsolidowania narodu, podniesienia oświaty i wzmocnienia bogactwa kraju. Z rozwojem wypadków stronnictwo to stawało się przez czas pewien coraz potężniejszym, odpowiadało bowiem usposobieniu chwili, starało się jednać i godzić, łączyć i wiązać, nie porzucając drogi legalnej.

Stronnictwo „białe“, mając do swojego rozporządzenia gotową już w całym kraju organizacyę Towarzystwa Rolniczego, szybko zaczęło się rozrastać i w krótkim stosunkowo czasie znaczny obszar objęło, szerząc się przytem na Litwie i na Rusi. Wszystkie żywiły zachowawcze zaczęły się ściągać pod ten sztandar, który nie mając wybitnego programu politycznego, wygodnym był nawet dla najwsteczniejszych.

Młodzież ucząca się, wykształcona na literaturze emigracyjnej, widziała przed sobą dwa wyraźne cele: bezwarunkowe uwłaszczenie włościan i zbrojne powstanie. Ruchliwość jej, odwaga, zuchowałość i gotowość do poświęcenia, czyniły

z niej już znaczną potęgę. Przy manifestacyi 29 listopada 1860 r. zbliżyła się ona do klasy rzemieślniczej i wzmogła się jeszcze na siłach. Od tej chwili zapanowała w Warszawie niewidoma ręka patryotyczna, karcąca czyny, przeciwnie uczuciu narodowemu, piętnująca odstępców, pobudzająca do karnego i odważnego występowania. Zaczęły pojawiać się odezwy tajemne z podpisem: „*Młodzież*“.

Szlachta i zamożniejsze mieszczaństwo sarkają na ten „terrorizm uliczny“, jak go nazywały, ale jawnego oporu stawić nie odważyły się, — tem więcej, że brak wyraźnego programu politycznego stronnictwa „białych“, w owej chwili podnieconych nadziei, daleko sięgających, zniechęcał wielu ludzi czynu do ich szeregów. Z tego więc powodu młodszy i wybitniejszy dążności ludzie tej organizacyi „białej“, zwolna opuszczać zaczęli jej szeregi, przechodząc do stronnictwa ruchu, które do robót przygotowawczych zabrało się z myślą o walce orężnej. Był czas — jak powiedzieliśmy już wyżej — w którym *Dyrekcya obywatelska* mogła ująć ster sprawy narodowej i przeszkodzić wybuchowi, lecz tego nie uczyniła, nie mając w gronie swem ani jednego człowieka, któryby pojął znaczenie chwili i umiał wytknąć drogę postępowania, jasny i wyraźny stawiając program.

Młodzież, przeważnie litewskich prowincyj, zetknąwszy się w Paryżu i porozumiewszy się z emigracją, zaczęła organizować młodzież gimnazjalną, rzemieślniczą i urzędniczą w dziesiąt-

ki i setki, przygotowując w ten sposób prace rewolucyjne. Jednocześnie wyszło z Warszawy paręset czeladzi rzemieślniczej do małych miasteczek i wiosek, aby szerzyć tam uczucia pátryotyczne i przygotować lud do powstania. Propaganda ich była niezmiernie skuteczną, bo lud widząc w nich podobnych sobie biedaków, wierzył im i okazywał największe współczucie.

Wiadomość o zawiązaniu „Dyrekcji obywatelskiej“ przeraziła młodzież konspiracyjną, która przygotowywała wszystkie manifestacje i szerzyła ducha powstańczego wśród ludności. Obawiając się, aby „Dyrekcja“ nie paraliżowała ich czynności, wybrali z pośród siebie „Komitet“. Tym sposobem utworzyły się w kraju zorganizowane dwa stronnictwa: *białych* i *czerwonych* i zaczęła się między nimi walka zacięta, zakończona zwycięstwem ostatnich.

Komitet zaczął łączyć w sobie wszystkie istniejące już wprawdzie tajne związki kółka, dziesiątki i trójki, przez co organizacja rozszerzała się i stawała bardziej jednolitą. Jednostką organizacyjną była dziesiątka, która wybierała z pomiędzy siebie dziesiątnika. Dziesięciu dziesiątników obierało z pomiędzy siebie setnika, który sam jeden znosił się z wyższymi stopniami organizacji.

W końcu 1861 roku organizacja spiskowa zawiązała stosunki w wojsku moskiewskim za pośrednictwem Jarosława Dąbrowskiego. — Wszedł on do „Komitetu“, zajął w nim wpływowe stanowisko a następnie pochwycił w ręce

ster całego spisku. Wzmocniwszy komitet energicznymi patriotami, zaczął wtedy rozwijać gorączkową czynność, szybko pędząc do powstania. Naznaczono nawet termin wybuchu na 14 lipca; miano wywołać uliczną barykadową walkę, a organizacja wojskowa obiecywała wydać Modlin i cytadelę warszawską w ręce powstańców.

Stronnictwo „białych“, dowiedziawszy się o tem, przeraziło się wielce i zaalarmowawszy również organizację miejską, skłoniło ją do obioru nowego komitetu, ten zaś przekonał się o bezsilności konspiracyi w wojsku moskiewskiem i odłożył termin powstania.

W czerwcu 1862 roku przyjął komitet warszawski nazwę *Komitetu centralnego narodowego*. Wypracowano program określający działanie i podnoszący jako najbliższy cel organizacyi: uwłaszczenie zupełne włościan. Przyznano prowincyom prawo do rządzenia się samodzielnie. Urzędowym organem komitetu w tym czasie było tajemne pismo pod nazwą: *Ruch*.

Od 1-go września 1862 roku zaczął Centralny komitet narodowy w Warszawie i w całym Królestwie Polskiem występować otwarcie, jako naczelną władzę spiskową. Rozporządzenia *Komitetu Centralnego* stawały się coraz bardziej stanowcze i coraz więcej miały znaczenia, jako oparte faktycznie na moralnem uznaniu kraju. W październiku władza komitetu sięgnęła już w Poznańskie i do Galicyi.

Czynnościami rewolucyjnymi na Litwie kierował „Komitet litewski“, w którym jedną z naj-

piękniejszych osobistości był Konstanty Kalinowski, na Rusi zaś „Zarząd Narodowy ziem Buskich“, w którym najwybitniejszą postacią był Antoni Jurjewicz.

Komitet Centralny, ogłaszając program o szerokich podstawach politycznych, śmiały i stanowczy, zdobył szybko wpływ i znaczenie w całym kraju, podczas gdy „Dyrekcya obywatelska“ wpływ swe coraz bardziej traciła, nie mogąc wyjść z biernej roli, na jaką sama siebie skazała.

W listopadzie ściągano w całym kraju podatek, nałożony przez Komitet Centralny, nie napotykając nigdzie oporu. Powaga tajemnej władzy rosła, bo oko i ręka komitetu sięgały niemal wszędzie. Najskrytsze rozporządzenia rządu moskiewskiego zawsze w krótkim czasie były już znane komitetowi. Zamordowanie na ulicy, dnia 9 listopada, Felknera, naczelnika tajnej policyi moskiewskiej, rzuciło straszny popłoch pomiędzy Moskali. Potęga ukrytego komitetu, w mniemaniu ludu przybierała charakter nieomal legendowy, organizacya, na której opierał się komitet, ogarniała nietylko inteligencyę krajową i patryotyczne mieszczaństwo, lecz także średnie i niższe duchowieństwo i rozrastała się w całej ludności.

Kraj pragnął mieć władzę narodową własną, powitał więc ją ufnością, skoro się pojawiła — a następnie w ciągu tylu miesięcy rozpaczliwej walki złożył dowody niepraktykowanego w dziejach wobec tajnej władzy posłuszeństwa.

Z powodu zarządzanej przez Moskali za poradą Wielopolskiego, i w sposób niepraktykowany

przeprowadzonej branki do wojska, zmuszonym się widział Komitet Centralny ogłosić powstanie, biorąc ster jego w swoje ręce, jako *Rząd Narodowy tymczasowy*. Ani ściśle przeprowadzonej organizacji powstańczej, ani broni, ani funduszków nie było. Z chwilą ogłoszenia powstania, przerażeni stanowczością tego kroku, ustąpili niektórzy członkowie komitetu, jako przeciwnicy wybuchu, drudzy wyjechali na prowincję, dla przeprowadzenia organizacji. Pozostał w Warszawie jeden tylko Stefan Bobrowski, członek komitetu, a zarazem naczelnik m. Warszawy, młodzieniec dzielny, rozumny, niestrudzony, na którego barkach zawisł cały ciężar wielkiego zadania.

Gdy pierwsza chwila grozy minęła, odgłos powstania znalazł przychylny oddźwięk w gorętszych warstwach ludności, członkowie komitetu, którzy wyjechali byli na prowincję, wrócili do Warszawy a do zorganizowanego na nowo komitetu, przystąpił nawet gorący wprawdzie oponent, Agaton Giller.

Wybuch powstania sprowadził do Warszawy znaczną liczbę właścicieli ziemskich. „Dyrekcya obywatelska“ starała się, ażeby szlachta, uchylając się od udziału i wszelkiego poparcia, potępiła powstanie. Przeciwno temu energicznie wystąpił Edward Jurgens, domagając się zaprzestania walki wewnętrznej, natychmiastowego rozwiązania „Dyrekcji“ i uznania Rządu Tymczasowego. Burzliwe narady nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Nazajutrz Jurgens został aresztowany

i umarł po długich mękach i torturach w cytadeli.

„Komitet Centralny“ kierował powstaniem pomimo nadzwyczajnych trudności. „Biali“ jednak niedali za wygraną, i chcąc złamać jego władzę, w ich mniemaniu dla kraju zgubną, a tem samem stłumić powstanie, stworzyli dyktaturę Langiewicza. Żeby namówić generała do przyjęcia dyktatury, sfałszowano akt zrzeczenia się władzy przez tymczasowy Rząd Narodowy na rzecz Langiewicza.

Po ogłoszeniu dyktatury, Komitet Centralny przyjął ją jako fakt dokonany i ogłosił siebie władzą pomocniczą a zarazem czuwającą.

Dyktatura wkrótce upadła po uwięzieniu dyktatora w Galicyi; wtedy to nadzwyczajny komisarz Rządu, Stefan Bobrowski, wydał 21-go marca proklamacyę, iż najwyższa władza narodowa przechodzi znowu w ręce Komitetu Centralnego, istniejącego w Warszawie, który jest jedyną legalną władzą.

Od tej chwili Komitet Centralny, działający jako Rząd Tymczasowy, widząc, że się powstanie rozwija a naród poddając się mu, nadaje tem samem najwyższą sankcyę uznania władzy jego, postanowił nazwę swą zamienić na *Rząd Narodowy*, ogłaszając, że zmiana nazwy nie pociąga za sobą żadnej zmiany zasad, wypowiedzianych w manifeście z dnia 22 stycznia 1863 r. Ten to rząd nieprzerwanie, acz w rozmaitym składzie osób, kierował powstaniem aż do końca. Była to władza tajemna, na zewnątrz przez pieczęć tylko

reprezentowana. Poddaniem się bezwarunkowem tej władzy tajemnej, kraj złożył dowód dojrzałości i świadectwo, że umie być karnym wobec władzy narodowej, gdy mu przewodniczą rodacy, gotowi do poświęcenia pracy i życia dla dobra Ojczyzny. Zasłona tajemnicy pokrywała imiona osób i nikt nawet nie pragnął wiedzieć o nazwiskach, bo dla wszystkich, osoby, zmieniające się nieustannie, były obojętne, a drogą była im sama tylko idea władzy narodowej, trzymającej i niosącej w swej dłoni sztandar niepodległości.

W marcu, z powodu interwencji dyplomatycznej państw obcych, obudziły się wielkie nadzieje w kraju. Zgromadzenia ludowe prawie we wszystkich państwach Europy wołały o czynną pomoc dla Polski. Wskutek tego Komitet „białych“ rozwiązał się, a jeden z członków jego Karol Ruprecht wszedł w skład Rządu Narodowego. Ubył natomiast niestety z tego składu najdzielniejszy Stefan Bobrowski, który wskutek zaprzeczenia autentyczności rzekomego aktu, jakim Rząd tymczasowy miał ofiarować Langiewiczowi dyktaturę, wyzwany przez hr. Grabowskiego a okolicznościami do przyjęcia wyzwania zniewolony, zginął w pojedynku.

Maszyna rządowa składała się z pięciu wydziałów: dla spraw wewnętrznych, wojny, spraw zagranicznych, skarbu i prasy. Na czele każdego wydziału stał jeden z członków Rządu.

Członkowie tego rządu jednak ukołysani nadzieją interwencji europejskiej, zaczęli wkrótce zapominać o swem pochodzeniu rewolucyjnem

i, oczekując skutku dyplomatycznych zabiegów, nie dostrzegali, że krzykami sympatii ogólnej obalamucony naród, słabnął w poświęceniu i nie wydobywał z siebie tych sił, jakich wymagała tak wielka potrzeba. Rząd ten skoncentrował w swoich rękach całą władzę prawodawczą, wykonawczą i sądową. Była to jakby kapituła w sobie zamknięta, — na którą jednak wpływ przeważny, decydujący niemal a zwykle szkodliwy, wywierali panowie i bankierzy, powstrzymujący od wszelkich kroków stanowczych i energicznych zarządzeń.

Członkowie rządu mieli obok siebie tak zwanych referentów, po jednym na każde województwo, za pośrednictwem których znosili się z władzami prowincjonalnymi, cywilnymi i wojskowymi. Nadto w samej Warszawie była komisya wojskowa i podatkowa.

Rząd ten obawiał się wszystkiego, coby mogło popchnąć sprawę na gwałtowniejsze tory a tem zakłócić jego spokojne funkcyonowanie, dla tego też po śmierci Bobrowskiego nie pomyślał o nowym naczelniku miasta Warszawy, który dawniej z urzędu był członkiem rządu, a który mając w swych rękach policję i wszystkie siły wykonawcze w Warszawie, wydawał się groźnym dla „Kapituły“. Zamianował Rząd tylko tymczasowego zastępcę naczelnika miasta, który, jako podwładny urzędnik, nie należał do jego składu.

Wiedząc o intencji gabinetów, francuskiego, angielskiego i austriackiego, podania kollektywnej noty, car ogłosił amnestyę dla wszystkich, któ-

rzy do 1-go maja broń złożyć. Ale interwencya polityczna budziła takie nadzieje, że o amnestyi nawet *biali* nie chcieli słyszeć. Amnestyę więc odrzucono, nikt nie złożył oręża i walka nie ustała ani na chwilę.

Wobec powszechnej gotowości do dalszej walki, bezczynność, powolność i brak energii w Rządzie Narodowym, wywołały powszechne w kraju niezadowolenie, a szczególnie w łonie organizacyi miasta Warszawy. Włodzimierz Lempke, który w końcu marca został organizatorem i intendentem Warszawy, zdobywszy energią i stanowczością swoją stanowisko silne w mieście, odważył się na krok nader śmiały. Widząc ogólne niezadowolenie dokoła, w końcu maja, w same Zielone Świątki, rozpędził Rząd Narodowy i bezzwłocznie zarządził nowe wybory. Przeprowadzone mimo wielkich trudności, wydały one Rząd nowy, tak zwany „Czerwowy“ z naczelnikiem miasta Warszawy w swoim składzie.

Rząd ten, nie godząc się na wszystkich kandydatów opozycyi, znalazł się w ciężkiem położeniu, trudno bowiem było dobrać skład cały odpowiednio do potrzeby.

Jedną z pierwszych czynności Rządu tego było oddzielenie sądownictwa od władzy politycznej: utworzenie trybunałów rewolucyjnych do sądzenia przestępstw przeciwko powstaniu (dekret 2 czerwca). Trybunały ustanowione w każdym powiecie i oddzielnie w mieście Warszawie, składały się z prezesa i z dwóch sędziów przysięgłych, a oprócz tego z prokuratora, który

strzegł ścisłego wykonania prawa i wyroków. Dla wojskowych istniały sądy wojenne. Za polityczne zbrodnie, zmierzające do osłabienia Rządu i wszystkie czyny szkodliwe sprawie ojczyzny, istniały trzy stopnie kary: wygnanie, pozbawienie czci z ogłoszeniem w pismach publicznych i kara śmierci.

W pierwszej połowie czerwca wpłynęło do kasy Rządu Narodowego 24.000.000 złp., podniesionych zrzęcznie przez Aleksandra Waszkowskiego z warszawskiej kasy głównej.

Rząd „czerwcowy“ nie zadowolnił, również jak jego poprzednik, opinii publicznej i nie czując dostatecznych sił do dalszego prowadzenia powstania, ustąpił w początku lipca. Wybrano nowy Rząd, nazwany „ugodowym“, gdyż wskutek układów z opozycją w skład tego rządu weszli ludzie rozmaitej barwy.


W tym czasie rozwój organizacyi narodowej doszedł do największej doskonałości, musimy więc przypatrzeć się jej nieco bliżej. — Rząd Narodowy układał plany działania i rozstrzygał ważniejsze ogólne sprawy; inne zaś, mniejsze, oddawał wydziałom czyli departamentom, które składały się z dyrektora, referentów i dwóch sekretarzy. Sprawy departamentu rozstrzygały się kolegialnie. W każdym dziale dyrektor znał tylko tego członka Rządu, z którym miał bezpośrednio do czynienia. Prócz tego przydani byli Rządowi dwaj agenci, jeden dla Litwy, drugi dla Rusi, którzy w charakterze referentów, załatwiali sprawy tych prowincyj. Dla pośredniczenia między

Rządem i władzami mu podległemi był utworzony sekretaryat.

Każde województwo miało swego naczelnika i komisarza rządowego, którzy się z Rządem Narodowym za pośrednictwem referentów, o których mówiliśmy. Województwa dzieliły się na powiaty, a te na okręgi; wszystkie miały swych naczelników. Naczelników województw i komisarza mianował Rząd Narodowy. Miasta prowincjonalne miały także naczelników swoich. Obok naczelników powiatowych byli komisarze policji, skarbu, poczt i służby zdrowia.

Głównym celem wojewódzkich i powiatowych organizacyj było dopomaganie zbrojnemu powstaniu, to jest dostarczanie żołnierzy organizatorom, zaspakajanie wszystkich potrzeb oddziałów, dostarczanie furmanek, donoszenie o ruchach wojsk moskiewskich, utrzymywanie korespondencji między oddziałami a Rządem Narodowym i t. d. — Organizacja komunikacyjna była urządzona znakomicie. Korespondencje przewoziły najczęściej kobiety, zwane *kuryerkami*; wynalaczy ich umysł w chwilach krytycznych znajdował najdowcipniejsze wybiegi.

Obok Rządu Narodowego, stale rezydującego w Warszawie, istniała organizacja stolicy, która dzieliła się na pięć wydziałów. Wydziałowi załatwiali wszystkie sprawy miejskie, pod przewodnictwem naczelnika miasta. Wydziały dzieliły się na sekcye. Naczelnicy sekcij załatwiali sprawy pod przewodnictwem wydziałowego. Nadto była w Warszawie policya narodowa, składająca się



z 13 komisarzy i z odpowiedniej ilości agentów i woźnych. Etat policji wynosił 1500 rs. miesięcznie. Naczelnik policji miał obowiązek składania raportów o wszystkich wypadkach dnia naczelnikowi miasta. Naczelnik policji miał także pod sobą żandarmów i sztyletników. Żandarmi, którzy cały dzień spędzali na ulicy, pobierali płacy po pół rubla dziennie.

Żonami i dziećmi uwięzionych i powstańców opiekowały się żeńskie komitety, które następnie związały się w ogólną radę opiekuńczą. Pracownicy organizacyi narodowej bądź żadnego żołdu nie pobierali, bądź małą jedynie gażę, jako diety na chleb powszedni, za który oddawali terażniejszość i przyszłość swoją i swych dzieci.

Podatek ustanowiony 8 kwietnia, pod tytułem „Ofiary narodowej“, wynosił od 2 do 10 proc., według zajęć i w stosunku do dochodów. Nierzetelność udowodniona wykazu majątkowego, pociągała za sobą infamię obywatelską. Dla pobierania podatków wyznaczani byli osobni poborecy. Oprócz podatku, wszyscy dostatniejsi obywatele obowiązani byli brać obligacye pożyczki wewnętrznej 21 milionów złp. (3.500.000 rs.), zadekretowanej w maju, a którą ściągać zaczęto energicznie dopiero w lipcu.

Organizacya cywilna na Litwie była mniej dokładną i nie tak powszechną. Na Rusi organizacya istniała również, lecz bardzo mało dostarczała pomocy. W Poznańskim organizacya była z początku bardzo sprężysta, potem zaś, po rewizyi u hr. Działyńskiego, osłabła. W Galicyi kie-

rował akcyą pomocniczą głównie Komitet szlachecki, potem naczelna władza wojskowa, nareszcie ustanowiono tam niby Wydział Rządu Narodowego, ale działanie tegoż wydziału było w najwyższym stopniu niedołążne.

Prasa powstańcza była bardzo liczna. W Warszawie wychodziły: *Ruch*, *Naprzód*, *Strażnica*, *Dziennik Narodowy*, *Prawda*, *Niepodległość*, *Polska*, *Ojczyzna*, *Dzwon duchowny*, *Głos kapłana*, *Wiadomości z pola bitwy*, *Rozkazy naczelnika m. Warszawy*. W Wilnie wydawano: *Wiadomości z pola bitwy na Litwie*. Organami oficjalnemi Rządu Narodowego w tym czasie były: *Niepodległość* i *Dziennik Narodowy*.

Kulminacyjnym punktem potęgi Rządu Narodowego, jak powiedzieliśmy wyżej, był miesiąc lipiec 1863 r. Tajemniczość nadawała Rządowi cechę wszechmocnej Opatrzności, wzbudzającej zaufanie bez granic, miłość i postrach. Tajemniczość ta pozwalała mu zachować pozory Rządu stojącego ponad stronnictwami. Miała jednak i złe strony, nadawała bowiem Rządowi cechę spisku, wtedy gdy on chciał uchodzić za rząd prawidłowy a to utrudniało wszelką akcyę dyplomatyczną.

Pieczęć reprezentowała władzę Rządu Narodowego na zewnątrz. Był to jedyny widomy znak tej tajemniczej władzy, symbol woli narodowej, przedstawiający ideę, dla której każdy Polak niósł swe mienie, życie swoje i przyszłość w ofierze. Znaczek ten w ciągu całego powstania miał poszanowanie i siłę tysiąc razy większą, aniżeli

wszystkie rozkazy nie tylko carskiego namiestnika, ale i carskie. Przed tą powagą uchylał głowę każdy, nie śmiać się jej sprzeciwiać.... Jeden z niebezpiecznych szpiegów, przez Rząd Narodowy skazany na śmierć, był zasztyletowany wśród własnej rodziny, braci, krewnych i przyjaciół. Wszyscy rzucili się na mordercę, aby go zatrzymać, ale ten wyjął z kieszeni wyrok śmierci, opatrzoną pieczętką Rządu i podniósł go w górę — a ręce wszystkich opuściły się i czoła schyliły, jak ongi przed rozkazem „Trzech“ w weneckiej Rzeczypospolitej. Wykonawca tego okropnego czynu wyszedł spokojnie z domu, nienapastowany przez nikogo.

Ale nie tylko w Warszawie, gdzie znajdował się ten Rząd tajemniczy, lecz i w oddalonych prowincjach dawnej Rzeczypospolitej polskiej, pieczętka Rządu Narodowego miała taką samą potęgę. Nawet moskiewscy generałowie, jadący w prywatnych interesach z Rosji do Polski, starali się o przepustki, opatrzone pieczętką Rządu Narodowego, wiedzieli bowiem dobrze, że powaga pieczętki ochroni ich lepiej od wszelkich paszportów.

Rozkazy Rządu Narodowego, wystosowane do moskiewskich właścicieli dóbr, w granicach Polski położonych, wykonywane były najpункtualniej i bez oporu. Podatki i rekwizycje w broni i w koniach były oddawane natychmiast, jak tylko zjawili się poborecy, czy do Polaka, czy Rosyanina i nikt nie ważył się oprzeć rozkazowi lub aresztować poborcę podatku.

W Lipcu, kiedy interwencya mocarstw była najsilniejsza, Rząd Narodowy zgadzał się na zawieszenie broni we wszystkich prowincyach, gdzie wybuchło powstanie, pod następującymi warunkami: 1) Moskale zatrzymają tylko pewne oznaczone miejscowości, w celu zapobieżenia starciu się z ludnością; 2) wszyscy więźniowie będą uwolnieni, przesła owania polityczne ustaną a wygnańcy wrócą; 3) stała komisya międzynarodowa czuwać będzie nad ścisłym wykonaniem zawieszenia broni. — Proponowane zawieszenie broni jednak nie przyszło do skutku.

Mianowanie ks. Władysława Czartoryskiego go pełnomocnikiem Rządu Narodowego, i oddanie mu steru powstania w ręce, przyjęła Warszawa z wielkiem niezadowoleniem.

W połowie sierpnia wytworzyła się opozycya przeciwko rządowi, na czele której stanął Ignacy Chmieliński. — Opozycya krytykowała ostro postępowanie Rządu Narodowego, rozwijała plany terrorystyczne i wchodziła w stosunki z gorętszymi członkami organizacyi. Wpływ jej stawał się coraz silniejszy a władza zaczęła wymykać się z rąk Rządu Narodowego. Widząc to, Rząd postanowił pozbyć się współzawodników. — Wszystkich zgromadzonych w jednym domu aresztowano i uwięziono w *hotelu Bawarskim* przy ulicy Bednarskiej. Dla osądzenia tej sprawy wyznaczono komisję, — ta jednakże, wysłuchawszy uwięzionych, oświadczyła, że podziela zdanie ich co do słabego i ospałego działania Rządu.

Opinia komisyi, potępiająca Rząd, zmusiła go do

podania się do dymisyi. Dnia 17 września utworzył się tedy nowy rząd, składający się z samych opozycjonistów. Rząd ten przezwano „wrześniowym“ czyli „rządem anarchistów“. Istotnie członkowie jego, a przedewszystkiem Ignacy Chmieliński, jako naczelnik miasta Warszawy, byli zwolennikami gwałtownych środków i nie umieli czasem rozróżnić pojęcia gwałtu od pojęcia siły. Należy jednak przyznać, że terroryzm już pierwaj się rozpoczął, w początku sierpnia, jako nieuniknione następstwo i zemsta za terroryzm Murawjowa i Berga. Terroryzm moskiewski zacieżył w tym czasie tak srogo, że już zdrada zaczęła w łonie organizacyi podnosić swą ohydłą głowę. Nieuchronnym więc był odwet, srogością postępowania siejący postrach i nie dający się rozluźnić karności.

W tym czasie zaszła ta zmiana w prowincjonalnej organizacyi, że zamiast naczelników wojewódzkich i komisarzy, ustanowiono dla każdego województwa jednego „komisarza pełnomocnego“ z władzą szerszą a ten w województwie reprezentował Rząd Narodowy.

Nowy Rząd postanowił oczyścić wszystkie prace z pierwiastków reakcyjnych i wytknąć stały plan wojenny. Ale terroryzm był złym środkiem i więcej szkodził jak pomagał, bo zagrzewał wroga dziesięćkroć silniejszego, do największych okrucieństw. — Jednym z pierwszych czynów tego rządu był zamach na namiestnika. Z domu Zamojskiego rzucono bombę, która zabiła kozaka i ośm koni, a Berga nie tknęła. Berg kazał dom

Zamojskiego zrabować i zabrać na skarb, a oprócz tego nałożył kontrybucyę na całą Warszawę w stosunku do podymnego. Wtedy dla utrudnienia rozkładu kontrybucyi, Rząd Narodowy kazał 18 października spalić ratusz, gdzie się te wykazy znajdowały.

Okrucieństwa moskiewskie wzmogły się nie tylko w Warszawie, ale i w całym Królestwie Polskiem. Rozhukane i pijane żołdactwo, dopuszczało się w całym mieście obelg i napadów na mieszkańców, a niezapłacone podatki zaczęto wybierać za pomocą zbrojnych oddziałów, grożąc w razie nieuiszczenia podpaleniem budynków. — Ludzi chwymano na ulicach i co chwila robiono rewizye po domach.

W miarę wzrastania okrucieństw moskiewskich, mnożyła się liczba szpiegów i zdrajców. Rosła więc skutkiem tego także liczba zabójstw politycznych. Wykonywano wyroki śmierci wśród dnia białego na ulicach Warszawy: sztylet w miastach i stryczek po wsiach groźnie panować zaczęły. Moskale srożyli się także. Pięciu pojmanyh ze sztyletami 30 września, rozstrzelano na pięciu placach: na Starem Mieście, na Nowym Świecie, na Bankowym, Grzybowskiem i Trzech Krzyżów.

Najważniejszą rolę w tych okropnościach odegrał Ignacy Chmieliński, brat rodzony Zygmunta Chmielińskiego, oficera wojsk moskiewskich, który swą dzielnością, energią i zaparciem siebie, najświetniej odznaczył się pomiędzy wszystkimi dowódcami powstania. Ignacy

Chmieliński miał lat 28 i był wychowancem kijowskiego uniwersytetu. Zdolności jego były średnie a wykształcenie bardzo powierzchowne, ale odznaczał się namiętym bez granic temperamentem i niesłychaną śmiałością, która mu zjednywała ślepych zwolenników, nawet pomiędzy ludźmi nierównie wyższymi od niego charakterem, zdolnościami i wykształceniem. Między innymi brat jego Zygmunt, człowiek wyższy mimo swej skromności a całą duszą poświęcony sprawie narodowej, wierzył w niego jak w Boga, i był przekonany, że on jeden może kierować powstaniem. Ignacy Chmieliński był przedtem niegdyś bardzo czynny w konspiracjach warszawskich i musiał być opuścić Warszawę z powodu udziału w zamachu na w. ks. Konstantego. Wypadkowi temu głównie zawdzięczał swą popularność pomiędzy gorętszą młodzieżą. Otóż przy zamachu na Rząd Narodowy, wykonanym w końcu maja, spotykamy się z nazwiskiem Chmielińskiego, który z zagranicy kierował opozycją i ci, co rząd wówczas obalili, umieścili go na liście kandydatów do nowego rządu; jednak oparto się temu żądaniu. W sierpniu przybywszy do Warszawy, rozwinął on silną agitację przeciwko rządowi, i — jakśmy to wyżej powiedzieli — obalił go we wrześniu i wszedł w skład nowego, którego był duszą. Po zamachu na Berga jednak niepodobna mu było pozostać dłużej w Warszawie, mógł być bowiem każdej chwili schwytanym. — Dlatego też wkrótce po tym wypadku, wyjechał za granicę, do Drezna, niby w misji porozumie-

nia się z Traugutem, i już więcej do kraju nie wrócił.

Terroryzm Rządu Narodowego budził wielkie niezadowolenie tak w Warszawie jak i w kraju całym. Gwałtowne rozporządzenia tego rządu były częścią szkodliwe, w części niemożliwe do wykonania. Skorzystał z tego książę Władysław Czartoryski i przez Wacława Przybylskiego skłonił generała Trauguta do objęcia dyktatury. Rząd „terrorystyczny“ trwał do 17 października, to jest tylko miesiąc i żadnej organicznej myśli nie zostawił po sobie.

Traugut, przybywszy do Warszawy, objął dyktaturę, usunął dawnych członków rządu, a wybrał do zarządu wydziałem ludzi swego przekonania, zostawiając naczelnictwo przy sobie.

Romuald Traugut — to jedna z najpiękniejszych postaci naszego powstania i przy innych okolicznościach z pewnością stanąłby on na takiej wysokości, na jakiej stał Kościuszko. — Traugut urodził się we wsi Szestakowie, brzeskiego powiatu, grodzińskiej gubernii. Gimnazyum skończył w Swisłoczy. W 1844 roku wstąpił do wojska rosyjskiego i brał udział w obronie Sebastopola. Przed powstaniem mieszkał w Petersburgu i uczęszczał na wykłady chemii i fizyki. — Potem ożenił się z wnuczką stryjeczną Tadeusza Kościuszki i zamieszkał w majątku swoim, w Ostrowie, w kobryńskim powiecie. — W zbrojnym powstaniu odznaczył się jako zdolny i dzielny partyzant. W końcu lipca Rząd Narodowy wezwał

go do Warszawy i wysłał za granicę, jako nadzwyczajnego komisarza wojennego.

Objąwszy dyktaturę zamieszkał Traugut przy ulicy Smolnej u Heleny Majewskiej (Kirkorowej); w drugim pokoju obok niego mieścił się sekretaryat. Konferencye wspólne Rządu odbywały się w gabinecie zoologicznym profesora Benedykta Dybowskiego. Traugut prawie nie wychodził z domu i po całych dniach pracował.

Traugut rządził w warunkach najtwardszych i wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw, rządził wśród szubienic, świeżych grobów, jęku katorżanych w cytadeli i płaczu osieroconych rodzin po powstańcach, którzy konali w lasach z zimna i głodu lub z ran otrzymanych w rozpacznych bitwach. Trzeba było nieustannie wiązać rwące się nici sieci organizacyjnej, obmyślać środki dla dostania pieniędzy, o które coraz to było trudniej. Trzeba było podtrzymywać wiarę i ufność w umysłach coraz mocniej kołatanych zwątpieniem; trzeba było wreszcie utrzymać stosunki z prowincjami i z zagranicą, co narażało na coraz większe niebezpieczeństwa.

Traugut zalecił dowódcom wojskowym, aby starali się doprowadzić powstańców i lud do ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania. Ustanowił w każdym powiecie oddzielną gałąź administracyjną, która miała zajmować się wyłącznie sprawami uwłaszczenia w myśl dekretu 22 stycznia. — Z powodu rozpoczynającej się zimy rozlokowano w wielu miejscach powstańców po chatach włościańskich a nie było wypadków zdra-

dy. Pomiędzy powstańcami a ludem zawiązywały się szczerze i przyjazne stosunki. Po wsiach zaczęły się tworzyć organizacje narodowe.

Nadzieja wywołania ludowego powstania na wiosnę wzmagająca się. Potrzeba było przygotować broń i kadry wojskowe. Zamiast oddziałów partyzanckich, które dowódcy uważali niejako za swoją osobistą własność, nakazano utworzyć kadry przyszłej regularnej armii, z podziałem jej na korpusy, dywizye i pułki. Zabroniono rozpuszczać oddziały.

Takiem było w owej chwili położenie, stan sprawy ciężki, lecz nie beznadziejny. Natomiast nadzieja interwencyi mocarstw znikła prawie ze szczerem. W Galicyi, z końcem lutego 1864 r. ogłoszony został stan oblężenia. — —

W początku kwietnia wszyscy wydziałowi Rządu Trauguta zostali aresztowani a 10-go t. m. ocknąwszy się ujrzał dyktator nad sobą stojących żandarmów. Był to ostatni dzień Rządu Narodowego.

Po uwięzieniu Trauguta i głównych naczelników wydziałowych, organizacja nie dała się już całkowicie wznowić. Próbował jeszcze niezmordowany i nieustraszony Aleksander Waszkowski, naczelnik miasta Warszawy, skleić coś, ale nie się nie udało, bo konanie powstania i utrata wszelkich nadziei na pomoc zagraniczną rozluźniły węzły organizacyi i spowodowały jej ostateczny upadek. Z uwięzieniem Waszkowskiego w końcu 1864 r. znikł ostatni cień narodo-

wej władzy. Waszkowski został powieszony dnia 16 lutego 1865 r. — —

Godzi się w końcu naszego opowiadania zwrócić uwagę na pewną wyjątkową cechę naszego powstania. Zwykle wszystkie spiski, gdy tylko jakiegokolwiek ogniwo się porwie, odkryte zostają z łatwością i od nitki idąc do kłębka w prędkim czasie rozwija się wobec rządu cały kłębek tajemnic spiskowych. Tak się działo ze spiskami od roku 1831 do 1849, ale nie tak było w ruchu narodowym 1863—1865 r. Imiona członków Rządu Narodowego nie były tajemnicą dla patriotów, nie znali ich chyba obojętni i wrogowie Polski. Były chwile, iż w cytadeli znajdowało się po kilkaset osób, znających członków Rządu, a przecież wszyscy zachowali godność i milczenie. W klubach, schadzkach, po miejscach publicznych wymieniano czasem niebacznie nazwiska, roztrząsano wady i przymioty członków Rządu Narodowego, a przecież głosy te nie doszły nigdy do wiadomości moskiewskiego rządu. Zjawisko to, tak dziwne, wytłómaczyć się da tylko wysokim nastrojem narodowego ducha, jego enotą i podniesionym poziomem publicznej moralności, które sprawiały, iż po za linię, za którą stała Moskwa, nie przedostać się nie mogło.

Lecz gdy kłęski nadwątlili ducha i rozwiały doszczętnie wiarę w zwycięstwo, wtedy zaczęła się niemoc moralna a z nią razem pojawiała się coraz częściej wydawanie tajemnic i wskazywanie osób. Przedtem żadna komisya śledcza nie zdołała wykryć Rządu Narodowego, chociaż nawet

kilku jego członków już powiesiła, ale gdy zaczął naród upadać na duchu, znalazł się członek organizacyi — Oskar Awejde, który pod duszącą ręką Murawiowa i inkwizycyą Tuchołki, zawiódł ufność pokładaną w jego charakterze i wydał wszystkich kolegów.



XVIII

ORGANIZACYA WOJSKOWA.

W. B. ELLIOTT & SONS

W walce o niepodległość miłość Ojczyzny może cudów dokazać a nam Polakom nie potrzeba zaiste oglądać się w tym względzie za przykładami obcych ludów i krajów. Cała historia nasza przeplatana jest ciężkimi walkami z najazdem rozmaitych ludów. Były chwile, gdy na całej przestrzeni obszernej Rzeczypospolitej wróg deptał ziemię, kryjącą kości ojców naszych i krzyczał: *Finis Poloniae!* — chwile te jednak były krótkie: Nieodrodni synowie mężnych ojców chwyтали za broń i wkrótce śladu nie zostało z nieprzyjaciół, a tylko liczne wzgórki na błoniach, zwane „szwedzkimi mogiłami“ i podkarpackie kolonie, składające się z jeńców tam osiedlonych, świadczyły o przebytych walkach i o zwycięstwie nad wrogiem. Nastął jednak czas, gdy osłabiona wewnętrzną niezgodą Rzeczpospolita padła i została rozewiartowana przez trzy potężne monarchie, otaczające naszą Ojczyznę. — Od chwili tego ujarznienia było siedmnaście większych i mniejszych powstań i walk o niepodległość Polski. Żadne jednak z nich nie było tak ciężkie, krwawe i okropne w następstwach, jak ostatnie.

Ze wszystkich wojen najokrutniejszą, najbardziej niszczącą kraj, jest wojna partyzancka, wróg bowiem patrzy na kraj powstający, na ludzi, którzy za broń chwycili, jako na wyjętych z pod prawa ogólnoludzkiego, — z żołnierzami narodowymi postępuje jak z rozbójnikami, a dla spokojnych mieszkańców i ich mienia nie ma tych względów, które się zachowują w czasie wojen regularnych. Dlatego też w ostatnim powstaniu, oprócz wielkiej liczby straconych bez wyroków, zginęło wskutek wyroków sądowych 1500 ludzi, poległo w więcej niż tysiącu bitwach i potyczkach 35.000, a 125.000 ludzi zostało zesłanych na Sybir lub w oddalone gubernie ogromnego carstwa. —

Nieszczęśliwy kraj powstał. Młodzież zaczęła powstanie wyjściem z Warszawy w Kampinowską puszcę i w lasy Sierockie — w dzień słotny, śnieżny, bez broni, bez obuwia, bez odzieży, prawie z gołymi rękami: z kijami, kosami i starymi szablami rzuciła się na nieprzyjaciół i zaczęła zdobywać na nich broń palną. Broni tej zatem było bardzo mało, a do tego niewielu się z nią obchodzić umiało, niewielu wiedziało jak nabieć a większość nie miała nawet pojęcia o celowaniu. W ciągu lat trzydziestu rozbrajani nieustannie, biedni rzemieślnicy od igły, szydła i młotka biegli na wezwanie ojczyzny z gołymi pięściami do walki z nieprzyjacielem, uzbrojonym znakomicie, — ginęli dziesiątkami dla zdobycia jednego karabinu, a potem rzucali tę broń krwią nabytą, bo obchodzić się z nią nie umieli...

Pod Radziwiłłowem jeden z powstańców nabił broń dziesięciu nabojami, sadząc kulę na kulę. Po spuszczeniu kurka, trącony własnym strzałem, został powalony na ziemię. Idący za nim, sądząc iż towarzysz został zabity, rzucił się dla podjęcia karabinu. „Nie ruszaj! — zawołał leżący na ziemi, — bo jeszcze dziewięć razy wystrzeli!...“ Pomimo jednak braku wyćwiczenia, braku doświadczenia, występując przeciwko nieprzyjacielowi uzbrojonemu od stóp do głowy, powstańcy nieraz go pokonywali, nawet w pierwszych chwilach po wybuchu powstania, bo przewyższali wroga świadomością celu, poświęceniem, mężstwem i wytrwałością.

W późniejszych miesiącach przedłużającej się walki, korzystając z oszołomienia wroga, dowódcy mieli już nieco czasu wyćwiczyć żołnierzy swoich, uorganizować z nich porządniejsze oddziały, nauczyć ruchów wojskowych i pewnych sygnałów, czy to na trąbce, czy na gwizdawce, nareszcie, choć częścią, uzbroić w lepszą broń, którą z nadzwyczajnym trudem i kosztem sprowadzano z zagranicy. — Artylerii od początku do końca powstanie nie posiadało. Organizujące się oddziały zwykle składały się z trzech części: ze strzelców, uzbrojonych w broń palną, zdobytą na nieprzyjacielu lub sprowadzoną z zagranicy, z kossynierów uzbrojonych w kosy i z kawaleryi mającej piki, szable, a w rzadkich wypadkach pistolety i rewolwery. Ponieważ do powstania nikt nie zmuszał, a oddziały składały się z ochotników, pochodzących ze wszystkich stanów, każdy

więc nowoprzybyły do oddziału, wybierał tę broń, do której miał najwięcej zaufania.

W obozach polskich powstańców, cudzoziemcy ze zdumieniem spotykali pomiędzy szeregowcami ludzi zupełnie wykształconych, z którymi mogli mówić o wszystkich przedmiotach wiedzy ludzkiej; były to obozy całego narodu stojącego pod bronią. W powstaniu wziął głównie udział stan średni, który wzmógłszy się w ostatnich kilkudziesięciu latach liczebnie, przyszedł był do pełniejszego poczucia obywatelskiego. Stan ten krwią własną zapisał istnienie swoje i stanowisko w narodzie a niezrównaną wytrwałością, której nie posiadała szlachta, i zawziętością, godną czci najwyższej, wiele zasłużył się Ojczyźnie. Jemu to zawdzięcza kraj uporność i wytrwałość powstania, które mu zaszczyt przyniosły. Uczucie miłości Ojczyzny było u Polaków zawsze bardzo żywe, lecz nigdy nie przejmowało z jednakową siłą całego społeczeństwa. Niedopuszczanie włościan do praw politycznych było główną przyczyną upadku wszystkich poprzednich powstań. Ostatnie natomiast powstanie odznaczało się wybitnym charakterem równouprawnienia obywatelskiego i religijnego, a jeżeli upadło, to dlatego tylko, że chłopci przez wiele wieków uciskani, niedość jeszcze dla sprawy ojczystej zostali pozyskani.

Mylnem jednak jest twierdzenie, że chłopci przeciwni byli powstaniu. Prawie we wszystkich oddziałach służyli dobrowolnie włościanie; wiele oddziałów na Litwie składało się wyłącznie

z chłopów, którzy nawet dowódców wybierali z pośród siebie. Wszędzie po wsiach przyjaźnie przyjmowano powstańców, chłopci oddawali im wszelkie możebne usługi, przed Moskalami zaś kryli się po lasach. Gdyby był dostateczny zapas broni, tłumy ludu można było łatwo poruszyć.

Karność w obozach powstańczych w ogóle była bardzo luźna i zależała po większej części od energii dowódcy i szacunku, jaki tenże potrafił wzbudzić w podwładnych. Wyprawa oddziałów galicyjskich, tak dobrze uzbrojonych i uorganizowanych, że równych im pod tym względem nie posiadało powstanie, wyprawa ta została zwichnięta przez bunt majora Sienkiewicza, dowódcy jednego z oddziałów, przeciwko generałowi Krukowi, głównie - dowodzącemu wszystkimi oddziałami. Sienkiewicza, Gerlicza i Zagórskiego, winnych niesubordynacyi, sąd wojenny skazał na śmierć, lecz Rząd Narodowy karę śmierci zamienił na banicję z kraju. — Przy wykroczeniach małej wagi, popełnionych przez ludzi niewykształconych, były w użyciu w niektórych oddziałach, na przykład u Chmielińskiego, kary cielesne. Karę śmierci, przeważnie za nieposuszeństwo lub za zdradę, wymierzały sądy wojenne.

Polacy są bardzo zdolni do żołnierki, więc gdzie okoliczności sprzyjały, powstańcy w bardzo krótkim czasie nauczali się mustry, ćwiczeń wojskowych i służby wewnętrznej w obozie.

Ubiór w oddziałach był różnorodny: najczęściej krótkie kurtki, lub krótkie kożuszki i konfederatka na głowie. W niektórych oddziałach mundur

powstańczy był zbliżony do ubrania naszych włościan. W oddziałach utworzonych w Galicyi i w Poznańskim było więcej jednostajności i malowniczości w ubraniu, ubranie jednakże nie było dość praktyczne, źle osłaniając ciało od wpływów surowej temperatury naszego kraju.—Każdy oddział nieco większy, posiadał własną chorągiew, na której po jednej stronie znajdował się herb Polski, a po drugiej najczęściej wizerunek Najświętszej Panny Maryi, Królowej Polski, lub cierniowa korona.

Życie w obozach różniło się stosownie do charakteru miejscowej ludności: wtedy gdy na Litwie i Żmudzi w oddziałach powstańczych panowała niesłychana ostrożność a wszystko nosiło zwykle cechę powagi, ciszy, pobożności, to w oddziałach walczących w Kongresówce było zawsze prawie wesoło i gwarno; — żołnierz był ochoczy do walki i zaufany w sobie, żadna klęska, ani zawód najcięższy, żadne niepowodzenie, zdawało się nie jest w stanie go zniechęcić i zrazić, ani zachwiać ufności żołnierza w siebie i w świętość sprawy za którą krew przelewa. — Cudzoziemców w obozach naszych było wielu: z Szwajcaryi, Włoch, Francyi, Czech i Węgier przyszli oni dopomódz nam do zerwania kajdan, krwią swoją i poświęceniem składając świadectwo świętości naszej sprawy a oraz własnych szlachetnych uczuć, które im kazały łożyć życie w ofierze dla powstającego z niewoli narodu.

Prawie w każdym oddziale znajdował się kapłan, który odprawiał msze polne, spowiadał

umierających, pocieszał rannych, udzielał najświętszego sakramentu, błogosławił przed bitwą, a nieraz z krzyżem w ręku szedł przed kolumną, idącą do ataku, aby jej dodać ducha i otuchy. — W ogień szli żołnierze zwykle ze śpiewem na ustach, z jedną z tych pieśni narodowych, rzewnych i tęsknych, jakie wydała Polska w walce za wolność.

Dla ratowania rannych znajdowali się przy oddziałach lekarze. Ponieważ wozić z sobą rannych nie było można, tworzone więc dla nich szpitale po chatach i domach, i oddawano ich pod opiekę obywateli, u których się kryli w piwnicach i gospodarskich zabudowaniach. Opieka ta była bardzo ciężkiem zadaniem, albowiem nie tylko ranni, lekarze i kapłani, ale i osoby dające im przytułek, były mordowane przez Moskali. Nie mało lekarzy polskich zginęło za wydobycie kuli z rany lub obandażowanie rannego powstańca. — Służba zdrowia była pod kontrolą komisji lekarskiej w Warszawie, z trzech naczelnych lekarzy złożonej. W każdym województwie był wojewódzki, a w powiecie powiatowy lekarz; prócz tego wielu służyło przy oddziałach. Na wniosek komisji lekarskiej, wojenne ministerstwo (czyli „Wydział wojny“), rozkazało władzom wojennym, aby o ile możliwości w bliskości szpitali, gdzie znajdowali się ranni, nie przebywały oddziały zbrojne i aby tam nie utrzymywać składów broni lub innych rekwizytów wojennych, a to dla odjęcia pretekstu wrogom do pastwienia się nad rannymi.

Kobiety polskie nietylko przewoziły broń i korespondencyę, ale i rannych, których uwoziły w lasy i niedostępne miejsca, gdy nadchodzili Moskale, i opiekowały się nimi w ciągu choroby. Okropny widok ciężkich ran i skaleczeń, poucinanych rąk i nóg, jęki i westchnienia boleści i męki konania nie odstraszały matek, żon i dziewic polskich od tych przybytków ludzkiej niedoli; stały one przy łożu boleści nieznużenie, osładzając cierpienia słowem, opatrując rany, dostarczając wszelkich potrzeb dla nieszczęśliwych. Niedosć było tam poświęcenia Siostry Miłosierdzia, potrzeba było i mężstwa męczennicy, odwagi iście bohaterskiej, aby zginąć wraz z rannymi, gdy kozactwo odkryło lazaret,— bo w takich razach często dziec paliła dom zabijała rannych i usługujących im, a co najmniej ciągnęła wszystkich do więzienia.

Na Litwie, do jednego z obywateli przywieziono rannego powstańca. Ledwo ułożono go do łóżka, nieprzyjaciel otoczył dom. Rannego sehowano do piwnicy. Przy rewizyi spostrzegł oficer krwawe ślady na poduszce i zawołał: „Zkąd ta krew? tu był powstaniec! gdzie on? Oddajcie mi go!“ Wtedy córka właściciela, młode dziewczę, słysząc te słowa w drugim pokoju, porwała nóż i zadała sobie głęboką ranę w rękę, a przestąpiwszy próg, rzekła do oficera, wskazując na krew ciekącą: „Ja w tem łóżku leżałam. Skaleczyłam się przypadkiem i ślad krwi pozostał na poduszce.“

W czasie powstania, dla dania pomocy rodzinom poległych lub wygnanych, oraz dla wspierania więźniów i rannych, uorganizowały kobiety polskie w Warszawie „komitet niewiast“, który się rozkładał na grupy po pięć osób. Piękną tę instytucję nazwano *piątkami*. Ona to rozporządzała funduszami, zebranymi z dobrowolnego opodatkowania się kobiet. —

Słyszeliśmy nieraz ciężkie zarzuty czynione powstaniu za egzekucyje dokonywane nad szpiegami. Z powodu tego uważamy za potrzebne wypowiedzieć opinię naszą w tej smutnej sprawie.

Wojna jest to rzecz okropna, jest to mord i pożoga, niszczenie pracy ludzkiej, bezwładność prawa, koniec panowania sprawiedliwości i ludzkości! Trzy razy w życiu przypatrywaliśmy się zblizka, jak ona wygląda i czem się staje człowiek pod wpływem politycznych namiętności, trwogi o życie, chciwości z bogacenia się i chęci odznaczenia: — Boże mój, cóż to za zwierzę krwiożercze! I szakał i hyena zarazem! Z jakąż obojętnością pomiata się na wojnie pracą ludzką, cześcią kobiety, dziełami sztuki, wszystkim co jest chlubą ludzkości! z jakim lekceważeniem poświęca się życie bliźniego, jeżeli tak zwane okoliczności wojenne tego wymagają. Ileż to krwi ludzkiej wylano najniewinniej, żeby się tylko zabezpieczyć przed ewentualną zdradą, lub przed urojonem nieraz niebezpieczeństwem!... Napoleon w 1799 roku w Syrii, kazał tysiącom Arabów, wziętym do niewoli, poucinać prawe ręce, żeby nie mogli walczyć z Francuzami... Moskale

w 1812 roku, wziętych do niewoli Francuzów zakopywali żywcem w ziemię, delektując się widokiem, jak się ziemia porusza jeszcze od ostatnich wysiłków żywcem pogrzebanych.... W Warszawie w roku 1831, w czasie szturm, hr. Toll, zastępując głównodowodzącego, kazał cały batalion polski, wzięty do niewoli, rozstrzelać, przystawwszy do muru. . Tak samo potem Francuzi robili z żołnierzami komuny... Prusacy żywcem palili wolnych strzelców, wziętych do niewoli w Alzacji i Lotaryngii, związanych kładąc do ognia nogami. To ostatnie widzieliśmy na własne oczy. Było to dziełem armij regularnych i działa się pod okiem oficerów i generałów ucywilizowanych, którzy jednym słowem mogli powstrzymać te hekatombę ludzkie. A jednak... słowa tego nie wymówiono!

W ostatniem powstaniu naszym Moskale strasznie pastwili się nad żołnierzami narodowymi. Po przegranej Oksińskiego w Kuźnicy Grabowskiej (26 lutego), Moskale rannym obcinali głowy, czterech jeńców spalili żywcem, a Tadeusza Pikulskiego, rannego, przywiązawszy za nogę do końskiego ogona, tak długo po polach i korezach włóczyli, aż wyzionął ducha... Pod Ignacem, 8 maja, po bitwie z Taczanowskim, kilku powstańców Moskale przywiązali do drzew, otoczyli słomą i podpalili... Chciwość łupu i krwi nie oszczędzała nietylko cierpień, ale i konania, — cóż więc dziwnego, że zemsta dopuściła się kilku odwetów przerażających, tam mianowicie, gdzie przywódey nie umieli utrzymać w korbach pod-

władnych, pochodzących z mało oświeconych klas i dawali im prawo sądu nad podejrzanymi.

W czasie partyzantki, wskutek już samego rodzaju tej wojny małemi oddziałami, wróg stara się otoczyć te oddziały siecią szpiegów, żeby wiedzieć o każdym ruchu ich i zamiarze. Cóż więc dziwnego, iż ratując własne życie, poświęcano cudze, nieraz na podstawie zupełnie błahych podejrzeń? Tak, prawdopodobnie, zginął zupełnie niewinnie Nikiforow, kapitan wojsk moskiewskich, skazany na śmierć przez władzę narodową — niewinnie, bo trudno posądzić o zdradę człowieka, który zajmował wyższe stanowisko w armii nieprzyjacielskiej, a przeszedł do nas, słabych i niemogących niczem wynagrodzić naszych sprzymierzeńców. Napróżno odwoływał się do swych zasług poprzednich w walce z Moskalami, napróżno przedstawiał całą niesłuszność obwinienia. Rozkaz był stanowczy i dowódca Lelewel-Borylowski musiał go dać wykonać, lecz potem ze łzami w oczach rzekł do otaczających: „Mam przekonanie, że człowiek ten był takim zdrajcą jak i ja.“ Są to nieuniknione *misères de la guerre!*...

Wróćmy do organizacji oddziałów. — Każdy dowódca miał kilku adjutantów. Niektórzy z dowódców, z próżności i z chęci błyszczenia, mieli nazbyt liczny sztab, któryby wystarczył dla wielkiego oddziału — ale próżność taką przebaczyć można młodości. Żołnierze kształcili się według różnych regulaminów; — stopień wojskowego wykształcenia dowódcy wielką w tym względzie

odgrywał rolę. Regulaminy dla oddziałów, wychodzących z Galicyi, były napisane bardzo krótko; wchodziły do nich tylko najpotrzebniejsze dla żołnierza ruchy i obroty, zastosowane do rodzaju broni.— Map oddziałom dostarczał Wydział wojny. Z początku były to mapy topograficzne wydane w Berlinie i w Głogowie, a następnie fotograficzne odbicia doskonałej mapy Polski generalnego sztabu rosyjskiego.

Stosunek władz wojskowych do cywilnych był tego rodzaju, iż wojskowi mogli stawiać im żądania, ale nie rozkazywać. Organizatorowie województw, obwodów, powiatów i rządowi komisarze pośredniczyli między obiema władzami. Władze wojskowe nie mogły wtrącać się do spraw administracyjnych, a również i cywilne władze nie mogły się mieszać w sprawy czysto wojennej natury. Nakładanie podatków narodowych lub kontrybucyj należało do władz cywilnych. Dowódca oddziału mógł żądać od władz wojewódzkich gotówki potrzebnej do dziesięciodniowego utrzymania oddziału a mianowicie w stosunku do liczby ludzi, z których się oddział składał: na wypłatę żołdu, na żywność, furaz i utrzymanie wojskowych przyrządów i rekwizytów, — dziesięć złotych na jednego człowieka na dziesięć dni i oprócz tego tysiąc złp. do dyspozycji dowódcy Fundusze skonfiskowane w kasach nieprzyjacielskich, miały być deponowane w kasie obwodowej. Rekwizycye żywności, furazu i wozów odbywały się przez władze cywilne, a tylko w nadzwyczajnych wypadkach wprost od miesz-

kańców; za wszystko płaciło się gotówką, a w rzadkich wypadkach kwitami. Materiałów wojennych, broni i amunicyi, dostarczał oddziałom najbliższy organizator. Władze cywilne obowiązane były starać się o dokładne informacye co do ruchów wojsk nieprzyjacielskich i co do osób podejrzanych i uwiadamiać o tem dowódców, przysyłać depesze, korespondencye i znosić się z innymi władzami i oddziałami. Władze wojskowe były obowiązane na pisemne wezwanie ze strony władzy cywilnej iść z pomocą tej ostatniej. Nieporozumienia między władzami cywilnymi i wojskowymi rozstrzygał wojskowy komisarz rządu. W Galicyi tak zwana „komisyja ekspedycyjna“ dostarczała wszelkich potrzeb oddziałom na polecenie „komitetu“, a od chwili rozwiązania tego ostatniego, na polecenie organizatora.

Taki stosunek dowódców oddziałów do administracyi kraju nie przeszkadzał w niczem do sprężystego prowadzenia wojny, a chronił od anarchii. Niechybnie nastąpiłby był w kraju chaos najwyższy, gdyby obie władze — cywilna i wojskowa — były ześrodkowane w rękach dowódców; — w takim razie znikłaby jedność działania władzy narodowej, każdy dowódca bowiem stałby się dyktatorem, działającym według swoich osobistych poglądów, charakteru i wykształcenia.

Nominacye na niższe stopnie wojskowe należały do dowódców oddziałów, oficerów zaś mianował Wydział wojenny Rządu Narodowego, a przez pewien czas Langiewicz, jako dyktator. —

Oficerów mianowanych przez ministerstwo wojny w ciągu całego powstania było ogółem tysiąc paręset. Nominacye wydawane samowolnie przez niektórych naczelników, nie mających do tego prawa, jakoto n. p. przez Rochebruna, Mieleckiego i innych, rząd Narodowy uznał za żadne i niebyłe.

Obozy stanowiły słabą stronę oddziałów, bo ich było zwykle za wiele, wożono niemało rzeczy bez których obejść się było można: nieraz tabory takie wstrzymywały pochód, utrudniły marsze i służyły za zachętę dla nieprzyjaciela, który w nich spodziewał się bogatego łupu.

Urządzenie poczt, dostawa prowiantu i ubrania, jakoteż raportowanie o każdym ruchu załóg moskiewskich były wyborne. W początkach powstania nieprzyjaciel mógł jeszcze niekiedy niespodziewanie uderzyć na powstańców, później zaś, gdy udoskonalono organizację służby w kraju, było to już tylko winą nieprzezorności dowódcy, jeżeli został niespodziewanie zaskoczony przez wroga, tak zwane bowiem *cywilne pikiety* czuwały nad wszelkimi ruchami wrogów i szybko dawały o nich znać powstańcom, znajdującym się o dwie lub trzy mile odległości.

Pisaniny w obozach było mało. W ogóle potrzeba przyznać, że dowódcy niewojskowi lepiej rozumieli ducha partyzanckiej wojny, aniżeli dowódcy, którzy służyli dawniej w regularnych wojskach. Taki Krysiński, Jankowski, Borelowski-Lelewel nigdy nie trzymali się zgubnej obronnej taktyki, ale owszem szukali nieprzyjaciela,

rzucali się na niego i nieraz go bili. W pocho-
dzie, w spoczynku i w obozie urządzali oni wszy-
stko tak, jakby za kilka minut oczekiwała ich
bitwa. Dlategoż ci dowódcy stoczyli najwięcej
szczęśliwych potyczek.

W boju często stawali dowódcy w szeregu
z kosynierami lub strzelcami, dla dodania im du-
cha i odwagi. Ruchy oddziałów powstańczych
w boju nie były umiejętne, ale w ogóle w ogień
szli oni śmiało i wesoło. Litewscy strzelcy i Kur-
pie odznaczali się celnem strzelaniem. Moskale
lękali się kosa więcej, aniżeli innej broni, cho-
ciaż w lasach trudno jej było użyć. Poruszyć ko-
synchronów i pchnąć ich na regularne szeregi było
bardzo trudno, — ale ile razy tylko poszli do
ataku kosynierzy, bili się dobrze i prawie zawsze
odparli nieprzyjaciela. Chłopi ks. Mackiewicza,
uzbrojeni w kosy, sześć razy odbili pod Ginety-
nem (22 kwietnia) atak moskiewskich wojsk. —
Sam już widok kosynierów w masie, brzęk kos
postępujących powstańców, jest straszniejszy i bar-
dziej przejmujący niż ogień karabinowy lub szar-
ża kawaleryi. W tej broni służyli najwięcej chłopi.

Konnica nasza, utworzona przeważnie z dosta-
tniejszej i inteligentniejszej młodzieży, odznacza-
ła się lepszym uzbrojeniem, lepszym ubraniem,
zręcznością, wytrwałością w trudach i utrzymy-
wała starą sławę polskiej jazdy. Trzy bardzo li-
cho uzbrojone szwadrony Różyckiego, rozbiły zu-
pełnie batalion doskonałej moskiewskiej piechoty.

„Wśród takich warunków — powiada Giller—
w jakich Polacy, zagrzeni miłością Ojczyzny, wy-

trwali ośmnaście miesięcy, nie wytrzymałby żaden europejski żołnierz nawet kilku miesięcy. Od warsztatu, od pług, ze szkoły, z domu rodzicielskiego idąc do powstania, musiał niemal każdy z nich dążyć tajemnymi ścieżkami, pewny że jeżeli go Moskale pochwyca, zostanie powieszony lub wygnany. Ledwo szczęśliwie minął przeszkody i stanął w lesie na punkcie zbornym już musiał się zaraz bić, zanim się nauczył władać bronią, bo nieprzyjaciel zniemacka na powstańców uderzał.

„Zwyciężył, — nie mógł po zwycięztwie odpocząć, bo nazajutrz znowu bitwa lub marsz forsowny pomiędzy oddziałami moskiewskimi, ze wszystkich stron ukazującemi się, marsz, o którego nadzwyczajnych trudach żołnierz regularny nie ma nawet wyobrażenia. Jeżeli powstańcy zostali zwyciężeni — rozbiegali się na wszystkie strony i każdy we własnej zrzeczności szukał ocalenia przed ścigającym go wrogiem. Owe rozbieganie się na różne strony, nie było zwykłą ucieczką z pola bitwy, najczęściej przez popłoch i strach spowodowaną, chociaż się i takie wydarzały; — powstańcy na to się tylko rozchodzili i rozbiegali, aby się potem zebrać na innym punkcie, sformować znowu oddział i walczyć na nowo.

„Z powodu tych ucieczek robiono często zarzuty ubliżające mężstwu naszych powstańców. — Zarzuty te były niesłuszne, a pochodziły od ludzi, którzy nie mieli pojęcia o walce tego rodzaju, jaką prowadzić musieliśmy. W położeniu, w jakim znajdowało się powstanie w roku 1863,

gdy żadna część kraju nie została oczyszczona i oswobodzona od nieprzyjaciela, każdy oddział polski, poruszając się na przestrzeni przez przeważne siły tegoż nieprzyjaciela zajętej, działał będąc ciągle otoczonym. W razie przegranej, gdy z powodu tego otoczenia stało się niemożliwem porządne cofanie się, musieli powstańcy przedzierać się pojedynczo po za linię okrążającego nieprzyjaciela, aby go zaatakować na innem miejscu. Ucieczka więc stawała się koniecznością, wchodziła w system wojny partyzanckiej i dla tego nie ubliża sławie powstańców, walczących w tak trudnych warunkach.“

Wymowne te słowa są zupełnie słuszne. Regularne wojska, w razie otoczenia, najczęściej broń składają wobec zwycięzkiego nieprzyjaciela. Przypomnijmy sobie Ulm, przypomnijmy co się stało po bitwie pod Jeną i Auerstetem, gdy wskutek jednej przegranej bitwy, sławne wojska Fryderyka II uciekały jak zajęce, oddziały składały broń jedne po drugich, niedostępne fortece zdawały się oddziałom kawaleryi (Küstrin), a całe państwo w dwa tygodnie od początku wojny leżało u nóg Napoleona, błagając o litość. Wspomnijmy nareszcie Sedan i Metz, gdzie cała, sławna z męstwa i dzielności francuska armia, poddała się w niewolę, nie próbując nawet przebić się przez linię wrogów.

Powstanie rasze nie znało hańby kapitulacji. W przeciągu całej wojny ani jeden oddział polski nie złożył broni przed wrogiem! Porażeni i otoczeni rozpierzchali się powstańcy, ale nie poddawali się. Bywały zaś wypadki, że wszyscy

powstańcy w oddziale polegli, a żaden broni nie złożył. W wieluńskim powiecie oddziałek z siedemnastu powstańców złożony, pod komendą podoficera, został otoczony przez rotę moskiewskiej piechoty; w pierwszej chwili, dowodzący podoficer, pochwycony przez Moskali, został powieszony na drzewie, przy drodze rosnącym. Pozostałych kapitan moskiewski wezwał do poddania się na łaskę i niełaskę, lecz powstańcy mając broń, odrzucili wezwanie i stanawszy pod drzewem, na którym wisiał ich dowódca, postanowili drogo sprzedać swe życie. Otoczeni ze wszystkich stron przez 200 piechoty moskiewskiej, bili się godzin kilka i wszyscy padli pod drzewem, a żaden z nich nie ocalał.

Byli i małego ducha ludzie, byli tchórze, bo gdzież ich nie ma, jednakże mało ich było w porównaniu z liczbą dzielnych i szlachetnych bojowników, przed którymi czołem uderzyć należy.

A jakież to było nędzne, biedne i głodne nieraz życie powstańca! W niedostatecznym ubraniu i obuwiu, w zimie, w czasie trzaskających mrozów, wśród śniegów, w czasie północnych wichrów, w czasie deszczów lub skwarów letnich, nocować i odpoczywać musiał zawsze pod otwartym niebem, nie znając co to jest namiot. Wielu było takich, co przez rok cały jednej nocy nie spędzili pod dachem i na posłaniu. Pomimo starań dowódców i administracyi krajowej, często w obozie, w polu i w czasie pospiesznego marszu, żołnierz narodowy przez wiele dni nie wi-

dział nie, oprócz suchego chleba i kieliszka wódki. Wypłacanie żołdu istniało tylko na piśmie, bo pieniędzy nie było, — służono więc, znoszono trudy niezmierne i oddawano życie, tylko z poczucia świętego obowiązku, który wkładała Ojczyzna. Braki te, trudy i cierpienia powstańcy znosili w przeważnej większości bez skarg i żalów, ginęli jak bohaterowie, a na mogiłach ich porosła trawa i nieczyja ręka nawet drewnianego krzyżyka za nich nie postawiła...

W czasie wybuchu styczniowego powstania, według dokumentów moskiewskich, znajdowało się w Królestwie Polskiem 127 tysięcy piechoty, kawaleryi i artyleryi (Pawliszczew). Na Litwie stał cały pierwszy korpus piechoty z jazdą i armatami, a zatem do 60 tysięcy. Na Rusi dwie dywizye kawaleryi i do 30 tysięcy piechoty. Oprócz tego, wojska austriackie i pruskie obsadziły granicę, pomagając do stłumienia powstania, nie przepuszczając przez granicę oddziałów polskich i przechwytyjąc zakupioną broń. Obliczają, iż tym sposobem skonfiskowano uzbrojenie, które mogło wystarczyć na siedmdziesiąttysięczną armię. Brak broni był powodem niemożności wywołania pospolitego ruszenia i konieczności porzucenia na walce tylko podjazdowej.

A pomimo tego bój przetrwał ośmnaście miesięcy, chlubnie świadcząc o wojennych zdolnościach narodu i gotowości poświęcenia życia i mienia dla Ojczyzny!

KONIEC





12266

/ 1